



ORCS

FIRST BLOOD

Bodyguard of Lightning

'Buy now or beg for mercy later'

TAD WILLIAMS



STAN NICHOLLS

— WIELKIE SERIE FANTASY —

STRAŻNICY
BŁYSKAWICY

Akcja, tempo, braćura. David Gemmell

ORKOWIE

TOM 1



STAN NICHOLLS







Spis treści

STRAŻNICY BŁYSKAWICY

ORKOWIE

Karta tytułowa

Dedykacja

TRADYCYJNA PIEŚŃ WOJENNA

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

Podziękowania

STAN NICHOLLS

STRĄŻNICZY
BŁYSKAWICZY

(BODYGUARD OF LIGHTNING)

WIELKIE SERIE FANTASY

Przełożyła: Maciejka Mazan



AMBER

Wydawca światowych
bestsellerów

Amber: 2005

Oczywiście dla Annę i Mariannę

*Co za łomot? Co za tupot? To orkowie!
Włosy jeżą się na głowie – to orkowie!
Oto banda co się zowie, na nasz widok
każdy powie: to orkowie! To orkowie!*

*Więc żegnajcie piękne damy, odchodzimy.
Więc żegnajcie piękne damy aż do zimy.
Bo gdy wiosna w żyłach tętni, to orkowie
bić się chętni, więc żegnajcie aż do zimy.*

*Hej, na żniwa, hej, na zbiory, hej, na łowy!
Miecz jak kosa skosi sakwy oraz głowy.
Na tym polu się zetrzemy i tak kosić ich
będziemy, aż zostanie grunt jałowy.*

*Koło miasta z wielką wieżą biegła droga.
Dziś po mieście tylko zgliszcza i pożoga.
Nasz jest kielich i srebrniki, z nami chwałą
i okrzyki, a za nami śmierć i trwoga.*

*Gruby wieśniak chował swoją córkę piękną.
Na nasz widok całe złoto oddał prędko.
Córka nam uciekła trwożnie, więc na rożnie
upiekliśmy jego żonę tłuściuteńką.*

*W górę kufle, w górę serca, w górę włócznie!
Rozszarpiemy wrogów niczym świnie tuczne.
Oddział my nie byłę jaki, my jesteśmy
Rosomaki, więc świętujmy razem hucznie!*

tradycyjna pieśń wojenna

ROZDZIAŁ I



pod trupów Stryk nie widział ziemi. W uszach miał ogłuszające wrzaski i zgrzyt stali. Pomimo zimna pot zalewał mu oczy. Mięśnie paliły, całe ciało było obolałe. Kaftan upstrzyło mu błoto, krew i rozbryzgane mózgi. A teraz znowu w jego stronę zbliżały się dwa kolejne ohydne, miękkie, różowe stworzenia z żądzą mordy w oczach.

Co za radość.

Zachwiał się i niemal upadł na niepewnym gruncie. Instynktownie wyciągnął miecz ku pierwszemu ostrzu, które ku niemu śmignęło. Cios nim wstrząsnął, ale go nie przewrócił. Stryk zwinnie odskoczył, przykucnął i znowu rzucił się do przodu, poniżej gardy przeciwnika. Miecz wbił się prosto w brzuch wroga. Stryk szybko skierował go ku górze, pchnął głęboko i mocno, aż ostrze uderzyło o żebra. Stworzenie upadło z ogłupiałą miną.

Nie było czasu na rozkoszowanie się rzezią. Drugi napastnik był tuż-tuż, ścisnął oburęczny miecz, którego lśniący sztych poruszał się tuż poza zasięgiem Stryka. Był ostrożniejszy, pamiętając o losie swego kompana. Stryk zaatakował, wciągnął przeciwnika w szybką wymianę ciosów. Zwierali się w walce i zadawali pchnięcia, jak w wolnym, upiornym tańcu, depcząc ciała przyjaciół i wrogów.

Broń Stryka lepiej nadawała się do szermierki. Miecz stworza, wielki i

ciężki, był zbyt nieporęczny w bezpośrednim starciu. Trudno było nim robić większe zamachy. Po paru starciach stwór zaczął tracić siły. Dyszał ciężko, a z ust buchała mu para. Stryk ciągle atakował go z dystansu, czekając na sprzyjający moment.

Zdesperowany stwór rzucił się na niego, tnąc go mieczem przez twarz. Nie trafił, ale zbliżył się na tyle, że Stryk poczuł powiew wzburzonego powietrza. Impet ciosu poniósł miecz dalej, stworzenie mimowolnie uniosło wysoko ręce, odsłaniając pierś. Stryk zadał mu cios prosto w serce, z którego buchnęła struga krwi. Stwór osunął się, wirując wokół własnej osi, i legł bezwładnie na ziemi.

Stryk spojrział w dół wzgórza. Widział Rosomaków, toczących walkę na nizinie.

Rzucił się w wir krwawej rzezi.

Coilla podniosła głowę. Na wzgórzu, nieopodal murów osady, Stryk walczył dziko z grupą obrońców.

Przekląła jego niecierpliwość.

Ale na razie ich przywódca musiał sobie sam radzić. Oni mieli do pokonania zaciekły opór.

Tu, we wrzącym kotle bitwy, jak okiem sięgnąć, lała się krew. Walczący żołnierze i spłoszone konie zdeptali na błoto niegdyś bujne łąny zboża. Wrzask wypełniał uszy, cierpka woń śmierci osiadała w gardle.

Rosomaki – trzydziestoosobowa, najeżona stałą formacją w kształcie klina – przedzierała się przez tłum niczym ogromny insekt o wielu żądłach. Coilla, znajdująca się w pobliżu czubka klina, torowała im drogę, kręcąc młynka mieczem.

Przed jej oczami przepływał szereg upiornych obrazów – zbyt szybko, by mogła się im dokładnie przyjrzeć. Obrońca z toporem wbitym w ramię; żołnierz z jej oddziału, zasłaniający oczy rękami pokrytymi skorupą krwi; inny, wrzeszczący bezgłośnie, z czerwonym kikutem zamiast ręki; ktoś

gapiący się głupio na chlustającą szkarłatem, wielką jak pięść dziurę w piersi; bezgłowe ciało, jeszcze trzymające się na nogach. Twarz pocięta na strzępy.

Po chwili dłużej jak wieczność Rosomaki znalazły się u stóp wzgórza i nie przerywając walki, zaczęły się wspinać.

Stryk wykorzystał krótką przerwę w bitwie i zerknął na swój oddział. Żołnierze przedzierali się przez grupy obrońców w połowie zbocza.

Odwrócił się i spojrzał na potężną warownię o drewnianej palisadzie. Do bram został jeszcze kawał drogi i kilka tuzinów wrogów. Ale wyglądało na to, że jest ich coraz mniej.

Stryk zaczerpnął lodowatego powietrza i znowu poczuł moc życia, która zawsze dawała o sobie znać, gdy śmierć była tak blisko. Zjawiła się zdyszana Coilla, za nią reszta żołnierzy.

– Nie spieszyliście się – rzucił sucho. – Myślałem, że będę musiał szturmować sam.

Wskazała kciukiem kłębiący się chaos w dole.

– Nie spieszyli się nas przepuścić.

Wymienili uśmiechy, niemal szalone.

Ona także czuje żądzę krwi, pomyślał. To dobrze.

Alfray, strzegący sztandaru Rosomaków, stanął obok nich i wbił flagę w zmarzniętą ziemię. Dwa tuziny żołnierzy utworzyły obronny pierścień wokół oficerów. Zauważywszy, że jeden z piechurów ma dość poważną ranę głowy, Alfray wyjął z torby opatrunek i zaczął tamować krew.

Sierzanci Haskeer i Jup przedarli się przez tłum. Jak zwykle, ten pierwszy był ponury, drugi nieprzenikniony.

– Miły spacer? – rzucił sarkastycznie Stryk.

Jup pominął żart milczeniem.

– Co teraz, kapitanie? – spytał ochryple.

– A jak ci się wydaje? Przerwa na zbieranie kwiatków? – Przeszył go

wzrokiem. – Wchodzimy i robimy, co trzeba.

– Jak?

Coilla wpatrywała się w ołowiane niebo, osłaniając oczy ręką.

– Atak frontalny – powiedział Stryk. – Masz lepszy pomysł?

– Nie. Ale to otwarty teren, szczyt wzgórza. Poniesiemy straty.

– Jak zwykle. – Stryk splunął, ledwie omijając stopy sierżanta. – Dla twojego spokoju spytamy stratega. Coilla, co sądzisz?

– Hm? – Nie odwracała wzroku od ciężkich chmur.

– Obudźcie się, kapralu! Pytałem...

– Widzisz? – Wskazała.

Poprzez mrok schodziła ku nim czarna kropka. Z tej odległości nie było widać dokładnie, ale wszyscy odgadli, co to.

– Może się przydać – orzekł Stryk.

Coilla była innego zdania.

– Może. Wiesz, jakie potrafią być uparte. Najlepiej się ukryć.

– Gdzie? – mruknął Haskeer, rozglądając się po otwartym, nagim terenie.

Kropka stawała się coraz większa.

– Leci szybciej niż popiół z Hadesu – zauważył Jup.

– I zbyt ostro pikuje – dodał Haskeer.

Teraz widzieli już wyraźnie pękate ciało i potężne, fałdziste skrzydła. Nie było wątpliwości. Bestia, ogromna i niezgrabna, przemknęła nad polem bitwy. Walczący zamarli i spojrzeli w górę. Niektórzy rzucili się do ucieczki przed potężnym cieniem. Bestia pikowała ostro w dół, celując dokładnie w miejsce, gdzie zgromadziły się Rosomaki.

Stryk zmrużył oczy.

– Czy ktoś widzi jeźdźca?

Pokręcili głowami.

Żywy pocisk mknął prosto na nich. Rozdziawił gigantyczną przepastną

paszczę, ukazując rzędy żółtych zębów, wielkich jak hełmy. Błysnęły wąskie zielone ślepia. Jeździec siedział sztywno na jego grzbiecie, maleńki w porównaniu z ogromną bestią.

Stryk uznał, że dzielą ich już tylko trzy ruchy wielkich skrzydeł.

– Za nisko – szepnęła Coilla.

– Całować ziemię! – ryknął Haskeer.

Żołnierze padli plackiem.

Stryk przewrócił się na plecy i ujrzał przelatującą nad nim grubą skórę i ogromną pazurzystą łapę. Niemal mógłby jej dotknąć, gdyby wyciągnął rękę.

Potem smok bluznął potężnym strumieniem olśniewająco pomarańczowych płomieni.

Na ułamek sekundy Stryk stracił wzrok od oślepiającej jasności. Spodziewał się, że usłyszy łomot smoczego ciała o ziemię. Tymczasem, mrugając oczami, zdołał dostrzec przez mgłę kształt, który unosił się w niebo pod, wydawałoby się, nieprawdopodobnie ostrym kątem.

Scena na zboczu uległa zmianie. Obrońcy i napastnicy, objęci płonącym oddechem smoka, zmienili się w wyjące kule płomieni albo leżeli już martwi, zwęgleni. Tu i tam nawet ziemia płonęła i bulgotała.

W powietrzu rozszedł się zapach pieczonego mięsa. Ślina napłynęła Strykowi do ust.

– Ktoś powinien przypomnieć ujeżdżaczom smoków, po czyjej są stronie – burknął Haskeer.

– Ten akurat ułatwił nam sprawę. – Stryk wskazał głową bramy twierdzy. Stały w ogniu. Zerwał się na równe nogi i wrzasnął: – Do mnie!

Rosomaki wydały okrzyk wojenny i popędziły za nim. Nie napotkały wielkiego oporu. Bez trudu utorowały sobie drogę pomiędzy nielicznymi obrońcami, którzy jeszcze utrzymywali się na nogach.

Stryk dopadł do płonących wrót. Ogień strawił je już w takim stopniu, że

nie stanowiły żadnej przeszkody. Jedno skrzydło zwisało krzywo, gotowe spaść.

W pobliżu chwiała się na palu zwęglona tablica z niezdarnie wypisanym słowem Domostwo.

Haskeer podbiegł do Stryka. Zauważył tablicę i pogardliwie ściał ją mieczem. Upadła i złamała się na połowę.

– Nawet nasz język padł ich łupem – warknął.

Jup, Coilla i reszta grupy stanęli obok. Stryk wraz z paroma żołnierzami wyważył zniszczoną bramę.

Wdarli się do środka, na przestronne podwórze. Po prawej stronie znajdowała się zagroda dla bydła. Po lewej rząd starych drzew owocowych. Przed sobą ujrzeli spory drewniany dom.

A przed domem oddział obrońców co najmniej dwa razy liczniejszy od Rosomaków.

Ruszyli do ataku na stwory. W zacieklej walce, która rozgorzała w ułamku chwili, przewaga Rosomaków dała się zauważyć natychmiast. Wróg, nie mając dokąd uciekać, walczył z desperacją, lecz po paru chwilach jego szeregi drastycznie się przerzedziły. Rosomaki ucierpiały dużo mniej, garstka żołnierzy odniosła lekkie rany. Nic nie mogło powstrzymać ich impetu, gdy mieczami siekli mlecze ciała wrogów.

W końcu reszta obrońców wycofała się ku wejściu. Stryk ruszył na nich ramię w ramię z Coillą, Haskeerem i Jupem.

Kiedy wyszarpnął miecz z wnętrzości ostatniego obrońcy, odwrócił się i omiół spojrzeniem podwórze. To, czego szukał, znalazł w zagrodzie.

– Haskeer! Wyrwij z ogrodzenia pał, zrobimy taran!

Sierżant rzucił parę rozkazów i pobiegł. Siedmiu lub ośmiu żołnierzy ruszyło za nim, po drodze wyciągając zza pasów topory.

Stryk skinął na szeregowca. Ten zrobił dwa kroki i upadł z gardłem przeszytym strzałą.

– Łucznicy! – wrzasnął Jup, wskazując mieczem piętro budynku.

Oddział rozproszył się, bo z otwartego okna posypał się na nich grad strzał. Jednego żołnierza trafiono w głowę. Drugi dostał w ramię; wycofał się, osłaniany przez towarzyszy.

Coilla i Stryk, znajdujący się najbliżej, schowali się pod okapem domu. Przywarli do ściany po obu stronach drzwi.

– Ilu mamy łuczników? – spytała Coilla.

– Właśnie jednego straciliśmy, więc trzech.

Stryk spojrzął na podwórze. Oddział Haskeera przyjął na siebie największy ostrzał. Strzały świstały wokół nich, gdy rąbali belki mocnego płotu zagrody.

Jup i inni rozproszyli się na terenie nieopodal. Kapral Alfray ukląkł, nie zważając na zagrożenie, zaczął opatrywać rannego żołnierza. Stryk miał go właśnie zawołać, kiedy ujrzał trzech łuczników napinających cięciwy.

Leżeli na brzuchach w doskonałej do strzału odległości. Musieli przechylić łuk i wycelować w górę, unosząc klatkę piersiową a jednak posyłali strzały równym torem.

Stryk i Coilla, ukryci w prowizorycznej kryjówce, nie mogli zrobić nic; obserwowali tylko strzały, które na przemian śmigwały ku górze i szybowały w dół. Po paru minutach oddział wzniósł chrapliwy okrzyk, najwyraźniej dla uczczenia celnego strzału. Ale ostrzał trwał, co oznaczało, że w budynku pozostał co najmniej jeden łucznik.

– Dlaczego nie podpalą strzał? – spytała Coilla.

– Nie chcemy, żeby dom spłonął, zanim nie dostaniemy tego, po co tu przyszliśmy.

Od strony zagrody dobiegł ich potężny trzask. Grupa Haskeera zdołała wyrwać belkę. Żołnierze zaczęli ją podnosić, nadal kryjąc się przed strzałami wroga, choć teraz padały one już rzadziej.

Kolejny tryumfalny wrzask, a po nim jakieś zamieszanie na piętrze.

Łucznik wypadł przez okno i runął na ziemię tuż przed Strykiem i Coilla. Przy upadku strzała w jego piersi złamała się na pół.

Jup zerwał się, dając znak, że piętro jest już wolne.

Oddział Haskeera ruszył z belką napinając mięśnie i krzywiąc twarz z wysiłku. Wszyscy ściskający prowizoryczny taran zaczęli uderzać we wzmocnione odrzwia, odłupując drzazgi. Pod gradem ciosów drzwi ustąpiły z głośnym trzaskiem.

Ich oczom ukazało się trzech obrońców. Pierwszy skoczył, jednym ciosem powalając żołnierza z przodu. Stryk skosił stworę, przeskoczył przez porzuconą belkę i dopadł następnego. Po krótkiej, gorączkowej wymianie ciosów stworzenie upadło na podłogę. Ale ta chwila wystawiła Stryka na ciosy trzeciego obrońcy, który zbliżył się, kłując mieczem, gotowy kosić głowy.

Nóż uderzył go prosto w pierś. Stwór wydał chrapliwe skrzeknięcie, upuścił miecz i upadł na twarz.

Stryk mruknął coś pod nosem; Coilla tylko takiego podziękowania mogła się spodziewać.

Wyrwała nóż z ciała ofiary, a w wolną rękę chwyciła drugi. Woląa mieć broń w obu rękach, na wypadek bliskiego starcia. Rosomaki wdarły się do domu w ślad za nią.

Ujrzeni schody, a w głębi korytarz.

– Haskeer! Weź pół oddziału i sprawdź parter – rozkazał Stryk. – Reszta za mną!

Żołnierze Haskeera rozproszyli się na prawo i lewo. Stryk poprowadził swoich po schodach.

Byli niemal u ich szczytu, kiedy pojawiła się para stworów. Stryk i jego oddział roznieśli ich na mieczach. Coilla pierwsza dotarła na piętro i starła się z kolejną przeciwniczką. Rozpłatała jej ramię zębatym ostrzem. Niemal nie zatrzymując się, przeszła nim pierś stworę, który z wyciem zwałił się

przez balustradę i runął w nicość.

Stryk zerknął na jej krwawiącą ranę. Coilla nie skarżyła się, więc zajął się zadaniem. Znajdowali się w długim korytarzu z licznymi drzwiami. Wiele stało otworem, ukazując puste pokoje. Wysłał żołnierzy na zwiady. Podeszli cicho i ustawili się na zewnątrz.

Odgłosy walki na parterze cichły. Wkrótce słychać było już tylko monotony szmer starć na równinie i zduszone dyszenie Rosomaków, którzy zgromadzili się w korytarzu.

Stryk powiódł wzrokiem od Coilli do Jupa, po czym skinął głową na trzech najbardziej krzepkich szeregowców. Naparli na drzwi – raz, drugi, trzeci. W końcu stanęły otworem, a oni wpadli do środka z uniesioną bronią. Stryk i pozostali oficerowie poszli w ich ślady.

Przed nimi stanął stwór z obustronnym toporem. Padł pod licznymi ciosami, zanim zdołał wyrzucić komuś krzywdę.

Pokój był przestronny. W głębi znajdowały się jeszcze dwie postaci, które coś osłaniały własnym ciałem. Jedna należała do rasy stworów. Druga była z plemienia Jupa – niska, przysadzista, wydająca się jeszcze niższa w porównaniu z wysokim towarzyszem.

Rzucił się naprzód, uzbrojony w miecz i sztylet. Rosomaki pospieszyły na jego spotkanie.

– Nie! – ryknął Jup. – Mój!

Stryk zrozumiał.

– Zostawcie go! – warknął.

Jego żołnierze opuścili broń.

Obaj przeciwnicy starli się w walce. Przez parę chwil stali w milczeniu, przyglądając się sobie z zacieklą nienawiścią.

Potem w powietrzu zgrzytnęły ostrza.

Jup walczył z animuszem, parując każdy cios przeciwnika, unikając jego broni płynnymi ruchami, świadczącymi o długotrwałej praktyce. Po paru

sekundach sztylet śmignął w powietrzu i wbił się w podłogę. Wkrótce potem to samo stało się z mieczem.

Sierżant Rosomaków przeszył pierś przeciwnika. Ten osunął się na kolana, upadł na twarz, drgnął konwulsyjnie i umarł.

Ostami obrońca, do tej pory zahipnotyzowany walką wyjął miecz i przygotował się do ostatecznej rozgrywki. Dopiero wtedy okazało się, że osłania samicę. Ta, przykucnięta, z szarymi włosami, które pot kleił jej do czoła, tuliła młode. Niemowlak, pulchny i różowy jak niebo o świcie, miał pewnie dopiero parę dni.

Z piersi samicy wystawał grot. Na podłodze leżały strzały. Była jednym z łuczników.

Stryk machnął ręką na Rosomaków, nakazując im trzymać się z daleka. Przeszedł przez pokój. Nie widział zagrożenia, nie spieszył się. Ominął kałużę krwi, sączącej się z ciała przeciwnika Jupa, dotarł do ostatniego obrońcy i zmierzył go wzrokiem.

Przez chwilę wydawało mu się, że stwór mógłby przemówić.

Ale tylko skoczył, jak szalony wywijając mieczem, bardzo nieporadnie.

Stryk spokojnie odparł cios i zakończył sprawę, przecinając gardło stwora tak, że niemal odrąbał mu głowę.

Zakrwawiona samica wydała cienki pisk, trochę jak kwik, trochę jak jęk. Stryk słyszał już coś takiego – raz czy dwa. Spojrzał na nią i ujrzał w jej oczach ślad wyzwania. Ale nienawiść, strach i cierpienie były silniejsze. Jej twarz straciła kolory, oddech był chrapliwy. Ostatkiem sił tuliła niemowlę, usiłując je chronić. Potem życie z wolna zaczęło z niej uchodzić. Powoli przechyliła się na bok i zamarła na podłodze. Młode wypadło z jej objęć i zaczęło piszczeć.

Stryk stracił zainteresowanie sprawą i minął zwłoki.

Stanął przed ołtarzem Jedów. Tak jak inne, był bardzo skromny: wysoki stół przykryty białym obrusem ze złotym haftem na brzegach, ołowiane

świeczniki na każdym końcu. Na środku znajdował się żelazny przedmiot – symbol ich wiary. Składał się z dwóch prętów z czarnego metalu, zespawanych w kształcie prostego iksa. Ale jego interesował przedmiot stojący na krańcu stołu. Był to cylinder długości jego ramienia, szeroki jak jego pięść. Miał kolor miedzi, a pokrywały go spłowiałe runy. Na końcu znajdowało się wieczko, schludnie zaplombowane czerwonym woskiem.

Coilla i Jup stanęli u jego boku. Ona opatrywała sobie ramię, on wycierał szmatą czerwone plamy z miecza. Oboje wpatrywali się w cylinder.

– Czy to to? – spytała Coilla.

– Tak. Pasuje do opisu.

– Nie wygląda na coś wartego życia tylu istot – zauważył Jup. Stryk sięgnął po cylinder i przyjrzał mu się przez chwilę, zanim wsunął go za pas. – Jestem tylko skromnym kapitanem. Nasza pani nie wyjaśnia szczegółów komuś tak nędznemu – wyjaśnił cynicznie.

Coilla zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem, dlaczego to ostatnie stworzenie poświęciło życie, broniąc samicy i jej młodego.

– A czy ludzie postępują rozsądnie? – odparł Stryk. – Brakuje im rozsądku, którym jesteśmy obdarzeni my, orkowie.

Wrzaski niemowlaka stawały się coraz głośniejsze.

Stryk odwrócił się. Jego zielony, gadzi język przesunął się po nakrapianych wargach.

– Wy też jesteście głodni? – spytał.

Ten żart rozładował atmosferę. Wszyscy parsknęli śmiechem.

– Dokładnie tego by się po nas spodziewali – powiedziała Coilla, chwytając młode za kark. Uniosła je na wysokość swojej twarzy i spojrzała na zażawione niebieskie oczy i pulchne policzki z dołeczkami. – Bogowie, ależ to brzydkie!

– Święta racja – zgodził się Stryk.

ROZDZIAŁ 2



tryk wyprowadził żołnierzy z pomieszczenia. Coilla niosła z niesmakiem dziecko.

U stóp schodów czekał na nich Haskeer.

– Jest? - spytał.

Stryk skinął głową i poklepał cylinder u pasa.

– Podpalać.

Ruszył do drzwi.

Haskeer wskazał dwóch żołnierzy.

– Ty i ty. Do roboty. Reszta wynocha!

Coilla stanęła przed nim i wcisnęła mu dziecko w ramiona.

– Zjedź w dolinę i zostaw to tam, gdzie ludzie je znajdą. I staraj się obchodzić z nim... delikatnie.

Oddalił się z ulgą. Żołnierz odszedł z zaskoczoną miną, niosąc zawiniątko jak kopę jaj.

Wszyscy opuścili dom. Wyznaczeni podpalacze znaleźli latarnie i zaczęli rozlewać oliwę. Kiedy skończyli, Haskeer odprawił ich i wyciągnął zza cholewy krzemień. Oddarł kawałek koszuli martwego obrońcy, nasączył go olejem i zapalił, a potem rzucił na podłogę i uciekł.

W pokoju wybuchł żółty płomień. Po podłodze rozprzestrzeniły się ogniste ścieżki.

Haskeer, nie odwracając się, podążył przez podwórze ku pozostałym. Stali z Alfrayem. Kaprał, jak zwykle, pełnił obowiązki sanitariusza. Kiedy Haskeer znalazł się na miejscu, właśnie obwiązywał prowizoryczne szyny ostatniego żołnierza.

Stryk zażądał przedstawienia strat.

Alfray wskazał ciała dwóch martwych towarzyszy.

– Slettal i Wrelbyd. Oprócz nich, trzech rannych. Ale wszystkie rany się zagoją. Około dwunastu odniosło zwykłe obrażenia.

– Czyli pięciu niezdolnych do akcji. Zostaje dwudziestu pięciu sprawnych, w tym oficerowie.

– Ile wynoszą dopuszczalne straty podczas takiej akcji? – spytała Coilla.

– Dwudziestu dziewięciu.

Nawet żołnierz z szynami zaczął się śmiać. Choć wszyscy wiedzieli, że tak naprawdę kapitan nie żartuje.

Tylko Coilla pozostała poważna. Jej nozdrza rozdęły się lekko. Nie wiedziała, czy reszta z niej nie kpi, ponieważ była nowa w oddziale.

Musi się jeszcze wiele nauczyć, pomyślał Stryk. I to szybko.

– Na dole jest już spokojniej – raportował Alfray. Mówił o bitwie w dolinie. – Szala przechyliła się na naszą stronę.

– Zgodnie z oczekiwaniami – odparł Stryk. Nie był zainteresowany.

Alfray zauważył ranę Coilli.

– Mam się tym zająć?

– To nic takiego. Później. – A do Stryka powiedziała chłodno: – Nie powinniśmy już ruszać?

– Mhm. Alfray, znajdź wóz dla rannych. Trupy zostaw ścierwojadom. – A wy – zwrócił się do dziewięciu czy dziesięciu kręcących się wokół żołnierzy – przygotujcie się do forsownego marszu do Cairnbarrow.

Posmutnieli.

– Niedługo zmrok – zauważył Jup.

– I co z tego? Chyba potrafią chodzić? A może boją się ciemności?

– Biedna piechota – mruknął przechodzący szeregowiec.

Stryk kopnął go mocno pod żebra.

– I nie zapominaj o tym, ty żałosny łajdaku!

Żołnierz zaskowyczał i pospiesznie odszedł, kuląc się.

Tym razem Coilla roześmiała się razem z innymi.

Wokół zagrody zerwał się hałas, ryki i świergoty. Stryk ruszył w tamtym kierunku. Haskeer i Jup poszli za nim. Coilla została z Alfrayem.

Dwóch żołnierzy opierało się o płot, przyglądając się spłoszonym zwierzętom.

– Co się dzieje? – spytał Stryk.

– Boją się – odpowiedział żołnierz. – Nie powinno się ich tak trzymać. To nienaturalne.

Stryk podszedł do ogrodzenia, żeby się przyjrzeć.

Najbliższy stwór był oddalony na długość miecza. Dwukrotnie przewyższał orka. Stał dęba, opierając się na potężnych tylnych nogach, których pazury wbijały się w ziemię. Pierś kociego ciała wzdęła się, płowóżółte futro było zjeżone. Orla głowa poruszała się ostrymi, urywanymi ruchami, a wygięty dziób klekotał nerwowo. Ogromne oczy, lśniące czarne kule w zaskakująco białej tkance, nigdy nie patrzyły spokojnie. Uszy były nastawione, czujne i drżące.

Stworzenie było wyraźnie poruszone, a jednak w jego postawie było widać dziwną szlachetność.

Inne zwierzęta – stado mogło liczyć około stu sztuk – stały na ogół na czterech łapach, wyginając grzbiety. Ale tu i tam widać było pary, które boksowały się chudymi łapami, wyciągając niebezpiecznie ostre pazury. Ich długie, kręte ogony śmigały rytmicznie.

Powiew wiatru przywiał smród gryfięgo łajna.

– Gant ma rację – zauważył Haskeer, wskazując żołnierza, który się

odezwał. – Ta zagroda to obraz Maras-Dantii.

– Bardzo to poetyckie, sierżancie.

Kpina Stryka zraniła dumę Haskeera, tak jak powinno być. Sierżant zawstydził się na tyle, na ile było to możliwe u orka.

– Chodziło mi tylko o to, że ludzie ciągle chcą więzić wolno żyjące stworzenia – wyjaśnił pokornie. – A wszyscy wiemy, że to samo zrobiliby z nami, gdybyśmy im pozwolili.

– Wiem tylko tyle – wtrącił Jup – że te gryfy mają paskudny zapach i dobry smak.

– A ciebie kto pytał, ty mała pijawko? – zapienił się Haskeer.

Jup podskoczył, gotów do bójki.

– Wy dwaj milczeć! – warknął Stryk. Zwrócił się do żołnierzy: – Parę zarznąć, resztę wypuścić przed naszym odejściem.

Odszedł. Jup i Haskeer podążyli za nim, wymieniając mordercze spojrzenia.

Za nimi ogień ogarniał dom. Płomienie wyglądały już z górnych okien, a dym walił kłębami z drzwi wejściowych.

Dotarli do zrujnowanych wrót podwórza. Strażnicy, ujrawszy dowódcę, wyprostowali się pospiesznie, udając czujność. Stryk nie zrugął ich. Bardziej interesowała go sytuacja w dolinie. Walka ustała, obrońcy albo zginęli, albo uciekli.

– Wygrana jest dodatkową nagrodą – zauważył Haskeer – choć walka miała tylko odwrócić uwagę.

– Byli przetrzebieni. Wygrana się nam należała. Ale nie gadać mi o dywersji, nie poza oddziałem. Zwykły żołnierz nie powinien wiedzieć, że ta bitwa rozgorzała, żebyśmy mogli wypełnić zadanie. – Odruchowo dotknął cylindra.

Hieny już myszkowały wśród zmarłych, zabierały im broń, buty i wszystko, co mogło się przydać. Inne grupy dobijały rannych wrogów, a

także swoich, którym nie można było pomóc. Stosy pogrzebowe już płonęły.

W gęstniejącym zmroku robiło się zimno. Ostry wiatr smagnął twarz Stryka, który spojrział w głąb pola bitwy, ku dalszym dolinom i bardziej odległym, łagodnie falującym pagórkom. Tonące w długich cieniach stanowiły widok dobrze znany jego przodkom – z wyjątkiem dalekiego horyzontu, na którym lśniąca bielą odznaczał się zbliżający lodowiec.

Stryk przeklął cicho – po raz może tysięczny – ludzi, którzy pożerali magię Maras-Dantii.

Potem porzucił rozmyślenia i wrócił do rzeczywistości. Musiał o coś zapytać Jupa.

– Co czułeś, zabijając swojego?

– Co czułem? – Krępy sierżant spojrział na niego ze zdziwieniem. – To, co zawsze. Nie był pierwszy. Zresztą to nie był „swój”. Nawet nie wiem, z jakiego plemienia krasnoludów pochodził.

Haskeer, który nie widział tego zajścia, zaciekawiał się.

– Zabiłeś swojego? Musisz naprawdę chcieć się wykazać.

– Wziął stronę ludzi, więc był moim wrogiem. Nie muszę się niczym wykazywać.

– Naprawdę? Choć tyle waszych klanów sprzymierza się z ludźmi, a ty jesteś jedynym krasnoludem w Rosomakach? Moim zdaniem musisz się bardzo wykazywać.

Żył na szyi Jupa nabrzmiały jak powrozy.

– Jak to?

– Zastanawiam się, po co nam ktoś taki.

Powinienem to uciąć, pomyślał Stryk, ale zbyt długo jątrzyła się w nich uraza. Może pora, żeby się starli ze sobą.

– Zasłużyłem na belki sierżanta! – Jup wskazał na półkolisty tatuaż na poczerwieniałych z gniewu policzkach. – Wystarczająco się wykazałem.

– Czyżby? – zaszydził Haskeer.

Hałas zwabił Coillę, Alfraya i paru żołnierzy. Kilku szeregowców z nadzieją czekało na walkę między oficerami. Albo na przegraną Jupa.

Obaj już otwarcie obrzucali się obelgami; przeważnie dotyczyły pochodzenia sierżanta. Po szczególnie dotkliwej ich wymianie Haskeer chwycił Jupa za brodę i szarpnął.

– Powtórz to, ty kłębku kłaków!

Jup wyszarpnął się.

– Przynajmniej mam włosy! A wy, orkowie, macie łby jak ludzkie zadki!

Od słów przeszli do czynów. Doskoczyli do siebie z zaciśniętymi pięściami.

Przez tłum przedarł się jakiś szeregowiec.

– Kapitanie! Kapitanie!

Nie powitano go życzliwie. Paru żołnierzy jęknęło z rozczarowaniem.

Stryk westchnął.

– O co chodzi?

– Coś znaleźliśmy. Powinien pan to zobaczyć, kapitanie.

– Czy to nie może zaczekać?

– Nie sądzę. Wygląda na coś ważnego.

– Dobrze. Wy dwaj, dajcie spokój. Haskeer i Jup nie drgnęli. – Wystarczy! – warknął złowrogo. Wówczas opuścili pięści i cofnęli się niechętnie. Nadal biła od nich nienawiść.

Stryk rozkazał strażnikom nikogo nie wpuszczać, a innym polecił zająć się własnymi sprawami.

– Lepiej, żeby to było coś ważnego, żołnierzu.

Szeregowiec poprowadził go przez podwórze. Coilla, Jup, Alfray i Haskeer ruszyli za nimi, zaciekawieni.

Dom płonął jak pochodnia; płomienie skakały po jego dachu. Żar buchał od niego aż po sad, gdzie szeregowiec skręcił w lewo. Ogień ogarnął wyżej

położone konary drzew; każdy powiew wiatru sypał kaskadami iskier.

Przemierzyli sad i dotarli do skromnej drewnianej stodoły z szeroko otwartymi podwójnymi wrotami. Wewnątrz czekało dwóch szeregowców z pochodniami. Jeden zerkał do jutowego worka. Drugi klęczał, zaglądając w otwartą klapę w podłodze.

Stryk przykucnął przy worku. Pozostali stanęli wokół. W worku znajdowały się drobne przezroczyste kryształki o fioletoworóżowym odcieniu.

– Krystalin – odezwała się cicho Coilla.

Alfray polizał palec i dotknął kryształków. Posmakował ich.

– Pierwszorzędny.

– I proszę spojrzeć tutaj. – Żołnierz wskazał klapę.

Stryk wziął pochodnię od klęczącego szeregowca. W migotliwym blasku ujrzeli małą piwniczkę, ale na tyle wysoką że zmieściłby się w niej wyprostowany ork. Na klepisku leżały dwa worki.

Jup gwizdnął cicho, z podziwem.

– W życiu tyle nie widziałem.

Haskeer, zapomniawszy na chwilę o swojej urazie, pokiwał głową.

– Pomyśl, ile to jest warte!

– A może spróbujemy? – zaproponował z nadzieją Jup. Haskeer go poparł.

– To przecież nie zawadzi, kapitanie. Czy nie zasługujemy na to po wypełnieniu misji?

– Nie wiem...

Coilla przyglądała się im w zamyśleniu, ale nie odezwała się.

Alfray zerknął na cylinder za pasem Stryka.

– Nie będzie mądrze kazać królowej czekać zbyt długo – ostrzegł.

Stryk jakby go nie słyszał. Zaczepnął garść miałkich kryształków i przesywał je wolno między palcami.

– To mała fortuna. Pomyślcie, jak bardzo wzbogacą się kufry naszej pani.

– Właśnie – dodał gorliwie Jup. – Spójrzcie na to z jej punktu widzenia. Nasza misja zakończyła się sukcesem, zwyciężyliśmy na polu bitwy i w dodatku mamy kryształowy blask. Królowa pewnie cię awansuje!

– Zastanów się, kapitanie – odezwał się Haskeer. – Kiedy krystalin znajdzie się w rękach królowej, czy kiedykolwiek ujrzemy go na oczy? Płynie w niej dość ludzkiej krwi, żeby odpowiedź na to pytanie miała być dla mnie zagadką.

To zakończyło sprawę.

Stryk otrzepał ręce.

– Czego oczy nie widzą tego sercu nie żal – oznajmił. – A godzina czy dwie opóźnienia nie zrobią aż takiej różnicy. A kiedy Jennesta zobaczy, co dla niej mamy, nawet ona będzie zadowolona.

ROZDZIAŁ 3



Niektórzy potrafią znosić niepowodzenia z wdziękiem i cierpliwie. Inni uważają przeszkody na drodze do osiągnięcia celu za nieznośny ciężar. Pierwsi są wzorem godnego podziwu stoicyzmu. Drudzy są niebezpieczni.

Królowa Jennesta należała zdecydowanie do drugiej kategorii. I zaczynała się niecierpliwić.

Oddział, któremu powierzyła świętą misję – Rosomaki – jeszcze nie wrócił. Wiedziała, że bitwa już się zakończyła i to zwycięstwem, ale żołnierze jeszcze nie przynieśli jej tego, czego pożądała.

Kiedy wrócą, każe ich żywcem obedrzeć ze skóry. A jeśli nie wypełnili zadania, czeka ich dużo gorszy los.

W oczekiwaniu na nich kazała sobie zapewnić rozrywkę. Było to konieczne i praktyczne, a przy tym obiecywało pewną przyjemność. Jak zwykle rozrywka miała mieć miejsce w jej *sanctum sanctorum*, najgłębiej położonej części jej prywatnych apartamentów.

Komnata, ukryta głęboko w podziemiach pałacu Cairnbarrow, była zbudowana z kamienia. Tuzin filarów podtrzymywał wysoki sklepiony sufit. Z rzadka rozsiane kandelabry i łuczywa zapewniały minimum oświetlenia, gdyż Jennesta wolała mrok.

Kobierce na ścianach były zdobione kabalistycznymi symbolami.

Wytarte granitowe płyty podłogi przykrywały dywany, na których widniały podobne znaki, zrozumiałe jedynie dla wtajemniczonych. Drewniane krzesło z wysokim oparciem, ozdobnie rzeźbione, lecz niebędące tronem, stało koło żelaznego piecyka z płonącymi węglami.

W komnacie znajdowały się dwa charakterystyczne przedmioty. Pierwszym był potężny złom czarnego marmuru, który służył jako ołtarz. Drugi stał przed nim – wyrzeźbiony z tego samego kamienia, lecz białej barwy – i miał kształt długiego, niskiego stołu lub siedziska.

Na ołtarzu znajdował się srebrny kielich. Obok niego leżał zakrzywiony sztylet o rękojeści wykładanej złotem i ostrzu pokrytym runami. Nieco dalej widać było mały młoteczek o masywnej, okrągłej główce, ozdobiony podobnie jak sztylet.

Siedzisko z białego marmuru miało na każdym końcu parę kajdan. Jennesta powoli przesunęła palcami po gładkiej powierzchni kamienia. Chłodna gładź zdawała się zmysłowo reagować na jej dotyk.

Z zamyślenia wyrwało ją pukanie do nabijanych nitami dębowych drzwi.
– Wejść.

Dwóch strażników wprowadziło człowieka, trzymając go na odległość włóczni. Miał skute ręce i nogi, a jego jedynym odzieniem była przepaska na biodra. Był w wieku około trzydziestu lat i, tak jak wszyscy z jego gatunku, przewyższał prowadzących go orków o głowę. Twarz szpeciły mu siniaki. W jasnych włosach i brodzie zakrzepła krew. Szedł sztywno, z powodu kajdan, lecz głównie dlatego że po pojmaniu w walce wychłostano go. Jego plecy przecinały jaskrawoczerwone pręgi.

– A, przybył mój gość. Witam. – W słodkim jak syrop głosie królowej dźwięczała czysta kpina.

Człowiek milczał.

Podeszła leniwym krokiem. Strażnik szarpnął więźnia za skute przeguby. Ten skrzywił się. Jennesta objęła spojrzeniem jego krzepką, muskularną

postać i uznała, że jeniec nadaje się do jej celów.

On także przyglądał się jej bacznie, a wyraz jego twarzy wyraźnie świadczył o zaskoczeniu.

W kształcie jej twarzy było coś niepokojącego. Była trochę za płaska, odrobinę szersza w skroniach niż powinna, a podbródek – zbyt spiczasty. Hebanowe włosy spływały falami aż po talię, tak lśniące, że wyglądały jak wilgotne. Czarne bezdenne oczy migotały, a wyjątkowo długie rzęsy podkreślały ten blask. Nos był nieco wygięty, a usta nadmiernie szerokie.

Nie znaczy to, że cechy te budziły niechęć. Wydawało się jedynie, że jej rysy wymknęły się naturze i przeszły własną ewolucję. Efekt był oszałamiający.

Skóra Jennesty także nie wyglądała całkiem zwyczajnie. W migotliwym świetle świec biła od niej to szmaragdowa, to srebrzysta łuna, jakby pokrywały ją miniaturowe rybnie łuski. Miała na sobie długą szkarłatną suknię, odsłaniającą ramiona i ściśle opinającą jej giętkie ciało. Stopy miała bosc.

Bez wątpienia była powabna, ale jej uroda miała w sobie coś niepokojącego. Na jej widok jeniec zareagował jednocześnie przyspieszonym tętnem i odrazą. W świecie pełnym rozmaitych ras była dla niego kimś zupełnie obcym.

– Nie okazujesz stosownego szacunku – zauważyła. Jej ogromne oczy hipnotyzowały go spojrzeniem. Wydawało się, że zaglądaą mu na dno duszy.

Jeniec wyrwał się z oków tego przykuwającego spojrzenia. Pomimo bólu uśmiechnął się – w jego uśmiechu było sporo cynizmu. Wskazał wzrokiem swoje kajdany.

– Nawet gdybym miał taki zamiar, byłoby mi trudno.

Jennesta także się uśmiechnęła, bardzo niepokojąco.

– Strażnicy z radością ci pomogą – powiedziała wesoło.

Żołnierze rzucili go na kolana.

– Tak już lepiej. – Jej głos ociekał sztuczną słodyczą.

Łapiąc spazmatycznie powietrze, podniósł głowę i ujrzał jej rękę. Długość jej smukłych palców, wydłużonych jeszcze przez ostre paznokcie, była niemal nienaturalna. Jennesta podeszła do niego, dotknęła pręg na jego plecach. Musnęła je lekko, ale on się wzdrygnął. Przesunęła czubkami paznokci po rozpalonych czerwonych liniach, z których pociekły nowe strużki krwi. Jęknął. Nawet nie starała się ukryć rozkoszy.

– Bądź przeklęta, ty pogańska suko – syknął słabo.

Roześmiała się.

– Typowy Jed. Każdy, kto odrzuca wasze wierzenia, musi być poganinem. A jednak to wy, wyznawcy jednego bóstwa, jesteście tu nowymi przybyszami.

– A wy wierzycie w starych, martwych bogów, których czczą tacy jak oni – odparł, obrzucając strażników płonącym spojrzeniem.

– Jakże niewiele wiesz. Wiara Mnogów oddaje cześć bogom starszym niż starożytni. Żywym bogom, w przeciwieństwie do fikcji, którą wielbicie.

Odkaszlnął; rozpacz zatrzęsa całym jego ciałem.

– I ty zwiesz się Mnogą?

– Cóż z tego?

– Mnogowie się mylą, ale przynajmniej są ludźmi.

– A ja, która nie jestem człowiekiem, nie potrafię pojąć ich wiary? Twoja ignorancja wypełniłaby naszą fosę, wieśniaku. Ścieżka Mnogości jest dla wszystkich. Poza tym w moich żyłach płynie ludzka krew.

Uniósł brwi.

– Nigdy nie spotkałeś hybrydy? – Nie czekała na odpowiedź. – Najwyraźniej nie. Jestem dzieckiem najady i człowieka. Łączę w sobie ich najlepsze cechy.

– Najlepsze? Taki związek to... wszeteczeństwo!

To rozbawiło królową jeszcze bardziej. Odrzuciła głowę do tyłu i znowu wybuchnęła śmiechem.

– Dość tego. Nie jesteś tu po to, by dyskutować. – Skinęła na żołnierzy.
– Przygotować go.

Podnieśli go z klęczek i poprowadzili do marmurowego siedziska. Podnieśli go za ręce i nogi, po czym rzucili bezceremonialnie na marmur. Krzyknął z bólu, a do oczu napłynęły mu łzy. Zdjęli mu łańcuchy i przykuli jego nadgarstki i kostki do kamienia.

Jennesta odprawiła ich szorstko. Skłonili się i poczłapali na korytarz.

Królowa podeszła do piecyka i spryskała węgle sproszkowanym kadzidłem. W powietrzu rozszedł się ciężki zapach. Zbliżyła się do ołtarza i ujęła ceremonialny sztylet i kielich.

Człowiek odwrócił z wysiłkiem głowę.

– Przynajmniej okaż mi łaskę szybkiej śmierci – poprosił. Pochyliła się nad nim z nożem w dłoni. Głośno wciągnął powietrze i zaczął odmawiać jakąś modlitwę czy zaklęcie; w panice jego słowa stały się niezrozumiałym bełkotem.

– Gadasz głupstwa – szydziła. – Uspokój język.

Podniosła dłoń z nożem.

I rozcięła jego przepaskę.

Rozdarła materiał i odrzuciła go. Położyła nóż na skraju kamiennego bloku i przyjrzała się jego nagości.

– Co...? – wybełkotał człowiek. Twarz mu poczerwieniała ze wstydu. Przełknął ślinę, szarpnął się.

– Wy, Jedowie, macie bardzo nienaturalny stosunek do swoich ciał – poinformowała go rzeczowo. – Wstydzicie się, choć nie ma czego.

Podniosła mu głowę i zbliżyła kielich do jego ust.

– Pij – rozkazała, gwałtownie przechylając naczynie.

Sporo płynu spłynęło mu do gardła, zanim zakrztusił się i zacisnął zęby

na brzegu pucharu. Odjęła mu go od ust. Człowiek kaszłał i krztusił się. Strużki płynu w kolorze uryny spłynęły mu z kącików ust.

Działanie płynu było błyskawiczne, ale szybko mijało. Jennesta nie traciła czasu. Rozsupłała sznurówki sukni, która osunęła się na podłogę.

Spojrzał na nią oczami wytrzeszczonymi z przerażenia. Omiótł wzrokiem jej bujne, sterczące piersi. Powiódł nim po klatce piersiowej ku przyjemnej linii bioder, długim i kształtnym nogom i gęstemu puchowi między udami.

Jennesta była wcieleniem fizycznej doskonałości, łączącym bujne wdzięki kobiety z obcym dziedzictwem. Jeszcze nigdy nie widział nikogo podobnego.

Z kolei ona obserwowała jego walkę pruderii jedowskiego wychowania z naturalnym samczym głodem. Afrodyzjak pomógł przechylić szalę we właściwym kierunku i stępić ból ran. W razie potrzeby mogła szukać pomocy w magii. Ale wiedziała, że najlepsza perswazja nie wymaga czarów.

Stała przy kamiennym bloku i pochyliła się nad człowiekiem. Od dziwnej słodyczy jej oddechu zjeżyły mu się włosy na karku. Delikatnie dmuchnęła mu w ucho i wyszeptwała szokujące obietnice. Znowu się zaczerwienił, choć tym razem chyba nie tylko ze wstydu.

W końcu odzyskał głos.

– Dlaczego tak mnie dręczysz?

– Sam się dręczysz – odparła cicho – odmawiając sobie zmysłowych radości.

– Dziwka!

Zachichotała i przysunęła się; czubki jej rozkołysanych piersi musnęły jego tors. Pochyliła się, jakby chcąc go pocałować, ale odsunęła się w ostatniej chwili. Oblizała palce i powoli okrężała nimi sutki, aż zeszywniały. Zaczął ciężko oddychać. Napój działał.

Jeniec przełknął głośno ślinę i zdołał zebrać tyle sił, by wykrztusić:

– Myśl o spółkowaniu z tobą jest dla mnie ohydna.

– Naprawdę? – Usiadła na nim. Szarpnął się w więzach, lecz nie starczyło mu sił.

Jennesta rozkoszowała się jego upokorzeniem, złamaniem jego woli. To zwiększało jej podniecenie. Rozchyliła usta i wysunęła język, jakby zbyt długi, by mógł się w nich zmieścić. Był szorstki; zaczęła lizać szyję i ramiona człowieka.

Wbrew samemu sobie zaczął czuć podniecenie. Mocniej objęła nogami jego spocone ciało i pieściła go z coraz większym ogniem. Przez jego twarz przebiegały kolejne emocje: oczekiwanie, wstręt, fascynacja, pragnienie. Strach.

– Nie! – na wpół krzyknął, na wpół zapłakał.

– Ale przecież tego chcesz – szepnęła kojąco. – Przecież jesteś już gotowy.

Uniosła się lekko, sięgnęła po jego męskość i pokierowała nią. Stopniowo zaczęła się poruszać; jej gibkie ciało unosiło się i opadało w powolnym, odmierzonym rytmie. Człowiek odwracał głowę to w jedną to w drugą stronę, z zaszklonymi oczami. Tempo stawało się coraz szybsze. Zaczął się wić i jęczeć. Jennesta poruszała się coraz szybciej. Jeniec z wolna reagował, początkowo nieśmiało, potem rzucając się coraz mocniej i gwałtowniej. Jennesta odrzuciła włosy na plecy. Chmura kruczoczarnych loków zalśniła w blasku ognia; wydawało się, że otacza ją płomienna aureola.

Wiedząc, że jeniec za chwilę bluźnie nasieniem, ujeżdżała go bezlitośnie.

Nagle obiema rękami podniosła sztylet, wznosząc go wysoko nad głowę. Orgazm i przerażenie nadeszły jednocześnie.

Ostrze wbiło się w jego pierś, potem znowu i jeszcze raz. Człowiek

wrzasnął ohydnie i szarpnął się w kajdanach, które przecięły mu skórę na nadgarstkach. Jennesta zadawała cios za ciosem.

Jego wrzaski przeszły w wilgotny bulgot. Potem jego głowa opadła z głuchym stukiem na marmur i ciało znieruchomiało.

Odrzuciła nóż i zaczęła rękami rozrywać krwawą jamę. Odsłoniwszy żebra, chwyciła młotek i zaczęła w nie uderzać. Słychać było ich trzask, a w powietrzu śmigały białe odpryski. Kiedy usunęła tę przeszkodę, odrzuciła młotek i zaczęła zakrwawionymi rękami gmerać w jego klatce piersiowej, szukając jeszcze bijącego serca. Wyrwała je z wysiłkiem.

Uniosła ociekający organ do rozdziawionych ust i wbiła zęby w ciepłe delikatne mięso.

Choć przed chwilą przeżyła rozkosz, nie mogła się ona równać z tym spełnieniem. Z każdym kęsem siły życiowe ofiary wypełniały jej ciało. Czowała ich przyływ, wzmacniający ją fizycznie i psychicznie, karmiący źródło, z którego czerpała magiczną moc.

Siedziała na parującym trupie z twarzą, piersią i rękami usmarowanymi krwią i radośnie ucztowała.

W końcu poczuła ukojenie. Na jakiś czas.

Kiedy oblizwała palce, z ciemnego kąta komnaty wyłoniła się młoda czarno-biała kotka. Miauknęła.

– Chodź, Szafirko – szepnęła słodko Jennesta, klepiąc się po udzie.

Kotka bez trudu wskoczyła na marmurowe siedzisko gotowa na pieszczoty pani. Potem powąchała okaleczone ciało i zaczęła lizać otwartą ranę.

Królowa uśmiechnęła się pobłaźliwie, wstała i pociągnęła za aksamitny sznur dzwonka.

Gwardziści orkowie natychmiast zjawili się na wezwanie. Jeśli widok, który ujrzeli, bądź wygląd królowej zrobiły na nich wrażenie, nie dali tego po sobie poznać.

– Wynieść ścierwo – rozkazała.

Kotka umknęła w cień. Gwardziści zaczęli manipulować przy kajdanach.

– Jakie wieści od Rosomaków? – spytała Jennesta.

– Żadnych, pani – odezwał się strażnik, unikając jej spojrzenia.

Nie to chciała usłyszeć. Pozytywny wpływ posiłku zaczął się już ulatniać. Powróciło niezadowolenie.

Przysięgła w duchu, że zada im śmierć, jakiej nie spodziewali się w najgorszych koszmarach.

Dwóch Rosomaków leżało opartych o drzewo, w roju maleńkich wrózek, śmigających i płasających im nad głowami. Na ich skrzydełkach migotały delikatne tęczowe blaski, a cichy śpiew dźwięczał melodyjnie w wieczornym powietrzu.

Ork nagle wyciągnął rękę i chwycił garść stworzonek. Pisnęły żałośnie. Wepchnął do ust ich wijące się skrzydlate ciała i zaczął je głośno chrupać.

– Małe wkurzające dranie – mruknął jego towarzysz.

Ork pokiwał głową.

– Aha. Ale smaczne.

– I głupie – dodał drugi żołnierz, gdy rój znowu zaczął krążyć nad ich głowami.

Przez jakiś czas przyglądał się mu, po czym ponownie złapał sobie garść pożywienia.

Siedzieli, żując, i wpatrywali się tępo w dymiące szczątki domu po drugiej stronie podwórza. Wróżki wreszcie skojarzyły fakty i uciekły.

Minęła chwila.

– To było naprawdę? – odezwał się pierwszy ork.

– Co?

– Te wróżki.

– Wróżki? Małe wkurzające dranie.

– Tak. Ale... – Przerwał mu kopniak w nogę.

Nie zauważyli kolejnego żołnierza, który zatrzymał się obok nich. Pochylił się ze stęknieniem.

– Macie. – Podał im glinianą fajkę i odszedł, lekko się zataczając.

Pierwszy żołnierz wziął fajkę i pociągnął.

Jego towarzysz mlasnął i skrzywił się. Zaczął grzebać paluchem w zębach i po chwili wydłubał coś, co wyglądało jak małe, lśniące skrzydełko. Wzruszył ramionami i strzepnął je w trawę. Kamrat podał mu fajkę z krystalinem.

W pobliżu zgłiszczy Stryk, Coilla, Jup i Alfray siedzieli wokół małego ogniska, dzieląc się własną fajką. Haskeer mieszał patykiem zawartość czarnego kociołka nad trzaskającymi płomieniami.

– Powiem to po raz ostatni – powiedział Stryk z pewną desperacją. Wskazał cylinder na kolanach. – To coś Jedowie zabrali uzbrojonej karawanie. Zabili strażników. Koniec historii. – Mówił coraz bardziej niewyraźnie. – Jennesta chce to odzyskać.

– Ale dlaczego? – zdziwił się Jup, pykając z fajki. – W końcu to tylko wiośnik nadomości... to znaczy, nośnik wiadomości. – Zamrugnął i podał fajkę Coilli.

– Wiemy – rzucił Stryk. Machnął ręką z lekceważeniem. – Wiadomość musi być ważna. Nie nasza sprawa.

Haskeer rozlał do blaszanych kubków mleczny płyn z kociołka.

– Założę się, że ten krystalin też był w karawanie.

Alfray, nawet w obecnym stanie wykazując się typową dla siebie poprawnością znowu próbował przypomnieć Strykowi o obowiązkach.

– Nie możemy tu zostać zbyt długo. Jeśli królowa...

– Nie znasz innej śpiewki? – przerwał groźnie Stryk. – Zapamiętaj : nasza pani powita nas z otwartymi ramionami. Za bardzo się martwisz, łapiduchu.

Alfray zapadł w ponure milczenie. Odtrącił kubek narkotyku, który

podał mu Haskeer. Stryk przyjął napor i pociągnął spory łyk.

Coilla, która do tej pory siedziała z tępym spojrzeniem, niemal śpiąc pod wpływem krystalinu, teraz przemówiła:

– Alfray ma rację. Narazić się na gniew Jennesty to kiepski plan.

– Czy ty też musisz mnie dręczyć? – warknął Stryk, jeszcze raz unosząc kubek. – Wkrótce ruszymy, nie bój się. Zabraniasz im odrobiny odpoczynku? – Spojrzał w stronę sadu, gdzie Rosomaki zażywały wytchnienia.

Żołnierze rozsiedli się przed większym ogniskiem. Słysząc było ochrypy śmiech, rubaszne żarty i wrzaskliwy śpiew. Dwaj szeregowcy siłowali się na ręce. Paru leżało na ziemi w niezgrabnych pozach.

Stryk odwrócił się do Coilli. Ale sytuacja przy ognisku wyglądała już zupełnie inaczej.

Coilla skuliła się na ziemi z zamkniętymi oczami. Pozostali także leżeli, paru chrapało. Ogień od dawna wygaś. Spojrzał na dużą grupę żołnierzy. Oni także spali, a w ognisku był tylko zimny popiół.

Zapadła głęboka noc. Na niebie lśniły konstelacje gwiazd.

Wydawało mu się, że minęła zaledwie chwila, ale było to złudzenie.

Powinien obudzić wszystkich, ustawić w szyk, wydać rozkaz powrotu do Cairnbarrow. I tak zrobi. Z całą pewnością. Ale najpierw musi rozprostować ciężkie nogi i oczyścić otępiały mózg. To potrwa tylko parę minut. Nie więcej.

Głowa opadła mu na piersi.

Ciepłe otępienie ogarnęło każde włókienko jego mięśni. Tak trudno było walczyć z zamykającymi się powiekami.

Poddał się ciemnościom.

ROZDZIAŁ 4



Otworzył oczy.



łonce lśniło dokładnie nad jego głową. Podniósł rękę, by osłonić się przed blaskiem i, mrugając, powoli wstał. Bujna murawa sprężyste ugiwała się pod jego stopami.

Przed nim rozciągał się daleki łańcuch łagodnie falujących wzgórz. Nad nimi nieskalane białe chmury sunęły spokojnie po nieskazitelnym błękitnie nieba. Wszędzie nietknięta zielen.

Po prawej stronie widać było ogromny las. Po lewej płytki strumień spływał zboczem, po czym zakręcał i znikał z pola widzenia.

Dopiero teraz przyszło mu do głowy, by się zastanowić – bez przekonania – gdzie podziła się noc. Nie miał też pojęcia, gdzie są Rosomaki, ale pytania te tylko przepłynęły przez jego głowę i znikły.

Potem dotarło do niego, że oprócz szumu wody słyszy także inne dźwięki. Te dźwięki przypominały głosy, śmiech i daleki, rytmiczny łomot bębna. Ich źródło znajdowało się albo w jego głowie, albo gdzieś poza strumieniem.

Ruszył w jego stronę, wszedł w wodę; pod podeszwami butów zgrzytnęły mu kamyki, gładko otoczone przez nieustanny dotyk wody. Chłupot obudził jakiś szelest w krzakach na drugim brzegu i jakieś małe przerażone stworzonka uciekły przed nim.

Przyjemnie ciepły wietrzyk musnął mu twarz. Powietrze było świeże i

czyste. Zakręciło mu się od niego w głowie.

Dotarł do miejsca, gdzie strumień zakręcał. Głosy brzmiały już głośniejsz, wyraźniej. Wyłonił się zza zakrętu.

Przed nim rozciągała się mała wioska. Strumień biegł dalej, wił się pomiędzy okrągłymi drewnianymi chatami o dachach krytych strzechą. Z boku stał długi budynek – świetlica, ozdobiona herbami klanu, którego Stryk nie znał. Wisiały na niej także trofea wojenne: miecze, włócznie, białe czaszki szablanych wilków. W powietrzu unosił się zapach dymu i pieczeni.

W wiosce były także konie, bydło, drób.

I orkowie.

Samce, samice, pisklęta. Krzatali się wokół swoich zajęć, doglądali ognisk, rąbali drewno albo po prostu odpoczywali, rozmawiali, przechwalali się. Na placu przed świetlicą grupa nowicjuszy walczyła na miecze i kije. Ich ćwiczeniom towarzyszyły uderzenia w tamburyn. Nikt nie zwrócił na niego szczególnej uwagi. Wszyscy orlcowie, których zobaczył, byli uzbrojeni, jak przystoi, lecz choć Stryk nie znał tego klanu, nie czuł się zagrożony. Był tylko zaciekawiony.

Jakaś postać zbliżała się ku niemu. Zachowywała się swobodnie, nie sięgając po miecz wiszący u jej pasa. Była o głowę niższa od niego, choć wzrostu dodawał jej jaskrawoszkarłatny diadem przeplatany pasmami złota. Szła wyprostowana; postać miała pięknie muskularną.

Nie okazywała zdziwienia jego obecnością. Jej twarz była niemal obojętna, a przynajmniej tak obojętna, jak może być twarz kogoś tak silnego i energicznego. Zbliżyła się do niego i uśmiechnęła, szeroko i ciepło. Poczł mrowienie w łądzwiach.

– Witaj – powiedziała.

Nie odpowiedział natychmiast, zajęty jej urodą.

– Witaj – wymówił z ociąganiem.

– Nie znam cię.

– Ani ja ciebie.

– Z jakiego klanu pochodzisz?

Powiedział.

– Nie znam go. Ale jest ich tak wiele.

Zerknął na nieznane herby na świetlicy.

– I ja nie znam twego klanu. – Zamilkł, zniewolony spojrzeniem jej niezwykłych oczu. – Nie boisz się, witając obcego?

– A powinnam? – zdziwiła się. – Czy nasze klany prowadzą spór?

– Nic o tym nie wiem.

Znowu błysnęła pięknymi, ostrymi i żółtymi zębami.

– Więc nie ma powodu się bać. Chyba że przybyłeś w złych zamiarach.

– Nie, przychodzę w pokoju. Ale czy byłabyś równie życzliwa, gdybym był trollem? Albo goblinem? Albo krasnoludem nieznanego pana?

Znowu spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Troll? Goblin? Krasnolud? Kto to?

– Nie słyszałaś o krasnoludach?

Potrząsnęła głową.

– Ani o gremlinach, trollach, elfach? O żadnej ze starych ras?

– O starych rasach? Nie.

– A o... ludziach?

– Nie wiem, kim są, ale tu ich nie ma.

– To znaczy, że nie mieszkają w tych okolicach?

– To znaczy, że nie rozumiem twoich słów. Jesteś dziwny – powiedziała bez złośliwości.

– A ty mówisz zagadkami. Kto w Maras-Dantii nie słyszał o starych rasach lub ludziach?

– Musiałeś przebyć daleką drogę, przybyszu, skoro twój kraj nosi nazwę, jakiej nigdy nie słyszałam.

Drgnął.

– Nie wiesz nawet, jak nazywa się świat?

—Nie. Mówię, że nie nazywa się Maras-Dantia. Przynajmniej nie w tych okolicach. I nigdy nie spotkałam orka, który twierdziłby, że dzielimy ziemię z tymi... starymi rasami i... ludźmi.

– Orkowie decydują tu o własnym losie? Toczą wojny z tym, z kim chcą? Nie ma ludzi ani...

Roześmiała się.

– A mogło być inaczej?

Stryk zmarszczył brwi.

– Jest, odkąd wyklął się ojciec mojego ojca – mruknął. – A przynajmniej tak sądziliśmy.

– Może za długo maszerowałeś w upale – podsunęła łagodnie.

Spojrzał na słońce i zrozumiał.

– Upał... Nie ma zimnego wiatru.

– Skąd miałby się wziąć? To nie jest zimna pora.

– A lód? – Stryk nie zwracał uwagi na jej słowa. – Nie widziałem lodowca.

– Gdzie?

– Na północy, oczywiście.

Niespodziewanie chwyciła go za rękę.

– Chodź.

Pomimo zmieszania poczuł, że jej ręce są przyjemnie zimne i śliskie. Pozwolił się poprowadzić.

Szli wzdłuż strumienia, aż wioska została za nimi. W końcu stanęli na skraju granitowego klifu. Strumień zmienił się tu w jeziorko i spadał z krawędzi niczym wodospad; pieniste kaskady uderzały o kamienie większej doliny.

U stóp klifu pojawiła się znikąd srebrna nitka rzeki, przecinając oliwkowe równiny, ciągnące się nieskończenie we wszystkich kierunkach.

Tylko ogromne lasy po prawej stronie ograniczały nieco to morze traw. Jak okiem sięgnąć ciągnęły się stada pasącego się bydła, zbyt licznych, by ocenić ich ilość. Ork mógłby tu spędzić całe życie i nigdy nie zabrakłoby mu jedzenia.

Samica wskazała przed siebie.

– Północ – powiedziała.

Nie było zbliżającego się lodowca ani niskiego ołowianego nieba. Wszędzie widział to samo: bujna roślinność, niekończąca się zieleń, kwitnące życie.

Ogarnęło go dziwne uczucie. Nie potrafił wyjaśnić dlaczego, ale odniósł dręczące wrażenie, że to wszystko coś mu przypomina, jakby już gdzieś widział te wspaniałe strony i oddychał tym nieskazanym powietrzem.

– Czy to... Vartania? – Ledwie ośmielił się wyszeptać święte słowo.

– Raj? – Uśmiechnęła się tajemniczo. – Być może. Jeśli postanowisz go stworzyć.

Alchemia słońca i pyłu wodnego wyczarowała łuk tęczy. W milczeniu podziwiali jego wielobarwną wspaniałość.

Szum wody kładł się balsamem na znękaną duszę Stryka.

Otworzył oczy.

Rosomak sikał w popiół ogniska.

Stryk oprzytomniał.

– Co to ma znaczyć, żołnierzu? – warknął.

Szeregowiec uciekł jak oparzony, ze spuszczoną głową, grzebiąc przy spodniach.

Stryk, nadal oszołomiony po śnie, wizji czy czymkolwiek to było, dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że słońce już wzeszło, a świt dawno przeminął.

– Bogowie! – zaklął i zerwał się na równe nogi.

Sprawdził, czy cylinder nadal tkwi za jego pasem, po czym szybko

rozejrzał się dokoła. Dwóch czy trzech Rosomaków niepewnie powracało do rzeczywistości, lecz reszta, w tym strażnicy, leżała pokotem na podwórzu.

Podbiegł do najbliższej grupy śpiących i obudził ich kopniakami.

– Wstawać, dranie! – ryknął. – Ale już! Ruszać się!

Niektórzy odsuwali się przed ciosami, paru zerwało się z mieczami w dłoniach, gotowych do walki, ale wycofali się, gdy rozpoznali prześladowcę. Wśród nich był Haskeer, choć na nim wściekłość dowódcy zrobiła najmniejsze wrażenie. Spochmurniał i z wyrachowaną powolnością schował nóż.

– Co cię gnębi? – spytał z urazą.

– Co mnie gnębi? Nowy dzień mnie gnębi, ty zakuta pało! – Wskazał kciukiem niebo. – Słońce już wysoko, a my ciągle tutaj!

– A czyja to wina?

Stryk zmrużył złowrogo oczy. Zbliżył się niebezpiecznie do Haskeera, na tyle, by poczuć na twarzy jego cuchnący oddech.

– Co? – syknął.

– Masz pretensję do nas, ale to ty dowodzisz.

– Chciałbyś to zmienić?

Rosomaki zaczęły się gromadzić wokół nich – w rozsądnej odległości.

Haskeer wytrzymał spojrzenie Stryka. Jego dłoń spoczęła na głowni sztyletu.

– Stryk!

Coilla odepchnęła na bok szeregowca. Za nią biegli Alfray i Jup.

– Nie mamy na to czasu – oznajmiła surowo.

Kapitan i sierżant nie zwrócili na nią uwagi.

– Królowa! – wtrącił Alfray. – Musimy wracać do Cairnbarrow.

Jennesta...

To imię zdjęło z nich czar.

– Wiem – warknął Stryk. Rzucił Haskeerowi ostatnie pogardliwe spojrzenie i odwrócił się od niego.

Sierżant wycofał się, w rewanżu rzucając po drodze Jupowi jadowne spojrzenie.

– Dziś nie będziemy maszerować – Stryk przemówił do żołnierzy. – Pojedziemy. Darig, Liffin, Reafdaw, Kestix – złapać konie dla wszystkich. Seafe i ty, Noskaa – znajdźcie parę mułów. Finje, Bhose – zbierzcie zapasy. Ale niezbyt dużo. Gant, weź tyle osób, ile potrzebujesz, i wypuść gryfy. Reszta – zebrać nasz sprzęt. Ruszać się!

Szeregowcy rozbiegli się we wszystkich kierunkach.

Stryk powiódł wzrokiem po oficerach. Alfray, Jup, Haskeer i Coilla mieli zaczerwienione oczy, pewnie jak on sam.

– Haskeer, dopilnujesz, żeby nie marnowali czasu z końmi i mułami. Ty też, Jup. I żadnych kłopotów. – Skinął im szybko głową.

Odeszli, trzymając się z dala od siebie.

– A my? Co mamy robić? – zapytał Alfray.

– Weźcie paru szeregowców, niech równo rozdziela krystalin pomiędzy wszystkich. Tak będzie łatwiej go przewieźć. Ale wyraźnie im zapowiedzcie, że tylko go przenoszą, nie dostali go na własność. A jeśli któryś będzie miał inne zdanie na ten temat, wygarbujcie mu nie tylko tyłek.

Alfray skinął głową i odszedł.

Coilla została.

– Wyglądasz... dziwnie – powiedziała. – Wszystko w porządku?

– Nie, kapralu. – Głos Stryka ociekał jadem. – Jeśli nie zauważyłaś, powinniśmy stanąć przed Jennestą wiele godzin temu. A to oznacza, że stracimy głowy. A teraz do roboty!

Uciekła.

Resztki wizji nadal zalegały mu w głowie. Przeklął wschodzące słońce.

Zostawili za sobą ruiny ludzkiej osady i stratowane, puste pole bitwy. Ruszyli na północny wschód.

Ścieżka biegnąca w górę wiodła ich pomiędzy pagórki. Uwolnione gryfy szybowały nad łąkami.

Coilla, jadąca u boku Stryka na czele kolumny, wskazała niebo.

- Nie zazdrościsz im?
- Komu, zwierzętom?
- Mają więcej wolności niż my.

Zaskoczyła go. Jeszcze nigdy nie wspomniała, nawet mimochodem, o losie, który musiała znieść ich rasa. Ale oparł się pokusie przyznania jej racji. W tych czasach orkowie musieli się liczyć ze słowami. Słowa mają zwyczaj docierać do niewłaściwych uszu.

Tylko coś burknął.

Coilla przyjrzała mu się z zaciekawieniem. Nie drażyła już tematu. Jechali w ponurym milczeniu, najszybciej jak mogli na nierównym terenie.

Późnym rankiem dotarli do krętej ścieżki prowadzącej wąskim wąwozem. Był głęboki, a jego wysokie, porośnięte trawą ściany wznosiły się pod łagodnym kątem. Ścieżka była tak wąska, że mogła pomieścić jedynie dwóch jadących obok siebie jeźdźców. Najwygodniej było przemierzać ją gęsiego. Zaścielające ziemię kamienie jeszcze bardziej utrudniały przejazd.

Stryk zaklął, zirytowany tą nową przeszkodą.

- Nie możemy tak zwolnić!
- Dzięki tej przełęczy oszczędzimy pół dnia drogi – przypomniała mu Coilla – a po drugiej stronie przyspieszymy.
- Z każdą minutą gniew Jennesty będzie coraz większy.
- Mamy to, czego chciała, a dodatkowo ładunek krystalinu. Czy to nic nie znaczy?
- W przypadku naszej pani? Chyba znasz odpowiedź.

– Możemy powiedzieć, że natrafiliśmy na silny opór albo długo szukaliśmy cylindra.

– Nieważne, co powiemy: nie przyjechaliśmy na czas. To wystarczy. – Obejrzał się przez ramię. Pozostali nie mogli ich usłyszeć. – Nie przyznałbym się nikomu – wyznał cicho – ale Haskeer ma rację, przeklinam jego oczy. Ja do tego doprowadziłem.

– Nie bądź dla siebie zbyt surowy. Wszyscy...

– Stać! Przed wami!

Ktoś zbliżał się do nich z przeciwnej strony wąwozu.

Stryk podniósł rękę, zatrzymał żołnierzy. Zmrużył oczy, usiłując rozpoznać niski, rozłożysty kształt. Najwyraźniej było to jakieś zwierzę pociągowe, na którym ktoś jechał. Po chwili dostrzegł parę innych.

Jadący na końcu szeregu Jup przekazał cugle szeregowcowi i zeskoczył na ziemię. Podbiegł do Stryka.

– Co się dzieje, kapitanie?

– Nie jestem pewien... – A potem rozpoznał zwierzęta. – Przekłęte! Kirgizilskie żmije!

Choć często je tak nazywano, kirgizile wcale nie były żmijami, lecz pustynnymi jaszczurami, o ciele krótszym od końskiego, lecz mniej więcej tego samego ciężaru, szerokich grzbietach i masywnych, muskularnych łapach. Białe jak albinosy, o różowych oczach, miały rozdwojone języki długości ramienia orka. Ich ostre jak sztylety kły zawierały śmiertelny jad, a kolczastymi ogonami potrafiły złamać kręgosłup każdego dwunoga. I choć polowały z zasadzki, potrafiły też osiągać niezwykłą prędkość.

Tylko jedna rasa używała ich jako bojowych rumaków.

Jaszczury były już tak blisko, że nikt nie mógł mieć wątpliwości. Na każdym jechał kobold. Były mniejsze od orków, mniejsze od większości krasnoludów, drobne do granic wyniszczenia, kompletnie bezwłose, o szarej skórze. Lecz pomimo chudych kończyn i pociągłych, niemal

delikatnych twarzy w walce okazywały się zaciekle i groźne.

Ich spiczaste uszy wydawały się nieproporcjonalnie wielkie w porównaniu z drobnymi ciałkami. Usta wyglądały jak bezkrwista krecha pełna drobnych ostrych ząbków. Nos jakby koci. Oczy złote, lśniące nienawiścią i chciwością.

Wokół niezwykle cienkich szyj mieli skórzane obroże z piórami. Cienkie jak patyki nadgarstki obejmowały bransolety najeżone kolcami. Dzierżyli włócznie i groźne, choć miniaturowe bułaty.

W sztuce złodziejstwa i rabunku koboldy nie miały sobie równych w całej Maras-Dantii. I nikt nie przewyższał ich okrucieństwem.

– Zasadzka! – ryknął Jup.

Z kolumny rozległy się inne okrzyki. Orkowie wskazywali w górę. Po zboczach wąwozu zsuwali się jeźdźcy na kirgizilach. Stryk uniósł się w siodle; koboldy odcięły im drogę ucieczki.

– Klasyczna pułapka – burknął.

Coilla wyszarpnęła dwa noże.

– A my sami wpakowaliśmy się w nią.

Alfray rozwinął wojenny sztandar. Konie stanęły dęba, orkowie wyciągnęli broń i zwrócili się w stronę wroga.

Rosomaki, jeszcze otępiełe po działaniu krystalinu, złupionego wina i mocniejszego alkoholu, były w dodatku mniej liczne od napastników i nie miały miejsca na rozwinięcie szyku.

Koboldy ruszyły na nich z ostrzami lśniącymi w słońcu.

Stryk wydał okrzyk wojenny, powtórzony przez dziesiątki gardeł.

Potem runęła na nich pierwsza fala.

ROZDZIAŁ 5



Stryk nie czekał na atak.



piął wierzchowca i, bodąc jego boki ostrogami, popędził w stronę przywódcy koboldów. Skręcił w lewo, jakby chciał wyminąć jaszczura. Koń spłoszył się. Stryk jedną ręką mocno chwycił jego wodze, drugą wznosił miecz.

Jeździec, zaskoczony szybkością jego ruchu, usiłował uskoczyć. Za późno.

Miecz Stryka przeciął powietrze. Głowa kobolda sfrunęła z ramion i podskoczyła na ścieżce. Siedzący w siodle i bluzgający krwią korpus porwał ze sobą spłoszony kirgizil.

Stryk odwrócił się do następnego przeciwnika.

Coilla rzuciła nożem w najbliższego jeźdźca i trafiła go w policzek. Kobold odruchowo cofnął się, szarpnął głowę jaszczura.

Drugi nóż trafił zwierzę w oko. Ryknęło z bólu i runęło na bok, przygniatając jeźdźca. Obaj zaczęli się wic w agonii. Coilla uspokoiła konia i sięgnęła po następne sztylety.

Jup, którego atak zaskoczył z dala od konia, wyciągnął topór i wywijał nim oburącz. Kobold, wyrzucony z siodła ciosem miecza, znalazł się w zasięgu jego broni. Jup roztrzaskał mu czaszkę. Zaraz potem zaatakował go jeździec. Krasnolud odwrócił się i zadał głęboki cios w chudą jak patyk

nogę, odcinając ją za pierwszym razem.

Wszędzie dokoła trwała krwawa bitwa. Już jedna trzecia orków walczyła bez koni. Kilku łuczników zdołało sięgnąć po swoją broń i rozpocząć ostrzał, ale napastnicy byli zbyt blisko.

Haskeer znalazł się w potrzasku. Od strony ścieżki atakował go jeden przeciwnik, drugi zadawał ciosy z góry wąwozu; zwinny kirgizil przywarł mocno do zdradzieckiego zbocza. Koń Haskeera bał się jaszczurów, stawał dęba i rżał. Haskeer ciął mieczem na prawo i lewo.

Orkowa strzała wbiła się w pierś kobolda ze zbocza, zmiatając go z grzbietu żmii. Haskeer mógł się zająć przeciwnikiem z drugiej strony. Ich ostrza zgrzytnęły, cofnęły się i znowu zwały.

Bułat rozplątał Haskeerowi brodę. Choć rana nie była poważna, mimo że zadana ostrzem jak brzytwa, to Haskeer stracił równowagę i spadł z konia. Miecz wypadł mu z ręki. Unikając kopyt i śmigających gadzich ogonów, w ostatniej chwili uchylił się przed włócznią. Wstał i wyrwał ją z ziemi.

Kobold, który wyrzucił go z siodła, zbliżył się, by dokończyć dzieło. Haskeer nie miał czasu wymierzyć ciosu. Wzniósł włócznię, by odeprzeć spadający miecz kobolda. Drzewce pękło na pół, sypiąc drzazgami. Haskeer odrzucił krótszy koniec, drugi chwycił jak pałkę i uderzył kobolda prosto w twarz. Cios zrzucił go na ziemię. Haskeer podbiegł i obsypał głowę stwora kopniakami. Dla wszelkiej pewności wskoczył mu jeszcze na pierś i podskoczył parę razy, ze zgiętymi kolanami i zaciśniętymi pięściami. Żebra kobolda chrupnęły. Z jego ust i nosa bluznęła krew.

Alfray walczył o sztandar Rosomaków. Jakiś kobold, stojący w strzemionach, chwycił za jego drzewce. Alfray zacisnął palce, aż pobieleły mu kostki i zaczęli się siłować. Jak na tak kruche stworzenie kobold walczył zaciekle. Zmrużył chciwe oczka, obnażył spiczaste zęby i syknął straszliwie.

Prawie zdobył sztandar, kiedy Alfray obdarzył go orkowym

pocałunkiem.

Pochylił się i mocno uderzył głową w kościste czoło koboida. Ten upadł na wznak i wypuścił drzewce tak nagle, jakby w jego dłoni znalazł się rozpalony pogrzebacz. Alfray uniósł sztandar i wbił zaostzony koniec w brzuch przeciwnika.

Rozejrzał się, gotów tak samo potraktować każdego, kto się zbliży. Nieopodal szeregowiec walczący z koboldem na jaszczurze wyraźnie słabł pod gradem ciosów. Kobold znalazł lukę w obronie i zadał cios; jego bułat błyskawicznie nakreślił krwawy krzyż na piersi orka. Żołnierz upadł.

Alfray spiął konia i puścił się galopem na koboida, trzymając sztandar niczym lancę. Przeszył brzuch stworzenia na wylot w strumieniu posoki.

Stryk przedzierał się w głąb wąwozu, walcząc z czwartym czy piątym przeciwnikiem. Nie liczył ich. Dwie lub trzy potyczki wcześniej puścił cugle, by mieć wolne ręce. Teraz kierował koniem wyłącznie udami. Był to stary orkowy trik, który Stryk opanował do perfekcji.

Kobold, do którego się zbliżał, trzymał wielką ozdobną tarczę – pierwszą jaką u nich zobaczył. Prawdopodobnie oznaczało to, że jest przywódcą. Stryk zastanawiał się tylko, na ile ta tarcza osłoni koboida przed jego ciosami. Postanowił obrać inną strategię.

Zanim zrównał się z jaszczurem, chwycił końską grzywę i szarpnął ją każąc swemu wierzchowcowi zwolnić. Teraz, stojąc obok kirgizila, sięgnął w dół i chwycił uprząż, oplątującą jego sapiący pysk. Ostrożnie, unikając zwinnego jaszczurczego jęzora, z całych sił pociągnął cugle w górę. Przyduszony kirgizil szarpnął się, drapiąc w miejscu pazurzastymi łapami. Przekrzywił łeb i spazmatycznie łapał powietrze.

Stryk dźgnął boki wierzchowca ostrogami. Koń ruszył, dźwigając ciężar swego jeźdźca i z całych sił napierając na jaszczura. Kobold, który stracił panowanie nad swoim wierzchowcem, wychylił się i bezsilnie ciął powietrze przed Strykiem.

Wreszcie kirgizil runął na ziemię z szyją wygiętą pod nieprawdopodobnym kątem. Kobold zaskowyczał z przerażenia i ześliznął się z jego grzbietu, wypuszczając tarczę. Stryk puścił jaszczura. Nie zwracał już uwagi na wielką bestię, która usiłowała wstać; obrócił konia i zbliżył się do powalonego koboida. Gwałtownym szarpnięciem za grzywę zmusił swego rumaka, żeby stanął dęba.

Kobold klęczał, kiedy kopyta spadły na niego, roztrzaskując mu czaszkę.

Stryk obejrzał się. Coilla straciła konia i znajdowała się w środku największego starcia. Kilku napastników, również bez wierzchowców, zbliżało się do niej.

Nie mogła już trzymać ich na dystans rzucanymi nożami, więc dźgała i cięła, wirując jak fryga i unikając ciosów włóczni i mieczy.

Szyderczo szczerzący zęby kobold dostał cios prosto w szyję i osunął się na ziemię. Na jego miejscu pojawił się inny. Kiedy uniósł miecz, Coilla przemknęła pod nim i zadała napastnikowi dwa gwałtowne ciosy w samo serce. Kobold upadł. Przed nią stanął trzeci przeciwnik z włócznią. Był zbyt daleko, żeby mogła go dźgnąć sztyletem, i za blisko, by mogła nim rzucić. Odskoczyła przed groźnym, najeżonym kolcami czubkiem włóczni.

Zza jej ramienia padł cios topora. Trafił stworzenie w rękę z włócznią. Ramię, ociekające krwią i powiewające ścięgnami, upadło na ziemię, a w ślad za nim straszliwie wyjący napastnik.

Jup stanął obok Coilli, dzierżąc zakrwawioną broń.

– Nie wytrzymamy długo! – ryknął.

– Bić!

Walczyli plecy w plecy.

Alfray wymierzył kopniak piechurowi, jednocześnie fechtując się z jeźdźcem. Jaszczur kłapał zębami w kierunku przerażonego konia, a Alfray mógł jedynie ściągać jego wodze. W pobliżu dwaj szeregowcy roznosili na mieczach samotnego jeźdźca.

Haskeer odzyskał miecz – i zaraz potem wytrącił mu go przejeżdżający kobold. Inny natychmiast znalazł się nad nim, złośliwie szczerząc zęby na widok pustych rąk Rosomaka. Błysnął bułat. Haskeer uskoczył, ostrze świsnęło mu nad głową. Sierżant skoczył na przeciwnika i zdzielił go w twarz potężną pięścią. Wykręcił mu rękę z bronią i miażdżył tak długo, aż usłyszał trzask kości. Kobold wrzasnął. Haskeer młócił go w twarz, dopóki bułat nie wypadł z jego palców. Ork chwycił go i przeszył przeciwnika na wylot.

Ogarnięty żądzą krwi odwrócił się w stronę kobolda na koniu. Był odwrócony do niego plecami, zajęty walką. Haskeer zrzucił go ze zmił i zaczął okładać pięściami. Chude ręce i nogi łamały się z suchym trzaskiem pod gradem ciosów.

Obok w powietrzu śmignął z wrzaskiem szeregowiec, uderzony ogonem kirgizila. Wpadł w tłum walczących. Orkowie i koboldy runęli na ziemię w płątanie rąk i nóg.

Ostatni napastnik, stojący Strykowi na drodze, okazał się równie sprawny i uparty. Zamiast ciąć mieczem na odlew, Stryk wdał się w walkę przypominającą szermierkę.

Wierzchowiec przeciwnika był niższy od konia Stryka, więc dowódca Rosomaków musiał się pochylić, by odpierać ciosy. Ta niedogodność i biegłość kobolda utrudniały mu zadanie. Kobold odpierał każdy jego cios, parował każde pchnięcie.

Po paru minutach jego ostrze dźgnęło Stryka w bark. Trysnęła krew.

Ork zawrzał furią. Z nową energią ruszył do ataku. Obsypał jeźdźca ciosami, chcąc pokonać jego wprawę czystą siłą. Ciosom Rosomaka brakowało finezji i celności, lecz taktyka wkrótce zaczęła przynosić efekty. Kobold tracił siły i reagował coraz wolniej.

Miecz Stryka odciął mu jedno ucho. Przeciwnik wrzasnął. Następny cios rozplątał mu ramię.

Wówczas Stryk zadał potężny cios w skroń rozbójnika i walka się skończyła.

Zdyszany, z kończynami płonącymi z wysiłku, zgarbił się w siodle. Przed sobą nie widział już ani jednego przeciwnika.

Coś uderzyło z tyłu w jego konia. Wierzchowiec stanął dęba. Zanim Stryk zdołał się obejrzeć, poczuł na plecach cios. Pazurzasta ręka wbiła się w jego pierś. Gorący oddech sparzył mu kark. Pojawiła się druga ręka z zakrzywionym sztyletem, sięgnęła ku jego gardłu. Chwycił nadgarstek i wykręcił ją.

Koń galopował przed siebie na oślep. Stryk dostrzegł kątem oka wymijającego ich kirgizila bez jeźdźca; to pewnie z niego zeskoczył napastnik.

Wykręcił nadgarstek pazurzastej łapy, usiłując ją złamać. Jednocześnie raz po raz uderzał łokciem drugiej ręki w splot słoneczny kobolda. Usłyszał głuchy jęk. Sztylet wysliznął się z łapy i upadł na ziemię.

U jego boku pojawił się kolejny napastnik na kirgizilu. Wymachiwał bułatem.

Stryk wierzgnął; jego but trafił w żyłaste ramię stwora. W chwili nieuwagi rozluźnił uchwyt na ręce kobolda w jego siodle, która szybko się cofnęła. Stryk znowu uderzył łokciem, głęboko wbijając go w ciało napastnika. I znowu wymierzył kopniak w jeźdźca. Tym razem chybił.

Jego koń galopował przed siebie. Jeździec na źmii dotrzymywał mu kroku, a nawet trochę go prześcignął. Teraz małe, wstrętne rączki gorączkowo zaczęły obmacywać pas Stryka. Odwrócił się i uderzył nieproszonego pasażera. Trafił go w twarz, ale nie zdołał zrzucić z konia.

Łapki znowu objęły go łapczywie, obmacując, gmerając, ugniatając. Stryk zrozumiał, czego szuka rozbójnik.

Cylindra.

W tej samej chwili kobold znalazł swój łup. Z tryumfalnym sykiem

pochwycił go i wyrwał z za pasa.

Stryk miał wrażenie, że czas nagle zwolnił, a sekundy zaczęły się ciągnąć w nieskończoność.

Wszystko wydarzyło się jednocześnie, powoli, jakby we śnie.

Chwycił powiewające w powietrzu wodze konia i szarpnął je z całej siły. Głowa wierzchowca zadarła się do góry. Przez jego ciało przeszedł potężny dreszcz.

Kobold na jaszczurze z wolna podniósł się w siodle, wyciągając rękę i otwierając pazurzastą łapę.

Zza prawego ramienia Stryka leniwie wyfrunął podłużny przedmiot. Obrócił się w powietrzu, zalśnił.

Gorączkowe tempo wydarzeń znowu powróciło.

Jeździec chwycił cylinder w powietrzu.

Koń Stryka upadł.

Stryk runął na ziemię i przetoczył się po całej ścieżce. Kobold, który siedział za nim, upadł parę kroków dalej. Stryk, któremu świat tańczył przed oczami, zobaczył, jak jego koń dźwiga się i ucieka. Galopował ku wylotowi wąwozu, ku któremu zmierzał jeździec z cylindrem.

Kobold obok niego jęknął. Ogarnięty szałem Stryk przyskoczył do niego i dał ujście gniewowi. Ukląkł przeciwnikowi na piersi i pięściami rozgniół jego twarz na krwawą miazgę.

Cienki skowyt wstrząsnął powietrzem.

Stryk podniósł głowę. Uciekający rozbójnik, który oddalił się na bezpieczną odległość, unosił do warg miedziany róg.

Na ten znak napastnicy otaczający Coillę i Jupa rzucili się do odwrotu.

Jup po raz ostatni zadał cios i krzyknął:

– Patrzcie!

Wszystkie koboldy uciekały. Większość pieszo, niektórzy popędzili do biegających swobodnie kirgizilów. Podążały ku ujściu wąwozu lub po jego

stromych zboczach. Paru orków ruszyło za nimi, ale większość lizała rany.

Coilla dostrzegła Stryka.

– Chodźcie! – rzuciła.

Podbiegli do niego.

– Cylinder! – wrzasnął, na wpół obłąkany.

Nie musiał dalej wyjaśniać. Wszyscy zrozumieli.

Jup pobiegł wąwozem, osłaniając dłonią oczy. Dostrzegł kirgizila z jeźdźcem, wspinającego się po zboczu wąwozu. Dotarli na górę. Przez chwilę widać było ich ciemne sylwetki na tle nieba. Potem zniknęli.

Wrócił do Stryka i Coilli.

– Zniknęli – zaraportował śmiało.

Twarz Stryka poczerwieniała z furii. Bez jednego słowa odwrócił się i ruszył do oddziału. Kapral i sierżant wymienili spojrzenia i udali się za nim.

Tam, gdzie trwała najbardziej zacięta walka, ziemia była usłana martwymi i rannymi koboldami, powalonymi końmi i kirgizilami. Co najmniej pół tuzina orków odniosło poważniejsze obrażenia, lecz trzymało się na nogach. Jeden leżał, a towarzysze opatrywali jego rany.

Rosomaki ujrzały dowódcę i podeszły do niego.

Stryk skierował się prosto do Alfraya. Oczy mu płonęły.

– Straty? – warknął.

– Jeszcze liczę.

– Mniej więcej. – Jego głos brzmiał złowrogo. – Masz być także naszym lekarzem. Raportuj.

Alfray rzucił mu ponure spojrzenie, ale nie zamierzał się sprzeciwić kapitanowi, kiedy ten był w takim nastroju.

– Zdaje się, że nikt nie stracił życia. Ale ten tu Meklun jest w złym stanie. – Wskazał leżącego żołnierza. – Inni odnieśli poważne rany, ale ustoją.

Haskeer otarł krew z brody.

– Mamy piekielne szczęście.
Stryk spiorunował go wzrokiem.

– Szczęście? Te bydlaki zabrały cylinder!
Przez oddział przebiegł szmer.

– A to parszywe złodzieje – warknął Haskeer. – Ruszajmy za nimi!
Rosomaki wydały okrzyk aprobaty.

– Zastanówcie się! – ryknął Stryk. – Zanim się stąd wygrzebiemy, połapiemy konie, opatrzymy rannych...

– Może posłać za nimi mały oddział? Reszta mogłaby ruszyć później – podsunęła Coilla.

– Wtedy byśmy się osłabili, a te kirgizile potrafią się wspinać tam, gdzie my nie potrafimy. Ślady już się zatarły!

– Ale co nam przyjdzie z czekania? – wtrącił Alfray. – Kto wie, dokąd pojechali?

– Mamy tutaj wielu rannych koboldów – przypomniał im Haskeer. – Zmusimy ich do gadania. – Wyjął nóż i stuknął w niego paznokciem, aż rozległ się metaliczny dźwięk.

– A znasz ten ich piekielny język? – spytał Stryk. – Ktokolwiek z was zna? – Pokręcili głowami. – Tak myślałem. Więc nawet torturami nie wyrwiemy z nich odpowiedzi.

– Nie powinniśmy wchodzić w ten wąwóz bez wysłania zwiadowców – burknął Haskeer.

– Nie mam nastroju na twoje przytyki – warknął Stryk ze spojrzeniem ostrym jak nóż. – Jeśli masz jakieś uwagi na temat mojego dowodzenia, to wygłoś je teraz.

Haskeer uniósł obie ręce w pokojowym geście.

– Nie, kapitanie. – Uśmiechnął się blado. – Ja tylko... głośno myślę.

– Myślenie nie jest twoją mocną stroną, sierzancie. Zostaw je mnie. To samo dotyczy was wszystkich!

Zapadło ciężkie milczenie. Przerwał je Alfray.

– Co mamy robić, kapitanie?

– Znajdźcie jak najwięcej koni. To po pierwsze. Jeśli Meklun nie może jechać konno, zróbcie dla niego nosze. – Skinął głową w stronę pola walki.

– Nie zostawiać żywych. Poderżnąć im gardła. Żwawo.


Rosomaki rozbiegły się na wszystkie strony.

Coilla została ze Strykiem.

– Nic nie mów – powiedział. – Wiem. Jeśli nie odbijemy tego przeklętego cylindra, jesteśmy już martwi.

ROZDZIAŁ 6



ennesta stała na najwyższym balkonie najbardziej niebosiężnej wieży swojego pałacu. Wschodni ocean znajdował się za jej plecami. Spojrzała na północny zachód, gdzie nad Taklakameerem, śródlądowym morzem, unosiła się kłębiasta żółta mgła. Dalej na skraju pustkowia Hojanger wznosiły się wieżycy Uttarbythonu. Z kolei Hojanger ustępował połaciom lodowych pól, które ciągnęły się aż po horyzont skąpany w szkarłatnym blasku słońca.

W oczach Jennesty wyglądało to jak zamarznięta fala krwi.

Lodowaty powiew, ostry jak nóż, poruszył ciężkimi wiśniowymi zasłonami balkonu. Jennesta otuliła się mlecznym futrem szablстого wilka. Było zbyt zimno jak na jesień i z każdym rokiem robiło się coraz gorzej.

Nadpływający lodowiec i lodowaty wichur były zwiastunami zbliżających się ludzi; coraz bardziej się panoszyli, wydarli tej ziemi serce, zakłócili jej równowagę.

Požerali magię Maras-Dantii.

Podobno na południu, gdzie spotykano ich najczęściej, magia działała słabo, jeśli działała w ogóle. Ludzie pogardzili nawet dawną nazwą i zaczęli nazywać świat Centrazją. Zwłaszcza Jedowie, a byli znacznie liczniejsi od Mnogów.

Nie po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, co pomyślałaby o tym

rozłamię jej matka, Vermegram. Bez wątpienia popierałaby Wyznawców Ścieżki Mnogości. W końcu wyznawali panteizm, tak podobny do wiary starych ras. I właśnie dlatego Jennesta wspierała ich sprawę i zamierzała to robić tak długo, jak to będzie służyć jej interesom. Ale rozważanie, czy jej matka najada pochwaliłaby przymierze z przybyszami, było czystą teorią. Mimo że wzięła sobie za małżonka człowieka.

Zresztą cóż po nim? Czy ojciec Jennesty pochwaliłby Jedność i jej monoteistyczne wyznanie?

Ileokroć zaczynała o tym myśleć, zawsze kończyło się na roztrząsaniu kwestii jej mieszanego pochodzenia. A to prowadziło do myśli o Adpar i Sanarze – i do gniewu.

Znów jej myśli skupiły się na tym przedmiocie. Stanowił klucz do jej ambicji, do zwycięstwa – i zaczął się jej wymykać z rąk.

Odwróciła się i weszła do komnaty.

Smukła istota wzięła jej płaszcz. Miała bladą skórę i drobną twarz. Płowe włosy, błękitne oczy o długich złotych rzęsach, mały nos i zmysłowe wargi były wyraźnie androginiczne.

Istota służyła jej od niedawna; Jennesta nie wiedziała jeszcze, czy dominują w niej cechy męskie, czy żeńskie. Ale z elfami zawsze jest ten kłopot.

– Przybył generał Kysthan, wasza wysokość – odezwało się stworzenie śpiewnym, wysokim głosem. – Czekaj, hm... od pewnego czasu. Dobrze. Poproś.

Elf wpuścił gościa, skłonił się dyskretnie i wyszedł.

Kysthan był prawdopodobnie w średnim wieku, jak przypuszczała Jennesta, i jak na orka wyglądał dystyngowanie. Chodził wyprostowany, jak na żołnierza przystało. Liczne krzyżujące się tatuaże na obu policzkach stanowiły dowód jego kolejnych awansów. Na jego twarzy malowały się niepokój i strach.

Nie tracili czasu na uprzejmości.

– Widzę po twojej twarzy, że nie wrócili – odezwała się królowa, z trudem panując nad niezadowoleniem.

– Rzeczywiście, Wasza Wysokość. – Nie zdołał spojrzeć jej w oczy. – Być może napotkali większe przeszkody, niż się spodziewaliśmy.

– Raport z pola bitwy nie wskazywał na to.

Generał milczał.

– Co proponujesz?

– Należy jak najszybciej wysłać oddział, który ustali, co się stało.

– Czy mamy do czynienia ze zdradą?

Generał drgnął, urażony.

– Nigdy nie mieliśmy powodów powątpiewać w lojalność któregokolwiek Rosomaka – odparł ze śmiertelną powagą. – Historia ich służby jest chwalebna i...

– Wiem. Myślisz, że wysłałabym ich z tak ważną misją, gdyby było inaczej? Zarzucasz mi głupotę?

Kysthan utkwiał wzrok w podłódze.

– Nie, najjaśniejsza pani.

– Nie, najjaśniejsza pani – powtórzyła sarkastycznie. A po chwili nieprzyjemnego milczenia dodała: – Opowiedz mi o ich dowódcy. O tym Stryku.

Generał wyjął zza kamizeli parę zwojów pergaminu. Zauważyła, że ręce lekko mu drżą.

– Nie zetknąłem się z nim osobiście, ale wiem, że pochodzi z dobrego klanu. Oczywiście w wojsku jest od pisklęcia. I jest inteligentny.

– Jak na orka.

Jak uważasz, najjaśniejszej pani – mruknął Kysthan. Odchrząknął z zażenowaniem i spojrzał w dokumenty. – Wygląda na to, że wcześniej postanowił zwiększyć swoje szanse na awans i z największym oddaniem

wypełniał wszystkie powierzone mu zadania. Jego zwierzchnicy donoszą, że zawsze działał bez zwłoki i bez skargi przyjmował chłostę.

– Inteligentny i ambitny.

– Tak, najjaśniejsza pani. – Generał przeglądał notatki; jego ręce nie przywykły do takiego zadania, brakowało im gracji. – Prawdę mówiąc, to podczas pierwszego zadania...

– Co to było?

– Hm?

– Pierwsze zadanie. Na czym polegało?

– Przydzielono go jako pomocnika ujeżdźaczy smoków. Pracował w zagrodach. – Kysthan przyjrzał się pergaminowi. – Wygarniał smocze łajno. Nieznaczny gest królewskiej ręki kazał mu kontynuować.

– Podczas wypełniania tego zadania zwrócił na siebie uwagę oficera, który wstawił się w sprawie jego awansu z trutnia na szeregowca. Dobrze się sprawił i otrzymał szarżę kaprała, a potem sierżanta. Obecny stopień otrzymał krótko potem. Wszystko w ciągu czterech lat.

– Imponujące.

– Tak, najjaśniejsza pani. Oczywiście wówczas służył jedynie w Siłach Ekspedycyjnych Zjednoczonych Klanów Orków...

– Choć nie reprezentują one wszystkich klanów i na pewno są dalekie od zjednoczenia. – Uśmiechnęła się do niego ciepło niczym scilancki pająk ziemny. – Nieprawdaż, generale?

– Owszem, najjaśniejsza pani.

Jego upokorzenie sprawiło jej rozkosz.

– Jak najjaśniejsza pani wie – ciągnął – Najwyższa Rada Wojenna Orków nie miała środków na wykarmienie i zaopatrzenie żołnierzy, dlatego była zmuszona do pewnych decyzji finansowych. Zgodnie z nimi parę tysięcy żołnierzy...

– Sprzedano, generale. Mnie. Ty też stanowiłeś część oferty, o ile sobie

przypominam.

– Tak, królowo. Podobnie jak Stryk. Obaj znaleźliśmy się wówczas pod łaskawymi rządami najjaśniejszej pani.

– Nie płaszcz się. Nie znoszę pochlebców.

Jego policzki oblały się purpurą.

– Ile minie czasu, zanim dostaniemy wieści od twojego oddziału?

– Mniej więcej pięć dni, o ile nie będą mieli problemów.

– Więc muszą uważać, żeby tak się nie stało. Bardzo dobrze. Oczekuję, że za pięć dni ten... wymiatacz łajna stanie przede mną. Ale żeby wszystko było jasne, generale: to, co przy nim znajdziecie, należy do mnie i chcę to mieć. Ten cylinder jest mi drogi ponad wszystko. Przyrowadzenie Rosomaków, bym mogła ich ukarać, jest sprawą mniejszej wagi. Wszystko jest mało ważne w porównaniu z tym cylindrem, nawet życie Stryka i jego żołnierzy.

– Tak, pani.

– Życie tych, którzy za nimi wyruszą, także nie ma znaczenia.

Generał zawahał się przez chwilę, zanim powiedział:

– Rozumiem, najjaśniejsza pani.

– Oby. – Zrobiła dłońmi kilka szybkich, tajemniczych ruchów. – A żebyś nie zapomniał...

Generał spuścił wzrok. Jego mundur się tlił; po chwili buchnął ogniem. Płomienie pochłonęły jego kamizelę, zaczęły ogarniać jego kończyny. Poczul nieznośny skwar. Wokół kłębił się dym.

Zaczął tłumić rękami płomienie, krztusząc się swądem spalenizny. Jego dłonie pokryły się piekącymi pęcherzami. Ogień objął jego ramiona, szyję, twarz, zupełnie go pochłonął. Jego skóra zaczęła czernieć. Rozdzierający ból przeszył całe jego ciało.

Krzyknął.

Jennesta znowu poruszyła rękami, lekko, niemal od niechcienia.

Ogień znikł. Ubranie generała nie było już zwęglone. Swąd spalenizny się ulotnił, z dłoni znikły pęcherze. Ból ustąpił.

Generał spojrział ze zdumieniem na królową.

– Jeśli twoi żołnierze mnie zawiodą – oznajmiła spokojnie – to przedsmak tego, co dostaniesz.

Na jego twarzy odbiły się upokorzenie, wstyd i przede wszystkim strach.

– Tak, najjaśniejsza pani.

Jego reakcja zadowoliła Jennestę. Lubiła patrzeć, jak dorosły ork trzęsie się jak pisklę.

– Znasz już rozkazy – powiedziała.

Skłonił się sztywno i odszedł.

Po jego wyjściu westchnęła. Osunęła się na miękkie poduszki sofy. Była zmęczona. Przy tak poważnym wyczerpaniu źródeł naturalnej energii nawet rzucenie prostego uroku wymagało dużego wysiłku. Choć warto było utrzymywać dyscyplinę wśród dworaków. Ale znowu musiała uzupełnić braki mocy.

Pomyślała o służącym jej elfie.

I doszła do wniosku, że będzie w sam raz.

Na korytarzu Kysthan porzucił dziarską żołnierską postawę – i spokój. Oparł się o ścianę, zamknął oczy, powoli wypuścił wstrzymywany oddech.

Nie wolno mu się tak pokazywać. Musi się opanować.

Po chwili wyprostował ramiona i przesunął dłonią po spoconym czole. Potem – odmierzoną, celowym krokiem – ruszył w krótką drogę.

Korytarz zaprowadził go do antyszambru. Młody oficer wyprężył się na baczność.

– Spocznij, kapitanie – rzucił generał.

Oficer odprężył się – minimalnie.

– Musisz natychmiast wyruszyć – powiedział Kysthan.

– Ile mamy czasu?

– Najwyżej pięć dni.

– To niewiele, generale.

– Tyle tylko nam daje. I chciałbym powiedzieć to wyraźnie, Delorran. Masz jej przynieść ten przedmiot. Jeśli zdołasz wrócić także z Rosomakami, to dobrze. Ale gdyby okazali się... niechętni do współpracy, wystarczą jej ich głowy. Biorąc pod uwagę twoje układy ze Strykiem, nie będziesz miał z tym większych problemów.

– Nie, ale...

– Ale co? Liczebnością przewyższacie ich co najmniej trzykrotnie. Według mnie to całkiem przyzwoity stosunek. A może wybrałem niewłaściwego kandydata?

– Nie, generale – odpowiedział natychmiast Delorran. – Chciałem tylko przypomnieć, że ze wszystkich naszych oddziałów to właśnie Rosomaki zabiły najwięcej nieprzyjaciół.

– Wiem o tym, kapitanie. Dlatego właśnie wybrałem ich do tej misji.

– Nie twierdę, że to niemożliwe. Tylko trudne.

– Nikt nie obiecuje ci łatwej przejażdżki. – Spojrzał surowo w szczerą twarz oficera i dodał: – Najjaśniejsza pani uważa, że skoro w grę wchodzi Rosomaki, możesz ponieść dowolne straty we własnym oddziale.

– Słucham?

– Mam mówić wyraźniej? Możesz poświęcić tylu swoich żołnierzy, ilu trzeba.

– Rozumiem.

W jego głosie brzmiały niepokój i powątpiewanie.

– Spójrz na to w ten sposób: jeśli wrócisz bez jej łupu i tak skaze cię na śmierć. I to straszliwą, znasz ją. Porównaj to z możliwością utraty swoich żołnierzy i z perspektywą awansu. Nie wspominając już o wyrównaniu rachunków ze Strykiem. Oczywiście jeśli mam znaleźć kogoś innego...

– Nie, generale. To nie będzie konieczne.

– Zresztą nie ma co strzepić języka. Oni mogą już nie żyć.
– Rosomaki? Wątpię, generale. Raczej trudno ich zabić.
– Więc dlaczego nie dają znaku życia? Jeśli nie zginęli, mało prawdopodobne, by znaleźli się w niewoli. Mogli oczywiście paść ofiarą nieszczęść rozsiewanych przez ludzi, ale przypuszczam, że na to są zbyt ostrożni. Więc zostaje zdrada. Ale nie ma powodu sądzić, że któryś jest do tego zdolny.

– Niekoniecznie, generale. Nie wszyscy orkowie są zadowoleni z obecnej sytuacji.

– Uważasz, że Stryk i jego oddział byli takiego zdania?

– Nie roszczę sobie praw do znajomości ich zamiarów.

– Więc zachowaj te fantazje dla siebie. Takie gadanie jest niebezpieczne. Myśl tylko o tym cylindrze. To w tej chwili najważniejsze. Polegam na tobie, Delorran. Jeśli mnie zawiedziesz, obaj padniemy ofiarą gniewu Jennesty.

Kapitan skinął ponuro głową.

– Śmierć Stryka nas od niego uratuje. Nie zawiodę pana, generale.

Byli gotowi do wymarszu. Pozostało jeszcze ustalić kierunek.

– Powinniśmy wracać do Cairnbarrow i wyznaczyć wszystko Jenneście – przekonywał Haskeer. Kilku jego zwolenników mruknięło z aprobatą. – Mamy krystalin, a to już coś znaczy. Wróćmy i oddajmy się w jej ręce.

– Czeka nas twarde lądowanie, kamracie – odparł Alfray. – Ona nie wysłała nas po kryształ.

– Alfray ma rację – zgodził się Stryk. – Jedyne nasze ratunek to odzyskanie cylindra.

– Jeśli zamierzamy go szukać, może najpierw wyślemy posłańców do Jennesty z wyjaśnieniem, co robimy? – podsunął Alfray.

Stryk pokręcił głową.

– Na pewną śmierć? Nie. Wrócimy wszyscy, z cylindrem albo wcale.

- Ale gdzie go szukać? – chciała wiedzieć Coilla.
- Pewnie na ziemi koboldów – powiedział Jup.
- Aż po Czarną Skałę? – zaszydził Haskeer. – To kawał drogi, kurdupłu.
- A masz lepszy pomysł?

Nienawistne milczenie Haskeera stanowiło wystarczającą odpowiedź.

- Mogą być wszędzie – Coilla zwróciła się do krasnoluda.
- To prawda. Ale nie wiemy, gdzie jest to wszędzie. A Czarną Skałę znamy.

Stryk uśmiechnął się blado.

– Jup ma rację. Moglibyśmy przez całe życie przeczesywać te okolice. Czarna Skała brzmi sensownie, a jeśli ta banda, która na nas napadła, jeszcze tam nie pojechała, to może się wkrótce zjawić.

– Może – parsknął Haskeer.

– Chcesz wracać do Cairnbarrow, sierżancie, to wracaj. – Stryk powiódł spojrzeniem po twarzach Rosomaków. – To samo dotyczy wszystkich obecnych. Możecie powiedzieć Jenneście, co robimy, zanim obedrze was ze skóry.

Nikt nie skorzystał z propozycji.

– Więc postanowione: Czarna Skała. Jak sądzisz, Alfray, tydzień?

– Mniej więcej. Może dłużej, bo straciliśmy parę koni. Pięciu czy sześciu będzie musiało jechać na drugiego. I nie zapominajmy o Meklunie. Szkoda, że w Domostwie nie było wozu. Ciągnąc go na noszach, będziemy się poruszać wolniej.

Wszystkie głowy odwróciły się w stronę rannego żołnierza. Był śmiertelnie blady.

– Po drodze poszukamy koni – oznajmił Stryk. – I może wozu.

– Zawsze możemy go zostawić – odezwał się Haskeer.

– Przypomnę ci to, jeśli sam będziesz ciężko ranny.

Haskeer zmarszczył brwi i zamilkł.

- Może rozdzielimy się na dwie grupy? – zaproponowała Coilla.
- Jedna, silniejsza, pojedzie prosto do Czarnej Skały. Druga, z Meklunem, piechurami i rannymi, będzie szła wolniej.
- Nie. Byliby zbyt łatwym łupem. Straciłem cylinder, nie chcę stracić też połowy oddziału. Będziemy trzymać się razem. A teraz zbierajmy się.
- Niektóre mniej przydatne bagaże trzeba było zostawić; rozdzielono ładunek krystalinu. Wybuchły spory o to, kto będzie musiał dzielić się koźmi, ale kilka celnych oficerskich kopniaków zaprowadziło porządek. Rozdzielono żelazne racje i wodę. Przypasano nosze Mekluna.
- Wyruszyli dopiero późnym popołudniem. Tym razem Stryk nie zapomniał o wysłaniu zwiadowców przodem.
- Jechał z Coillą na czele kolumny.
- Co zrobimy, kiedy dotrzemy do Czarnej Skały? – spytała. – Będziemy musieli walczyć z całym narodem koboldów?
- Tylko bogowie wiedzą. Improvizuję, jeśli nie zauważyłaś. – Obejrzał się i dodał konspiracyjnie: – Ale nie mów im tego.
- Tylko tyle możemy, prawda? Dojechać do Czarnej Skały.
- Tylko tyle potrafiłem wymyślić. Jeśli nie zdołamy odzyskać cylindra, przynajmniej honorowo zginiemy. Tak to widzę.
- Masz rację. Choć szkoda, że musimy to robić dla Jennesty i w sprawie ludzi.
- Znowu zaczyna, pomyślał. Jakiej odpowiedzi się spodziewa?
- Kusiło go, żeby odpowiedzieć szczerze, ale nie zdążył.
- Nie wiesz, co jest w tym cylindrze? – spytała. – Dlaczego jest taki ważny?
- Jak już mówiłem, nie jestem powiernikiem Jennesty – burknął.
- A jednak koboldy najwyraźniej wiedziały, że jest wart starcia z naszym oddziałem.
- Wiesz, że koboldy to małe chciwe wieprzki. Zrobią wszystko, jeśli

myślą że im się to upiecze.

– Więc to był zwykły rabunek?

– Tak.

– Mając do wyboru najróżniejszych podróżników, którzy tędy przejeżdżają nie wyłączając kupieckich karawan, które nie mogą się bronić nawet w połowie tak, jak my, wybrali akurat uzbrojony po zęby oddział orków, którzy są stworzeni do walki. A wszystko z powodu założenia, że możemy mieć coś wartościowego. Czy to się trzyma kupy?

– Mówisz, że wiedzieli o cylindrze? Ale skąd? Nasza misja była tajna.

– Być może jednak nie aż tak, jak sądziłeś.

ROZDZIAŁ 7



– ...a to, co zostanie, wsadzę ci w zadek! – zakończył Stryk.

Haskeer, zapoznany z każdym barwnym szczegółem uczuć kapitana, łypnął na niego morderczym wzrokiem i szarpnął za wodze. Pocwałował na swoje miejsce w kolumnie.

– Tylko mi nie zetnij głowy – odważyła się Coilla – ale czy nie miał racji z tym postojem?

– Miał – burknął Stryk – i zatrzymamy się. Ale gdybym dał rozkaz teraz, wyglądałoby na to, że to dzięki niemu. – Skinął głową na wzgórze przed nimi. – Najpierw dotrzemy na drugą stronę.

Podróżowali bez przerwy, od kiedy wyruszyli, przez całą noc i następny ranek. Teraz słońce stało w zenicie, a jego blade promienie w końcu pokonały uparty chłód.

Na szczycie wzgórza Stryk ogłosił postój. Wysłał paru żołnierzy, by powiadomili zwiadowców. Nosze Mekluna odwiązano od ciągnącego je konia i ostrożnie położono na ziemi. Alfray oznajmił, że trochę z nim lepiej.

Rozpalono ogień, napojono konie. Stryk usiadł wraz z innymi oficerami.

– Robimy postępy – oznajmił. – Ale pora wybrać trasę. – Wyciągnął sztylet i ukląkł. – Ta ludzka osada... jak się nazywała?

– Domostwo – podsunął Jup.

Stryk narysował sztyletem krzyż w zaschniętym błocie.

– Domostwo było tutaj, na północnych krańcach Wielkich Równin i stanowiło wrogą ludzką kolonię położoną najbliżej Cairnbarrow.

– Już nie – wtrącił Haskeer z mroczną satysfakcją.

Stryk zlekceważył go. Narysował ukośną kreskę.

– My ruszyliśmy na południe. – Na końcu kreski wyźłobił kolejny krzyż.
– Tutaj. Musimy skręcić na południowy wschód, żeby dotrzeć do Czarnej Skały. Ale mamy problem. – Na prawo od krzyża, nieco niżej, narysował kółko.

– Rys – odezwała się Coilla.

– Właśnie. Kraj trolli. Znajduje się dokładnie na trasie do Czarnej Skały. Haskeer wzruszył ramionami.

– I co z tego?

– Ze względu na charakter trolli – wyjaśnił Jup – powinniśmy ich unikać. Może ty boisz się walki, ja nie.

– Nie trzeba nam tego teraz wtrącił chłodno Stryk. – Po co szukać kłopotów?

– Bo okrążając Rys, stracimy czas.

– Stracimy o wiele więcej, jeśli wdamy się w utarczkę, a przemarsz uzbrojonego oddziału przez ich ziemie jest doskonałym pretekstem. Więc pytanie: w którą stronę?

Coilla uderzyła palcem w prowizoryczną mapę.

– Następna najkrótsza trasa prowadzi na wschód, ku Hecklowe i wybrzeżu. Potem możemy ruszyć na południe, przez Las Czarnej Skały lub wokół niego. A za nim jest już Czarna Skała.

– Nie chciałbym zbliżać się i do Hecklowe – powiedział Stryk. – To wolny port, pamiętajcie. Mnóstwo tam innych starszych ras. Na pewno natrafimy na kogoś, kto nie lubi orków. A w lesie roi się od bandytów.

– Nie mówiąc już o tym, że jeśli skręcimy na wschód, znajdziemy się odrobinę za blisko Cairnbarrow, by czuć się bezpiecznie.

– Za to zaletą zbliżenia się do Czarnej, Skąły od strony lasu jest to, że będziemy szli pod osłoną drzew – wtrącił Jup.

– To niewielka rekompensata za całe to ryzyko. – Stryk znowu ujął nóż i przedłużył linię biegnącą przez elipsę. – Uważam, że powinniśmy iść dalej na południe, ominąć Rys i dopiero wtedy skręcić na wschód.

Coilla zmarszczyła brwi.

– W takim razie nie zapomnij o tym. – Pochyliła się i dotknęła małego krzyżyka pod Rysem. – Dolina Tkacza. Osada Jedów, jak Domostwo, ale o wiele większa. Podobno ludzie, którzy tam mieszkają, to jeszcze więksi fanatycy niż reszta.

– To możliwe? – mruknął sucho Jup.

– Będziemy musieli ominąć i ją – zgodził się Stryk. – Leży na równinie, więc przynajmniej dostrzeżemy nadchodzące niebezpieczeństwo.

Alfray przyjrzał się mapie.

– To najdłuższa trasa.

– Tak, lecz najbezpieczniejsza. Albo najmniej niebezpieczna.

– Którąkolwiek z tych przeklętych dróg wybierzemy – warknął Haskeer – nikt nie wspomniał, że Czarna Skąła jest o rzut kamieniem stąd. – Wbił w ziemię nóż, na prawo od znaku Coilli.

Jup spiorunował go wzrokiem.

– Chodzi ci pewnie o Quatt, co?

– Ojczyznę twoich ziomków. Tak. Pewnie poczułbyś się jak w domu.

– Kiedy przestaniesz mnie oskarżać o całe zło wyrządzone przez krasnoludy?

– Kiedy twoja rasa przestanie wypełniać nikczemną misję ludzi.

– Odpowiadam tylko za siebie, nie za całą rasę. Inni robią, co muszą.

Haskeer zjeżył się.

– Nie ma przymusu w pomaganiu intruzom!

– A jak ci się zdaje, co my robimy? A może jesteś tak głupi, że nie

widzisz, z kim sprzymierzyła się Jennesta?

Ich kłótnia, jak zwykle, zaogniała się gwałtownie.

– Nie będziesz mnie uczyć lojalności, ty mała gnido!

– Pocałuj mnie w dupę!

Obaj podnieśli się z miejsc, z twarzami wykrzywionymi złością.

– Dość! – warknął Stryk. – Jeśli chcecie się rozerwać na strzępy, proszę bardzo, ale najpierw wróćmy do domu żywi, co?

Przez chwilę mierzyli go ciężkim spojrzeniem, zastanawiając się. Potem ustąpili.

– Znacie już swoje obowiązki. Ruszajcie.

Haskeer nie mógł sobie odmówić ostatniego ciosu.

– Jeśli zbliżymy się do Quatt – warknął – lepiej miejcie oczy dookoła głowy. – Rzucił krasnoludowi złośliwe spojrzenie. – Tubylcy są tam podstępni.

Wraz ze swoimi oficerami zajął się zadaniem. Ale Stryk dał Jupowi znak, by został.

– Wiem, że to niełatwe – powiedział – ale nie powinieneś dawać się sprowokować.

– Powiedz to Haskeerowi, kapitanie.

– Myślisz, że nie mówiłem? Wyjaśniłem mu bardzo dokładnie, że sam się prosi o chłostę, i to nie po raz pierwszy, odkąd tu dowodzę.

– Mogę znieść obelgi przeciwko mojej rasie, bogowie wiedzą, że do tego przywykłem. Ale on mi nigdy nie daje spokoju.

– Jest rozgoryczony i ma powody. A ty jesteś dobrym kozłem ofiarnym.

– Ale krew zaczyna mi się gotować, kiedy kwestionuje moją lojalność.

– No, musisz przyznać, że twoja rasa jest znana ze sprzedawania się temu, kto najwięcej zapłaci.

– Niektórzy tak robią, nie wszyscy. Moja lojalność nie jest na sprzedaż.

Stryk skinął głową.

– Są krasnoludy, które mówią podobne rzeczy o orkach – dodał Jup.

– Orkowie walczą tylko o sprawę Mnogów i w dodatku nie bezpośrednio. W tej kwestii mamy niewielki wybór. Twoja rasa przynajmniej może o sobie decydować. My jesteśmy stworzeni do służby wojskowej i nie znamy niczego innego.

– Wiem. A jednak masz wybór. Mógłbyś wziąć los w swoje ręce, tak jak ja, kiedy zdecydowałem, po której stronie stanąć.

Ta rozmowa zaczęła się stawać niewygodna, a to nie podobało się Strykowi. Uniknął odpowiedzi, zwracając uwagę Jupa na temat, który od początku chciał poruszyć.

– Może mamy wybór, a może nie. Na pewno nie mamy daru widzenia. A krasnoludy go posiadają. Teraz nam się przyda. Czy się poprawił?

– Nie, a próbowałem go ćwiczyć, wierz mi.

– Nic nie wyczuwasz?

– Tylko bardzo słabe... ślady w najbliższej okolicy. Przepraszam, kapitanie, wyjaśnienie tego komuś, kto nie posiada magicznych zdolności, nie jest łatwe.

– Ale wychwytyujesz ślady. Czego? Kirgizilów? Czy...

– Jak powiedziałem, „ślady” to nieprecyzyjne słowo. Język nie wystarczy, by opisać ten dar. Sęk w tym, że to, co wychwytyuję, nie pomoże nam. Jest słabe, zamglone.

– Do diabła.

– Może to dlatego, że nadal jesteśmy zbyt blisko Domostwa. Często zauważam, że w pobliżu ludzi moc jest jakby słabsza.

– Więc się poprawi, kiedy odejdziemy dalej?

– Może się poprawić. Prawdę mówiąc, krasnoludy i tak nigdy nie były zbyt biegłe w sztuce widzenia, i nikt nie wie, w jaki sposób czerpie się tę moc – oprócz tego, że pochodzi z ziemi. Jeśli ludzie zaczynają gdzieś kopać i ryc, mogą uszkodzić linię energii, która wycieka i uchodzi gdzie indziej.

Dlatego w niektórych miejscach magia działa, a w innych nie.

– Wiesz, czego nigdy nie rozumiałem? Jeśli oni zjadają magię, to dlaczego nie wykorzystają jej przeciwko nam?

Jup wzruszył ramionami.

– Kto to może wiedzieć?

Po parogodzinnym, twardym śnie Rosomaki ruszyły w dalszą drogę.

Po prawej stronie falowała zatoka Calyparr, otoczona szpalerem drzew. Po lewej w nieskończoność ciągnęły się Wielkie Równiny. Jednak krajobraz wydawał się niekompletny. To, co niegdyś było żyzne i płodne, teraz straciło witalność i nawet kolor, jakby coś go wypłukało. W wielu miejscach trawa żółkła i wyschła. Niskie krzaki były najeżone i kruche. Kora drzew pokryła się pasożytniczymi naroślami. Padający deszczyk miał żółtawą barwę i niezdrowy, jakby siarczany zapach.

Zmrok zastał ich w okolicach Rysu. Stryk oceniał, że gdyby dalej poruszali się w tym samym tempie, o świcie mogliby skrócić na zachód.

Jechał samotnie na czele kolumny i tonął w rozmyślaniach nad sprawami bardziej doniosłymi niż kierunek podróży. Zastanawiał się nad snami, które go nawiedziły, i nad poczuciem beznadziejności w obliczu narastających przeszkód. Ale o tym, co by się stało, gdyby nie znaleźli rabusiów i cylindra, wolał nie myśleć.

Kiedy pojawił się jeden ze zwiadowców, Stryk był pogrążony w melancholii, zimnej jak mroźne nocne powietrze. Szeregowiec nadjechał galopem; z chrap jego wierzchowca waliły kłęby pary.

Zwiadowca zrównał się z kolumną ostro ściągnął wodze i obrócił spoconego konia.

Stryk wyciągnął rękę po jego cugle, uspokoił wierzchowca.

– O co chodzi, Orbon?

– Przed nami obozowisko!

– Mają konie?

- Tak.
 - Dobrze. Sprawdźmy, czy nam ich użyczą.
 - Ale, kapitanie, to obozowisko orków i wygląda na opuszczone.
 - Na pewno?
 - Zoda i ja obserwowaliśmy je i nie zauważyliśmy żywego ducha, z wyjątkiem koni.
 - Dobrze. Wracajcie tam i czekajcie na nas. Nic nie róbcie, dopóki nie nadjedziemy.
 - Tak jest!
- Zwiadowca zawrócił konia i pogalopował przed siebie.
- Stryk wezwał oficerów i przedstawił im sytuację.
- Czy w tych okolicach może być obóz orków? – spytał Jup.
 - Owszem, częściej spotyka się ich w naszych rodzimych rejonach północnych – wyjaśnił Stryk – ale istnieje parę klanów wędrownych. Pewnie to jeden z nich. Albo oddział wojskowy, taki jak my.
 - Jeśli zwiadowcy nie zauważyli żadnych oznak życia, powinniśmy się zbliżyć ostrożnie – zasugerowała Coilla.
 - Też tak sędzę. Może to obozowisko orków, ale to nie znaczy, że ich tam znajdziemy. Dopóki nie zyskamy pewności, będziemy traktować je jak siedzibę wroga. Ruszajmy.
- Dziesięć minut później spotkali Orbona czekającego przy dużym zagajniku. Drzewa zrzucały brązowe liście, a krzaki nabierały jesiennych kolorów, choć do pełni lata została jedna faza księżyca.
- Stryk kazał żołnierzom cicho zsiąść z koni. Ranni zostali z Meklunem i końmi. Orbon prowadził, reszta na palcach weszła do zagajnika.
- Dziesięć kroków dalej teren stał się bardziej stromy i po chwili stało się jasne, że w zagajniku kryje się coś w rodzaju dużego okopu. Zeszli na miękkie dywan liści koło powalonego drzewa, gdzie trzymał straż wyprężony jak struna Zoda.

Przez rozkołysane leśne sklepienie przesączało się wystarczająco wiele promieni zachodzącego słońca, by można było zobaczyć, co się znajduje poniżej.

Dwa skromne domki kryte strzechą i trzeci, mniejszy, z niekompletnym dachem. Pięć lub sześć szłasów z młodych drzewek przykrytych nieregularnymi kawałami samodiałowego materiału. Mętna strużka wody ciekącej słabo przez rozdeptane błoto. Parę pniaków i łącząca je gałąź tworzyły prymitywną poręcz. Stało przy niej siedem czy osiem przestraszonych, lecz dziwnie osowiałych koni.

Stryk przyglądał się okolicy; znów przypomniał sobie swój sen czy wizję, ale to, co miał przed oczami, było jego diametralnym zaprzeczeniem. Osada orków z jego snu wydawała się czymś stałym. Ta była tymczasowa i rozchwiana. Sen był przesycony światłem i czystym powietrzem. Tu było ciemno i duszno. Sen był afirmacją życia. Tu wszystko mówiło o śmierci.

Usłyszał szept Coilli:

– Opuszczona, jak sądzisz?

– Nie zdziwiłbym się – odparł cicho Alfray. – Jesteśmy blisko Rysu i nie dość daleko od kolonii Jedów.

– Ale dlaczego zostawili konie?

Stryk wstał.

– Sprawdźmy. Haskeer, weź jedną trzecią oddziału i okrąż wioskę. Jup, Alfray, zabierzcie część na prawą flankę. Coilla i reszta, zostajecie ze mną. Ruszamy na mój sygnał.

Grupy przez kilka minut przemieszczały się na swoje pozycje. Stryk machnął ręką. Rosomaki wyjęły broń i zbiegły ku obozowisku, wchodząc do niego z trzech stron jednocześnie.

Ich nadejście nie wywołało żadnej reakcji – z wyjątkiem nerwowego rżenia kilku koni.

Wokół prowizorycznych chat na ziemi leżały najróżniejsze przedmioty.

Przewrócony kociołek, zbity garnek, stratowane juki, kości jakiegoś ptaka, porzucony łuk. W paru miejscach piętrzyły się dawno wygasłe popioły.

Stryk poprowadził żołnierzy do najbliższego domu.

Unióśł palec do ust i ruchem miecza wysłał żołnierzy za chatę. Kiedy znaleźli się na miejscu, razem z Coillą zakradł się do wejścia. Chata nie miała drzwi; zastępował je kawał podartej szmaty. Stanęli z mieczami w pogotowiu.

Stryk skinął głową. Coilla zerwała szmatę.

Smród uderzył ich jak pięść. Był ciężki, stęchły, słodkawy i nie dawał się pomylić z żadnym innym.

Odór rozkładających się ciał.

Stryk wszedł do środka, zasłaniając usta wolną ręką. Wewnątrz było ciemno, ale po chwili wzrok się przyzwyczał.

W chacie leżeli martwi orkowie. Spoczywali po trzech i czterech na prowizorycznych pryczach. Inni zaścielali podłogę. W powietrzu unosił się ciężki odór rozkładu. Ciszę mąciły tylko przemykające ścierwojady.

Coilla stała u boku Stryka, zasłaniając ręką usta. Pociągnęła go za ramię; wycofali się. Wyszli na zewnątrz i łąpczywie zaczerpnęli świeżego powietrza. Reszta grupy wyciągała szyje, by zajrzeć do chaty.

Stryk podszedł do drugiej większej chaty. Coilla szła tuż za nim. Z chaty wyszedł Jup. Miał poszarzałą twarz. Smród był tu tak samo silny. Wystarczyło jedno spojrzenie, by zobaczyć identyczny widok.

Krasnolud oddychał głęboko.

– Tylko samice i młode. Zmarli jakiś czas temu.

– To samo tam – powiedział Stryk.

– Żadnych samców?

– Nie widziałem.

– Dlaczego? Gdzie poszli?

– Nie mam pewności, ale myślę, że to obozowisko wypędzonych.

– Pamiętaj, nadal uczę się waszych obyczajów. Co to znaczy?

– Kiedy samiec zginie w służbie wojskowej, a jego dowódca stwierdzi, że był tchórzem, jego partnerka i młode muszą odejść. Niektóre wypędzone tworzą obozowiska.

– Odkąd służymy u Jennesty, tej zasady przestrzega się bardzo ściśle.

– Muszą same dbać o siebie? – spytał Jup.

– Taki już los orka – potwierdził Stryk.

– A czego się spodziewałeś? – spytała Coilla, tramie odczytując minę krasnoluda. – Renty i darmowego mieszkania?

Jup zignorował tę uwagę.

– Jak myślisz, kapitanie, dlaczego umarli?

– Nie wiem. Zbiorowe samobójstwo nie jest niemożliwe. Już tak bywało. A może...

– Stryk!

Haskeer stał przy wejściu najmniejszej chaty. Wzywał go gestami rąk. Stryk podszedł do niego. Za nim ruszyła Coilla z Jupem i paroma innymi.

– Jedna jeszcze żyje. – Haskeer wskazał kciukiem drzwi.

Stryk zajrzał w mrok.

– Sprowadź Alfraya. I przynieś pochodnię!

Wszedł do chaty.

W środku znajdowała się tylko jedna leżąca na plecach postać. Spoczywała na pryczy wyścielonej gnijącą słomą. Stryk zbliżył się; usłyszał wytężony oddech. Pochylił się nad nią. W mdłym świetle z trudem rozróżniał rysy starej samicy. Oczy miała przymknięte, a twarz lśniła jej od potu.

Za plecami Stryka dał się słyszeć szept Alfraya.

– Jest ranna?

– Nie wiem. Gdzie ta pochodnia?

– Haskeer niesie.

Starucha otworzyła oczy. Wargi jej zadrżały, jakby chciała coś powiedzieć. Alfray pochylił się jeszcze bardziej. Usłyszał tylko ostatnie tchnienie, jak westchnienie, i wyraźny dźwięk grzechotki śmierci.

Haskeer zjawł się z płonąca gałęzią.

– Daj. – Alfray wziął ją i uniósł nad martwą samicą. – Bogowie! Szybko odsunął się od niej, niemal wpadając na Stryka.

– Co się stało?

– Patrz.

Wyciągnął rękę z pochodnią. Światło wyłoniło z ciemności ciało. Stryk zrozumiał.

– Wyjść – rzucił. – Obaj. Natychmiast!

Haskeer i Alfray pospiesznie rzucili się do wyjścia. Stryk poszedł za nimi.

Oddział czekał na nich przed chatą.

– Dotykałeś jej? – spytał Stryk Haskeera.

– Ja? Nie... nie.

– A inne trupy?

– Nie!

Stryk odwrócił się do Rosomaków.

– Czy któryś z was dotykał ciała?

Pokręcili głowami.

– Co się dzieje? – spytała Coilla.

– Czerwona zaraza.

Paru żołnierzy cofnęło się odruchowo. Rozległy się okrzyki i przekleństwa. Szeregowcy zaczęli zasłaniać usta i nosy chustkami.

– Przeklęci ludzie – syknął Jup.

– Konie nie mogą się nią zarazić – odezwał się Stryk. – Weźmiemy je. Musimy stąd jak najszybciej odejść. Spalcie wszystko.

Wyrwał pochodnię Alfrayowi i wrzucił ją do chaty. Słoma natychmiast

zajęła się płomieniem. W ciągu paru chwil we wnętrzu rozszalało się piekło.

Banda rozbiegła się na wszystkie strony, niosąc pochodnie.

ROZDZIAŁ 8



Pod podeszwą Delorrana coś trzasnęło. Spojrzał w dół; stał na kawałku deski ze starannie wypisanym słowem.

Przeczytał: *DOMOS*

Kopnął ją i spojrzął na zgliszcza ludzkiej osady. Żołnierze szperali wśród ruin, gmerali w szczątkach, podnosili zwęglone deski, wzbijali w powietrze chmury pyłu.

Poszukiwania rozpoczęły się przed świtem. Teraz dochodziło popołudnie, a oni nadal nie znaleźli niczego ważnego, a już na pewno nie znaleźli cylindra. Nie było także śladu po Rosomakach. Zorientowali się w tym tuż po przybyciu. Delorran wysłał zwiadowców, którzy mieli przeszukać okolice. Na razie żaden nie wrócił.

Delorran krążył, po podwórzu. Z północy dął nieprzyjemny, coraz bardziej dokuczliwy wiatr. Przybywał znad białej linii dalekiego lodowca. Kapitan ogrzał oddechem stulone dłonie.

Jeden z jego sierżantów podbiegł do niego. Kręcił głową.

– Nic? – spytał Delorran.

– Nic. Ani przedmiotu, ani kości orków. Tylko ludzkie.

– I wiemy, że żaden ze ścierwojadów nie spalił na stosie ciał Rosomaków po bitwie, może z wyjątkiem paru szeregowców. Stryk i jego oficerowie są tak znani, że na pewno by ich rozpoznano, więc możemy w to

uwierzyć.

– Więc sądzisz, że żyją, kapitanie?

– Nigdy w to nie wątpiłem. Tak świetny oddział nie mógłby przegrać w takiej sytuacji. Dlatego ciekawi mnie, co się z nimi stało.

Sierżant, doświadczony weteran o wyblakłych tatuażach dystynkcjach, lepiej znał się na wojaczce niż rozwiązywaniu zagadek. Mógł tylko przypomnieć Delorranowi o następnym dziwnym znalezisku.

– A ta pusta piwnica w stodole, kapitanie? Czy to może mieć jakieś znaczenie?

– Nie wiem. Ale pusty spichlerz w porze, kiedy można się spodziewać zapasu ziarna... to dziwne. Założę się, że ludzie coś tam przechowywali.

– Łupy?

– Może. Ważne, że Rosomaki żyją uciekły i możliwe, że mają ze sobą przynajmniej jeden cenny przedmiot.

Wszyscy wiedzieli, że Delorran zazdrości przywódcy Rosomaków i uważa, że to on powinien dowodzić jego oddziałem. Ich konflikt wynikał z dawnego rozłamu między ich klanami. Delorran z pewnością miał własne powody, by powątpiewać w uczciwość Stryka, dlatego sierżant powstrzymał się od komentarzy. Wymamrotał tylko:

– Proszę o pozwolenie odejścia, kapitanie.

Kapitan machnął ręką.

Słońce minęło zenit i kontynuowało podróż po niebie. Delorran wykorzystał już połowę danego mu czasu. Zaczynał się niepokoić. Jeśli miał zdążyć, za parę godzin powinien ruszyć w drogę powrotną do Cairnbarrow.

Musiał szybko podjąć decyzję.

Miał trzy możliwości. Znalezienie cylindra w zgliszczach i tryumfalny powrót do domu z każdą minutą wydawał się mniej prawdopodobny. Pozostawał powrót bez niego i stawienie czoła gniewowi Jennesty lub nieposłuszeństwo i pościg za Rosomakami.

Przeklął niecierpliwość królowej i w rozterce zaczął się zastanawiać, co robić.

Rozmyślenia przerwało mu przybycie zwiadowców.

Zatrzymali spienione konie tuż koło niego. Jeden z nich był zwykłym szeregowcem, drugi kapralem. Ten ostatni zeskoczył na ziemię.

– Grupa czwarta melduje swoje przybycie!

Delorran skinął głową.

– Nasza grupa coś znalazła, kapitanie. Ślady potyczki na południe stąd, w małej dolinie.

Serce kapitana zabiło słabą nadzieją.

– Mów dalej.

– Wszędzie pełno trupów koboldów, kirgizilów i koni.

– Koboldów?

– Ślady jaszczurów na zboczach doliny wskazują, że kogoś napadli.

– Ale nie musiały to być Rosomaki. Chyba że znaleźliście ich ciała.

– Nie, kapitanie. Ale porzucili racje żywnościowe, takie, jakie przydziela się orkom. I to. – Kapral sięgnął do sakwy przy pasie i wyjął znalezisko. Położył je na wyciągniętej dłoni Delorrana.

Był to naszyjnik z trzech kłów śnieżnej pantery, z przerwanyrm rzemieniem.

Delorran spojrzał na niego i w roztargnieniu dotknął pięciu identycznych trofeów wokół swojej szyi. Tylko orkowie nosili takie symbole, zarezerwowane wyłącznie dla oficerów.

Podjął decyzję.

– Dobrze się spisaliście.

– Dziękujemy, kapitanie.

– Twoja grupa zaprowadzi nas w dolinę. A ty znajdź świeżego konia. Wyruszyć z misją specjalną.

– Tak jest.

– Gratulacje, kapralu. Wrócisz do domu wcześniej od nas. Musisz jak najszybciej zanieść wiadomość do Cairnbarrow. Dla królowej.

– Tak jest. – W głosie kaprała zabrzmiało wahanie.

– Musisz doręczyć wiadomość samemu generałowi Kysthanowi. Nikomu innemu. Czy to jasne?

– Tak jest.

– Generał ma powiedzieć Jenneście, że muszę wyruszyć w pościg za Rosomakami. Na pewno zdołam je dogonić i odzyskać przedmiot, którego pragnie królowa. Proszę o przedłużenie terminu. Będę w kontakcie. Powtórz.

Nieco pobladły kapral wyrecytował tekst. Nie wątpił, że nie uraduje nim Jennesty. Jednak był na tyle zdyscyplinowany – lub przestraszony – że bez sprzeciwu wykonał rozkaz.

– Dobrze – pochwalił go Delorran. Oddał kapralowi naszyjnik. – Daj to generałowi i wyjaśnij, gdzie go znalazłeś. Weź ze sobą paru żołnierzy i nie żałujcie koni. Odmaszerować.

Ponury kapral dosiadł konia i ruszył w towarzystwie milczącego szeregowca.

Delorran postawił Jennestę w sytuacji bez wyjścia. Była to ryzykowna decyzja; mógł uratować życie, jedynie przynosząc jej łup. A jednak nie dostrzegął innego wyjścia.

Pocieszył się myślą, że królowa – pomimo przerażającej reputacji – musi zachować rozsądek.

Jennesta wypatroszyła ofiarę i odłożyła narzędzia.

W piersi trupa ziała duża jama; z brzucha zwisały ociekające wnętrzności. Mimo to zdołała tak sprawnie uporać się z zadaniem, że na jej przejrzystej białej szacie pojawiły się zaledwie dwie małe szkarłatne plamki.

Podeszła do ołtarza i płomieniem czarnej świecy zapaliła kolejny pęk

pałeczek kadzideł. Ciężka mgła, która przesycała aromatem komnatę, stała się jeszcze gęstsza.

Strażnicy nosili oburącz ciężkie wiadra. Jeden uronił nieco ich zawartości.

– Nie marnuj! – rzuciła z rozdrażnieniem. – Chyba, że chcesz to sam uzupełnić!

Strażnicy spojrzeli na siebie ukradkiem, ale teraz bardziej uważali przy napełnianiu wielkiej okrągłej wanny. Była zbudowana jak beczka, z pionowych klepek scalonych i opasanych metalowymi obręczami. Od prawdziwej beczki odróżniały ją niskie ściany i okazałe rozmiary; można byłoby w niej pławić konia pociągowego, gdyby Jennesta uznała to za stosowne. A to dla niej, o czym wiedzieli jej służący, nie było niemożliwe.

Podeszła do naczynia i zajrzała w zamyśleniu do środka. Orkowie wrócili, z wysiłkiem dźwigając cztery kolejne wiadra. Jennesta przyglądała się im, gdy wylewali ich zawartość do wanny.

– Wystarczy – powiedziała. – Zostawcie mnie.

Skłonili się pokracznie, jak to orkowie. Ich odejście obwieściło głucho łupnięcie drzwi.

Jennesta zbliżyła się do wanny pełnej świeżej krwi.

Uklękła i wciągnęła w nozdrza jej wyjątkowy zapach. Potem poruszyła palcami nad gęstym płynem. Był ciepły, prawie zachował temperaturę ciała, przez co stawał się lepszym przewodnikiem. Spotęguje moc, która niegdyś przychodziła jej naturalnie, lecz ostatnio musiała ją uzupełniać.

Jej kotka przyczaiła się nieopodal. Miauknęła.

Jennesta pogłaskała ją między uszami i pieszczotliwie musnęła jej futerko.

– Nie teraz, kochanie. Muszę się skupić.

Szafirka zamruczała i znikła.

Jennesta pogрузyła się w medytacji. Ze zmarszczonymi brwiami zaczęła

recytować zaklęcia w starym języku. Dziwna koncentracja, płynąca z bełkotliwych, a zarazem śpiewnych fraz, zmieniła jej szept w dźwięk przypominający niemal wrzask. Jej głos ucichł i znowu nabrał mocy.

Świece i pochodnie zamigotały pod tchnieniem niewidzialnego wiatru. Powietrze w komnacie jakby stężało, skupiło się nad szkarłatną zawartością wanny. Tafla krwi zmarszczyła się i zafalowała leniwie, wydając cuchnący, rdzawy wyziew.

Potem wygładziła się i gwałtownie skrzepła. Skorupa nabrała tęczowego połysku, jak olej na wodzie.

Na czole Jennesty pojawiły się kropelki potu. Pasma włosów przywarły do niego. Kiedy spojrzała w wannę, krwawa skorupa delikatnie załśniła, jakby rozświetlił ją od wewnątrz jakiś blask. Na tafli zaczął się formować powoli kształt.

Twarz.

Jej najbardziej uderzającą cechą były oczy. Ciemne, lśniące, okrutne. Takie jak oczy Jennesty. Ale twarz była mniej ludzka.

Wizja przemówiła głosem, który dochodził jakby z głębi bezdennego oceanu.

– Czego chcesz? – We władczym, pogardliwym tonie nie było zaskoczenia.

– Uznałam, że czas porozmawiać.

– Ach, można protektorka przybłędów raczy ze mną rozmawiać.

– Nie opiekuję się ludźmi, Adpar, tylko wspieram pewne sprawy dla własnych korzyści. Moich i innym.

Drwiący śmiech.

– Jak zwykle się oszukujesz. Mogłabyś przynajmniej być szczerą.

– Tak jak ty? – warknęła Jennesta. – Przebudź się i dołącz do mnie. Może wówczas będziemy mieć szansę ocalenia starych tradycji.

– Tu żyjemy według starych tradycji, nie zniżamy się do konszachtów z

ludźmi i proszenia ich o pozwolenie. Będziesz tego żałować.

– Matka mogłaby być innego zdania.

– Błogosławiona Vermegram była pod wieloma względami wielka, ale nie zawsze nieomylna – odparła lodowato wizja. – Jednak o tym już rozmawialiśmy. Nie sądzę, żebyś mnie wzywała na pogawędkę. Dlaczego mnie niepokoisz?

– Chce cię spytać o coś, co zgubiłam.

– A co to takiego? Może góra klejnotów? Czarodziejska księga? Dziewictwo?

Jennesta zacisnęła pięści i pohamowała narastającą wściekłość.

– Pewien przedmiot.

– Jesteś bardzo tajemnicza. Dlaczego mi to mówisz?

– Pomyślałam, że może... słyszałaś, gdzie mógł się podziać.

– Nadal nie powiedziałaś co.

– Przedmiot, który dla nikogo z wyjątkiem mnie nie ma żadnej wartości.

– Nie pomagasz mi.

– Adpar, albo wiesz, o czym mówię, albo nie.

– Widzę, że jest ci trudno. Gdybym nic nie wiedziała o tym przedmiocie, nie chciałabyś zdradzić mi szczegółów, by nie rozbudzić mojej ciekawości. Gdybym natomiast wiedziała, to pewnie dlatego, że to ja maczałabym palce w jego zniknięciu. Czy o to mnie oskarżasz?

– Nie oskarżam cię o nic.

– Cudownie, bo nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Jennesta nie mogła się zorientować, czy Adpar mówi prawdę, czy też gra z nią w znaną zabawę. Drażniło ją, że po tylu latach nadal nie potrafi tego rozpoznać.

– Dobrze – rzekła wreszcie. – Zostawmy to.

– Oczywiście. Jeśli tak bardzo pragniesz tego czegoś... cokolwiek to jest... może powinnam się tym zainteresować.

– Lepiej trzymaj się z daleka od moich spraw. A jeśli dowiem się, że miałaś z tym coś wspólnego...

– Wiesz, jesteś jakaś blada, kochanie. Czyżby śmiertelność dawała ci się we znaki?

– Nie!

– Zapewne chodzi o ubytek energii z twojej części kraju. Tu nie mamy tego problemu. Ciekawe, czy istnieje jakiś związek? Pomiedzy tym, co straciłaś i twoją potrzebą uzupełnienia brakującej energii. Może to jakiś magiczny przedmiot? Albo...?

– Nie udawaj niewiniątka, to irytujące!

– Nie bardziej od oskarżenia o kradzież.

– O, bogowie, zostaw mnie wreszcie w...

Na brzegu twarzy pojawiły się małe fale. Zaczęły się rozchodzić kręgami po całej tafli, zniekształcając wizję i chlupiąc o ściany wanny.

– Patrz, co narobiłaś! – zirytowała się Adpar.

– Ja? Raczej ty!

Na powierzchni pojawił się maleńki migotliwy wir, który zaczął leniwie wirować. Małe fale uspokoiły się i z wolna na tafli pojawił się owalny kształt. Stopniowo stawał się coraz wyraźniejszy.

W gęstej czerwonej cieczy pojawiła się inna twarz.

Ona także miała niezwykle oczy, ale z innych przyczyn niż Jennesta i Adpar. Z nich trzech miała najbardziej ludzkie rysy.

Jennesta spojrzała na nią z niesmakiem.

– Ty – rzuciła jak przekleństwo.

– Powinnam się domyślić – westchnęła Adpar.

– Wasz jazgot burzy spokój eteru – odezwała się nowo przybyła.

– A ty burzysz nasz spokój – warknęła Jennesta.

– Dlaczego zawsze wtrącasz się w nasze rozmowy? – spytała Adpar.

– Wiesz dlaczego. Więż jest zbyt silna, nie mogę się oprzeć

przyciąganiu. Nasze dziedzictwo nas łączy.

– Jeden z najbardziej okrutnych figli bogów – mruknęła Jennesta.

– Może spytasz Sanarę o swoją cenną zgubę? – podsunęła Adpar.

– Bardzo śmieszne.

– O czym mówicie? – chciała wiedzieć Sanara.

– Jennesta zgubiła coś i bardzo chce to odzyskać.

– Daj spokój.

– Ale prawda, przecież Sanara znajduje się w miejscu, gdzie najbardziej brakuje magii.

– Przestań mącić! – warknęła Jennesta. – Nigdy nie powiedziałam, że ten przedmiot ma coś wspólnego z magią.

– Nie wiem, czy chcę mieć coś wspólnego z twoją zgubą – odezwała się Sanara. – Z pewnością łączą się z tym kłopoty. Albo ryzyko.

– Och, zamknij się wreszcie, ty zarozumiała wiedźmo!

– To było bardzo nieuprzejme – zauważyła Adpar z jawnie fałszywym współczuciem. – Sanara ma obecnie okropne kłopoty.

– I dobrze!

Adpar, zachwycona rozdrażnieniem Jennesty, parsknęła pogardliwym śmiechem. Sanara najwyraźniej szykowała się do udzielenia kolejnej rozsądnej rady, która mogłaby doprowadzić Jennestę do mdłości.

– Obie możecie iść do diabła! – ryknęła, uderzając pięściami w szydercze twarze.

Wizje rozprysły się na kawałki i rozplynęły. Krwawa skorupa pękła. Krew ostygła, była niemal zimna; rozprysnęła się, ochlapując twarz i ubranie Jennesty.

Królowa osunęła się na ziemię, dysząc.

Skarciła się. Kiedy się wreszcie nauczy, że kontakt z Adpar, a co za tym idzie, także z Sanarą, nigdy nie poprawi jej humoru? Coraz bliższy jest dzień, kiedy trzeba będzie zerwać łączącą je więź. Na zawsze.

Szafirka wyczuła miły zapach i otarła się zmysłowo o nogę swojej pani. Do ramienia Jennesty przylgnął kawałek zakrzepłej krwi. Królowa odkleiła go i poruszyła nim przed zwierzątkiem. Szafirka pociągnęła noskiem, poruszyła wąsami i zatopiła zęby w lepkim przysmaku. Zaczęła go pożerać, mlaskając.

Jennesta pomyślała o cylindrze i przeklętym oddziale, który tak nierozsądnie po niego wysłała. Minęła już połowa czasu, jaki wyznaczyła na odzyskanie zguby. Jeśli wysłannicy Kysthana zawiodą, będzie musiała opracować plan awaryjny. Choć nawet bogowie nie zdołają mu pomóc, jeśli ją zawiodł.

Ale odzyska to, co do niej należy. Wytropi oddział jak zgraję psów i przyprowadzi ich pod sąd, bez względu na koszt.

Leniwie oblizwała krew z palców i zaczęła marzyć o cierpieniach, jakie zada Rosomakom.

– Źle ci bez niego? – spytał Stryk.

ROZDZIAŁ 9



Alfray dotknął nagiej szyi i skinął głową.

– Pierwszy kiel zdobyłem w moim trzynastym roku. Od tego czasu nie rozstawałem się z tym naszyjnikiem. Aż do dziś.

– Zgubiłeś w zasadzce?

– Na to wygląda. Tak się do niego przyzwyczaiłem, że nawet nie zauważyłem, kiedy zniknął. Dopiero dzisiaj Coilla zwróciła mi uwagę.

– Ale trofea są twoje. Nikt ci tego nie odbierze. Z czasem je zastąpisz.

– Nie mam czasu. A na pewno nie tyle, żeby zdobyć trzy nowe. Jestem najstarszy w oddziale. Walka bez broni ze śnieżnymi panterami to rozrywka dla młodych orków.

Alfray zamyślił się. Stryk zostawił go w spokoju. Wiedział, jakim ciosem jest utrata tych dowodów odwagi, symboli osiągnięcia dojrzałego wieku.

Jechali na czele kolumny.

Nikt się nie odzywał, ale myśli o orkowym obozowisku i ich niebezpiecznej sytuacji wisały nad nimi ciężką chmurą. Melancholia Alfraya wtopiła się w kiepski nastrój Rosomaków.

Tym razem koni starczyło dla wszystkich, więc poruszali się szybciej, choć Meklun nadal jechał na noszach, co nie pozwalało im rozwinąć pełnej szybkości. Parę godzin wcześniej skręcili na południowy zachód i zaczęli

sunąć przez Wielkie Równiny ku Czarnej Skale. Przed zachodem słońca powinni znaleźć się w połowie drogi między Rysem a Doliną Tkacza.

Stryk miał nadzieję, że zdołają uniknąć zwady z kłótliwymi trollami z północy i fanatycznymi ludźmi z południa.

Teren zaczął się zmieniać. Równiny ustąpiły pagórkom, płytkim dolinom i krętym ścieżkom. Pojawiły się zarośla. Pastwiska zmieniły się w ugory. Nieopodal ukazały się ludzkie osiedla. Stryk uznał, że niezależnie od tego, czy zamieszkują je Jedowie, czy też Mnogowie, bezpieczniej będzie traktować je jako wrogie.

Zamieszanie w szeregach wyrwało go z zamyślenia. Obejrzał się. Haskeer i Jup kłócili się głośno.

Westchnął.

– Jedź – rzucił Alfrayowi i zawrócił konia.

Dotarcie do nich zajęło mu chwilę, ale i to wystarczyło, by już rzucili się na siebie z pięściami. Na jego widok uspokoili się. – Jesteście moimi adiutantami czy rozwydrzonymi pisklakami?

– To przez niego! – poskarżył Haskeer. – Bo...

– Przeze mnie? – warknął Jup. – Ty draniu! Powinienem...

– Cisza! – rozkazał Stryk. – Jup, masz być naszym głównym zwiadowcą. Pora na siebie zarobić. Trzeba zluzować Prooqą i Gleadega. Weź Calthmona, a swoją część kryształów zostaw Alfrayowi.

Jup rzucił swojemu przeciwnikowi ostatni grymas i spiął konia ostrogami.

Stryk zajął się Haskeerem.

– Prowokujesz mnie – ostrzegł. – Jeszcze trochę i każę ci zedrzeć skórę z pleców.

– Tacy jak on nie powinni się znajdować w oddziałach – wymamrotał Haskeer.

– Nie dyskutuj, sierżancie. Naucz się z nim żyć albo wracaj do domu, jak

wolisz.

Wrócił na czoło kolumny.

Haskeer zauważył, że szeregowcy, którzy słyszeli tę reprimendę, gapią się na niego.

– Nie byłoby tego kłopotu, gdyby dobrze dowodził – mruknął. Szeregowcy odwrócili wzrok.

Kiedy Stryk znalazł się u boku Alfraya, dołączyła do nich Coilla.

– Jeśli utrzymamy ten kierunek, bardziej zbliżymy się do Doliny Tkacza niż Rysu. Co planujesz, jeśli napotkamy kłopoty? – spytała.

– Dolina Tkacza to jedna ze starszych osad Jedów, zamieszкана przez fanatyków – powiedział. – A to znaczy, że są nieprzewidywalni. Nie zapominaj o tym.

– Jedowie, Mnogowie, co za różnica? – wtrącił Alfray. – To wszystko ludzie, nie?

– My mamy pomagać Mnogom – przypomniała Coilla.

– Bo nie mamy wyboru. Co my w ogóle możemy?

– Co tylko chcemy – odparł Stryk. – Rozsądnie jest pomagać Mnogom. Nie są tak wrogo nastawieni do starszych ras. A co ważniejsze, dzięki temu wprowadzamy rozłam pomiędzy ludzi. Pomyśl, o ile byłoby gorzej, gdyby się zjednoczyli.

– Albo gdyby wygrała jedna ze stron – dodała Coilla.

Przed nimi, poza zasięgiem wzroku, Jup i Calthmon sprawdzili szlak. Jup obejrzał się za dwoma zluzowanymi żołnierzami, Prookiem i Gleadegiem.

Dopiero teraz powoli uspokajał się po sprzeczce z Haskeerem. Spiał konia nieco brutalniej, niż to było konieczne, i skupił się na zadaniu.

Krajobraz zrobił się bardziej urozmaicony. Częściej widać było pagórki i kępy drzew, wyższe trawy zasłaniały teren.

– Znasz te okolice, sierżancie? – odezwał się Calthmon. Mówił cicho,

jakby podniesiony głos mógł zdradzić ich obecność, choć jak okiem sięgnąć nie było widać żywej duszy.

– Trochę. Od tej pory teren będzie się zmieniać.

Jakby na rozkaz ścieżka stała się stroma i kręta. Zarośla po obu jej stronach zgęstniały. Wjechali w zakręt.

– Ale jeśli oddział będzie się trzymał tej drogi – ciągnął Jup – nie powinniśmy się o nic...

Drogę tarasowała przeszkoda.

– ...martwić.

Barykada była zrobiona z przewróconego wozu i mocnych pni. Strzegli jej ludzie ubrani na czarno. Było ich co najmniej dziesięciu. Mieli broń.

Jup i Calthmon zatrzymali się w chwili, gdy ludzie ich zauważyli.

– O, do diabła – jęknął Jup.

Ludzie wrzasnęli. Niemal wszyscy popędzili do koni, wywijając mieczami, toporami i pałkami. Krasnolud i ork zawrócili swoje wierzchowce.

I rzucili się do ucieczki, ścigani przez żądną krwi, wyjąca bandę.

– Wczoraj żołnierz Zjednoczonych Sił Ekspedycyjnych, dziś sługa sprzedany Jenneście – przypomniał sobie Stryk. – Wiesz, jak to jest.

– Wiem – przyznała Coilla. – I chyba czułeś to samo co ja.

– Jak to?

– Nie byłeś zły, że nie miałeś w tej sprawie nic do powiedzenia? Jej szczerość znowu wytrąciła go z równowagi. I to, że tak dobrze odczytywała jego myśli.

– Być może – przyznał.

– Walczysz ze swoim wychowaniem. Nie potrafisz przyznać, że to była niesprawiedliwość.

Niepokoilo go, że tak wnikliwie odgaduje jego najskrytsze uczucia. Odpowiedział wymijająco:

– Najtrudniej było takim jak Alfray. – Wskazał lekarza, który jechał obok noszy Mekluna. – W jego wieku zmiana nie przychodzi łatwo.

– Mówiliśmy o tobie.

Nie odpowiedział. Patrzył na Prooqą i Gleadega, którzy pojawili się na ścieżce przed nimi. Zbliżyli się galopem.

– Zwiadowcy meldują się na rozkaz, kapitanie – wyrecytował sztywno Prooq. – Sierżant Jup nas złuzował.

– Coś zauważyliście?

– Nie, kapitanie. Droga wyglądała na pustą.

– Dobrze. Do kolumny.

Żołnierze odjechali.

– Mówiłeś o zmianie... – odezwała się Coilla.

Jesteś z natury uparta, pomyślał, czy te wszystkie pytania mają jakiś cel?

– Pod rozkazami nowej pani moja sytuacja nie zmieniła się aż tak bardzo – powiedział. – Przynajmniej w pierwszej chwili. Rangę miałem taką samą i mogłem walczyć z prawdziwym wrogiem, choć tylko zjedną frakcją.

– I dostałeś oddział Rosomaków.

– Po pewnym czasie. Choć nikomu się to nie spodobało.

– Co pomyślałeś, kiedy się dowiedziałeś, że musisz wypełniać rozkazy władczyni, w której żyłach płynie ludzka krew?

– Byłem... zaskoczony – odpowiedział ostrożnie.

– To znaczy oburzony. Jak my wszyscy.

– No, szczęśliwy nie byłem – przyznał. – Jak sama powiedziałaś, jesteśmy w trudnej sytuacji. Czy wygrają Mnogowie, czy Jedowie, i tak zwycięstwo będzie po stronie ludzi. – Wzruszył ramionami. – Ale orkowie powinni wykonywać rozkazy.

Spojrzała na niego twardo i przeciągle.

– Tak. Na to nam przyszło.

Nie mógł nie wyczuć gorczy w jej głosie.

Ta rozmowa zaczęła go wciągać. Chciał ją prowadzić dalej.

Ale w pobliżu rozległ się krzyk szeregowca. Stryk nie zrozumiał słów. Potem usłyszał inne głosy. Jup i Calthmon wracali pełnym galopem.

Stryk stanął w strzemionach.

– Codo...

Wtedy dostrzegł pędzących za nimi ludzi. Mieli na sobie czarne stroje, długie płaszcze i spodnie z samodziałowej wełny, a także wysokie buty z cholewami. Liczebnością dorównywali pewnie Rosomakom. Nie było czasu rozpoczynać szarży.

– Zewrzeć szeregi! – ryknął. – Do mnie!

Oddział skoczył ku swemu dowódcy. Błyskawicznie ustawiono konie w półokrąg zwrócony ku wrogowi. Za nimi umieszczono nosze Mekluna. Żołnierze wyciągnęli broń.

Na widok oddziału ludzie zwolnili, ale nadal galopowali, tworząc po drodze szereg.

– Trzymać się – rozkazał Stryk. – Nie cofać się ani na krok!

– Jakby to było możliwe – mruknęła Coilla z wisielczym humorem. Przecięła mieczem powietrze, gotowa do walki.

Zagrzewani do ucieczki okrzykami towarzyszy Jup i Calthmon dopadli do Rosomaków na spienionych koniach.

Chwilę później, niczym fala wzburzonego morza zjawili się ludzie.

W ostatniej chwili jeźdźcy z obu grup obrócili konie bokiem, by łatwiej prowadzić walkę.

Stryk stanął naprzeciwko brodatego, ogorzałego przeciwnika o oczach płonących żądzą mordy. Człowiek wywijał dziko toporem, ale w jego ruchach było więcej zacieklej niż precyzji.

Stryk zablokował jego cios i sam uderzył. Koń uskoczył i miecz ześliznął się po ramieniu człowieka, ale nie wyrządził mu krzywdy. Stryk szybko cofnął go i zadał kolejny cios. Ścierali się raz po raz. W końcu Stryk

siekl mocno w jego odsłoniętą rękę, odcinając dłoń nadal ściskającą topór.

Bluzgający krwią i przekleństwami człowiek dostał śmiertelny cios w pierś i upadł.

Stryk odwrócił się do drugiego napastnika w chwili, kiedy Coilla właśnie pokonała pierwszego. Wyszarpnęła ostrze z jego ciała w samą porę, by osłonić się przed następnym ciosem. Zadał go uzbrojony w miecz muskularny osobnik. Po paru próbach uderzyła prosto w głowę człowieka. Uchylił się jednak i uniknął ciosu.

Coilla natychmiast zaatakowała ponownie, tym razem uderzając nisko. Człowiek z niespodziewaną zwinnością przechylił się w siodle i jej miecz przeszył powietrze. Tym razem on zaatakował.

Odpierając jego uderzenia, Coilla drugą ręką sięgnęła za pas i wyjęła nóż. Cisnęła nim prosto w jego serce.

Po lewej stronie Haskeer porzucił łopoczące cugle i trzymał oburącz swój miecz. Roztrzaskiwał czaszki, przeszywał piersi, odrąbywał kończyny. Różowe ciało rozchylało się, kości trzaskały, w powietrze tryskały szkarłatne fontanny. Oszalały Haskeer nie zważał, czyjego ofiarami padają zwierzęta, czy ludzie. Jego ostrze kosiło konie i jeźdźców jednocześnie.

W hałaśliwym chaosie kilku napastników okrążyło walczące szeregi i uderzyło od tyłu. Alfray wraz z paroma szeregowcami odparł atak. Wokół noszy Mekluna rozgorzała walka, zawierucha kopyt i miotających się ciał.

Alfray, którego cios pałki o mało nie strącił z konia, wyprostował się w siodle i zdążył przeciąć popręg przeciwnika. Człowiek przechylił się i spadł. Kiedy usiłował wstać, stratował go pozbawiony jeźdźca koń.

Jup pospieszył na pomoc kamratom walczącym na tyłach. Ściął jednego z dwóch jeźdźców, którzy osaczyli Alfraya. Drugi człowiek i krasnolud zwarli się w walce. Jup zadał mu cios w ramię, a zaraz potem zatopił zimną stal w jego klatce piersiowej.

Miecz człowieka zwarł się z bronią Stryka i odskoczył. Stryk zadał

wrogowi potworny cios w szyję, aż do kości. Napastnik, który zajął miejsce poprzedniego, miał równie krótki żywot. Zaledwie dwa razy zdołał sparować cios Stryka, zanim wyjąc, runął na ziemię z rozplataną twarzą.

Coilla, walcząca mieczem i sztyletem, odpierała ataki dwóch napastników, atakujących ją z obu stron. Jeden dostał cios w gardło, drugi nieco później został ugodzony sztyletem.

Kiedy w pobliżu nie pojawił się już żaden przeciwnik, spojrzała na Stryka. Walczył z chudym, długonogim człowiekiem o płowych włosach i pokrytej plamami skórze. Uznała, że to jeszcze podrostek. Jego niezdarne ruchy świadczyły o nieznanym sztuki wojennej. Wyraźnie widać było jego strach.

Stryk wykończył go jednym szerokim ciosem w krtani. Ostrze rozplatało ją i przeszło na wylot, niemal odcinając głowę. Na twarz Coilli prysnęły czerwone kropelki.

Wytarła je ręką i splunęła. Był to czysty odruch. Tak samo zrobiłaby, gdyby chlusnęła na nią deszczówka.

– Skończyliśmy – oznajmiła sucho.

Nie musiała mu tego mówić. Dookoła leżały ludzkie trupy. Pozostało jeszcze tylko kilku przeciwników, na których skupił się cały impet ataku oddziału. Haskeer monotonicznie bił jednego w głowę czymś, co wyglądało jak maczuga. Po przyjrzeniu się okazało się ludzką ręką z kością wystającą z rany.

Garstka napastników rzuciła się do konnej ucieczki. Za nimi z radosnym okrzykiem ruszyła jedna trzecia szeregowców. Stryk ryknął na nich; niechętnie porzucili uciekających. Ludzie zniknęli.

Alfray ukląkł przy noszach Mekluna. Żołnierze zaczęli zbierać porzuconą broń i opatrywać rany. Haskeer i Jup podeszli do Stryka i Coilli, trzymając się z dala od siebie.

– Zdaje się, że nie odnieśliśmy zbyt poważnych obrażeń – raportował

Jup.

– Nic dziwnego – zaszydził Haskeer. – Walczyli jak niedojdy.

– To wieśniacy, nie wojownicy. Jedynie Fanatycy, jak sądzę, pewnie z Doliny Tkacza. Nie było wśród nich prawdziwego wojownika.

– Ale tego nie wiedzieliśmy – warknął oskarżycielsko Haskeer.

– Do czego zmierzasz? – chciał wiedzieć Jup.

– Przeprowadziłeś ich wprost do nas. Jaki idiota tak postępuje? Naraziłeś cały oddział.

– A co miałem robić, głąbie?

– Powinieneś ich odciągnąć gdzieś daleko.

– I co potem? Dokąd mieliśmy się udać z Calthmonem? – Jup gestem ręki wskazał dzikie tereny dokoła. – A może mieliśmy się im poddać, żebyś ty nie ucierpiał?

Haskeer spiorunował go wzrokiem.

– Nie byłoby wielkiej straty.

– Spadaj, ty wypierdku! To jest oddział, pamiętasz? Trzymamy się razem i razem wrócimy do domu!

– Jak z tobą skończę, kurduplu, to nie trafisz do tego domu!

– Hej! – warknęła Coilla. – A może się w końcu zamkniecie, żebyśmy mogli się stąd wynieść?

– Ona ma rację – powiedział Stryk. – Nie wiemy, ilu ludzi nas jeszcze zaatakuje. A choć to wieśniacy, będziemy mieć kłopot, jeśli zbierze się ich dużo. Gdzie ich spotkaliście, Jup?

– Przy barykadzie – odpowiedział krasnolud ponuro. – Na drodze.

– Więc musimy znaleźć inny szlak.

– Znowu strata czasu – burknął Haskeer.

Cienie były coraz dłuższe. Za parę godzin będą jechać w zupełnych ciemnościach. Ta perspektywa nie wywołała entuzjazmu u Stryka, tym bardziej że po bezdrożach grasowały bandy ludzi.

– Podwajam oddział zwiadowców – zdecydował. – Tyłów będzie strzec czterech strażników. Jesteś za to odpowiedzialny, Haskeer. Ja zajmę się zwiadowcami. Wykonać.

Sierżant łypnął ponuro i odjechał.

– Sprawdź, jak się czuje Meklun – powiedział Stryk do Coilli i Jupa. – Wy dwoje poprowadźcie kolumnę, ale zaczekajcie, aż odjadą zwiadowcy.

Zawrócił konia.

Krasnolud spojrział ponuro na Coillę.

– Mów – rzuciła.

– Na początku wszystko wydawało się takie proste. Teraz sprawy się skomplikowały. I jest bardziej niebezpiecznie, niż zakładałem.

– O co ci chodzi? Chcesz żyć wiecznie?

Jup zastanowił się.

– Tak – powiedział.

ROZDZIAŁ 10



Jennesta uśmierciła kobietę szybciej niż zazwyczaj. Nie z litości; nudziła się i spieszyło się jej do innych zadań. Zeszła z ołtarza, odpinając zakrwawiony róg jednoroźca, który służył jej za sztuczny członek. Sprawnym ruchem rozplątała ciało kobiety; zrobiła to tak szybko, że serce, które podniosła do ust, jeszcze biło.

Posiłek ledwie przytłumił głód. Albo jej apetyt stawał się coraz większy albo bardziej wyrafinowany.

Teraz kiedy odżywiła ciało i magiczną moc, choć w równie podłym nastroju, oblizwała palce i zamyśliła się nad cylindrem. Termin, który wyznaczyła ścigającym, prawie minął. Niezależnie od tego, czy wypełnili misję, czy nie, przyszła pora zabrać się do poszukiwań Rosomaków z większym zaangażowaniem.

Było zimno. Chłód docierał nawet tutaj, do jej sanktuarium. Na wielkim palenisku czekały polana, ale nikt ich nie zapalił. Jennesta wyciągnęła rękę. Powietrze przeszył bezszelestny piorun, prosty jak strzała. Zahuczał ogień. Pomyślała, że niesłusznie zmarnowała dopiero co odnowioną energię. Ale tak bardzo lubiła rzucać czary, że nie mogła sobie tego odmówić.

Pociągnęła za sznur dzwonka. Weszli dwaj strażnicy, orkowie. Jeden niósł pod pachą worek.

– Wiecie, co robić – rzuciła od niechcienia. Nie zadała sobie trudu, by na

nich spojrzeć.

Zajęli się sprzątaniami. Rozłożyli materiał na podłodze. Zdjęli ciało z ołtarza, położyli je i owinęli.

Jennesta znowu pociągnęła za sznur, tym razem dwa razy. Orkowie minęli się w drzwiach z wchodzącym służącym. Oczy elfa rozszerzyły się przez chwilę na widok ociekającego krwią tobołu, ale zaraz potem jego twarz znowu stała się nieruchomą maską.

Służący był nowy; Jennesta miała problemy z rozpoznaniem jego płci, podobnie jak w przypadku jego poprzedniczki. Oczywiście zawsze w końcu można się dowiedzieć. Upomniała się – po raz kolejny – by nie zużywać służących tak szybko. Żaden nie zagrażał miejsca na tyle, żeby dobrze opanować swoje obowiązki.

Musztrowany ostro elf pomógł się jej ubrać. Jak zwykle, gdy wybierała się poza zamek, Jennesta wybrała czerń: obcisłą skórzaną bluzkę i spodnie do konnej jazdy, wsunięte w sięgające ud buty na wysokich obcasach. Stroju dopełniał długi płaszcz ze skór leśnych niedźwiedzi. Włosy schowała pod czapkę z takiego samego futra.

Niecierpliwie odprawiła służącego. Wycofał się w ukłonach, unizony i natychmiast zapomniany.

Jennesta podeszła do stołu przy ołtarzu i przyjrzała się kolekcji zwiniętych batów. Wybrała jeden z ulubionych. Wsunęła smukłą dłoń w pętlę u trzonka, przez chwilę zatrzymała się przed lustrem, po czym ruszyła do drzwi.

Na jej widok strażnicy stanęli na baczność, a potem ruszyli jej śladem. Odprawiła ich niedbałym ruchem ręki. Wrócili na swoje miejsca. Przeszła korytarzem do schodów, oświetlonych co dziesięć stopni pochodniami w żelaznych uchwytach. Szła, podnosząc rąbek płaszcza, by go nie ubrudzić.

Znalazła się przy drzwiach, które otworzył jej inny ork – odźwierny. Znalazła się na wielkim dziedzińcu otoczonym wysokimi murami. Wysoko

nad nią wznosiły się wieże zamku. Było ciemno i mroźno.

Smok stał przywiązany na środku placu; jego przednią nogę otaczał żelazny pierścień wielkości beczki. Równie ogromny łańcuch biegł od obręczy do starego dębu.

Pysk miał zanurzony w małej stercie paszy: siana, siarki, ciał paru owiec i innych mniej rozpoznawalnych elementów. Za nim piętrzyły się dymiące sterty nawozu z kawałkami kości i lśniących kamieni.

Jennesta przytknęła do nosa delikatną chusteczkę.

Opiekunka smoka zbliżyła się do niej. Miała na sobie strój w kilku odcieniach brązu. Jej kamizela i spodnie miały barwę kasztana i delikatność kozłej skórki, buty do kolan były uszyte z zamszu koloru mahoni. Jedyny akcent stanowiły białe i szare pióra przy kapeluszu z wąskim rondem i dyskretne złote sznury wokół szyi i nadgarstków. Była niezwykle wysoka, nawet jak na swoją rasę, i miała dumną, niemal wyniosłą minę.

Rasa Smoczej Matki zawsze intrygowała Jennestę. Jak dotąd nie miała w swoim otoczeniu jej przedstawiciela i czuła do nich pewien niechętny szacunek – o ile mogła szanować kogoś poza sobą. Może dlatego, że tak jak ona, chochliki były hybrydami – dziećmi elfów i goblinów.

– Glozellan – odezwała się.

– Wasza wysokość. – Pani Smoków skłoniła niechętnie głowę.

– Otrzymałaś rozkazy?

– Tak.

– Czy są zrozumiałe?

– Pragniesz, by wysłano smocze patrole na poszukiwanie oddziału. – Jej głos był cienki, skrzypiący.

– Rosomaków. Tak. Wysłałam wiadomość tobie, by podkreślić, jak ważna jest ta misja.

Jeśli Glozellan zdziwił fakt, że królowa chce ścigać swoich sprzymierzeńców, nie zdradziła tego w żaden sposób.

– Co mamy zrobić, jeśli ich znajdziemy?

To „jeśli” nie spodobało się Jenneście, ale przemilczała.

– Wówczas musicie wykazać inicjatywę. – Starannie dobierała słowa. – Jeśli zastaniecie oddział w miejscu, gdzie będzie można ich schwytać, powiadomicie nasze siły naziemne. Ale gdyby istniało najmniejsze przypuszczenie, że Rosomaki mogą uciec, należy ich unicestwić.

– Cienkie brwi Glozellan uniosły się lekko. Nierozważnie było reagować wyraźniej, a tym bardziej protestować. Jeśli będziecie musieli ich zabić, natychmiast mnie powiadomcie – ciągnęła Jennesta – i strzeżcie ich szczątków, nawet z narażeniem własnego życia, jeśli to konieczne, aż do nadejścia posiłków. – Była pewna, że cylinder wytrzyma nawet żar smoczego oddechu. A przynajmniej dość pewna. Ryzyko, jak zawsze, było nieuniknione.

Smok hałaśliwie chrupał kręgosłup owcy.

Glozellan zastanawiała się przez chwilę.

– Będziemy szukać niewielkiej grupki. Nie wiemy gdzie. Nie będzie łatwo, jeśli nie będziemy szybować nisko. To nas wystawi na niebezpieczeństwo.

Jennesta z trudem zachowała spokój.

– Dlaczego wszyscy mi się sprzeciwiają? – warknęła. – Chcę działania! Rób, co każę!

– Najjaśniejsza pani...

– Nie stój tak! Do roboty!

Smocza Matka skinęła głową, odwróciła się i podeszła do swego wierzchowca. Wdrapała się po rusztowaniu na siodło i dała znak strażnikowi orkowi czekającemu pod murem. Zbliżył się z młotem. Parę mocnych uderzeń uwolniło łańcuch. Strażnik oddalił się na bezpieczną odległość.

Glozellan pochyliła się i położyła chudą rękę na szyi smoka. Ten

przechylił głowę i zbliżył ogromne ucho do jej twarzy. Szepnęła coś. Żyłaste skrzydła rozłożyły się i wydeły z suchym skrzypieniem. Smok ryknął.

Gigantyczne mięśnie jego nóg i brzucha napięły się jak pokryte łuską głązy. Skrzydła załopotwały, początkowo ospale, potem z coraz większą prędkością. Na dziedzińcu powiał wicher jak przy zbliżającej się burzy.

Jennesta przytrzymała czapkę i płaszcz. Smok z wolna uniósł się w powietrze. Wydawało się, że taki olbrzym nie zdoła ominąć murów, ale dokonał cudu, łącząc w sobie monstrualność z zaskakującą gracją.

Przez parę chwil stwór wisiał w powietrzu bez ruchu, jeśli nie liczyć ciężkiego łopotu potężnych skrzydeł. Jego ogromna postać zasłoniła częściowo młody miesiąc i gwiazdy. Potem nagle ciemny kształt zaczął się wznosić, skierował się ku Taklameerowi i odleciał.

Drzwi, którymi Jennesta wyszła na dziedziniec, otworzyły się. Generał Kysthan przekroczył próg; eskortował go niewielki oddział osobistych gwardzistów królowej. Generał był blady.

– Masz wiadomości o pościgu? – spytała.

– Tak i... nie, najjaśniejsza pani.

– Nie mam ochoty na zagadki. Mów wprost. – Niecierpliwie uderzyła się zwiniętym batem po udzie.

– Mam wiadomość od kapitana Delorrana.

Jej oczy zwęziły się.

– Mów.

Generał wyjął z kieszeni tuniki złożony pergamin. Pomimo chłodu na jego czole lśniły kropelki potu.

– Niech mi będzie wolno powiedzieć... nie jest to koniecznie wiadomość, której najjaśniejsza pani oczekuje...

Jednym szybkim ruchem Jennesta rozwinęła bat.

Noc była rozgwieżdżona. Łagodny wietrzyk przyjemnie chłodził.

Stryk stał u drzwi dużego domu. Z wnętrza dochodziły jakieś dźwięki.

Rozejrzył się. Nie było niczego niepokojącego w tym sielskim krajobrazie. Nie mieściło mu się to w głowie. Ta normalność była nienaturalna.

Z wahaniem wyciągnął rękę do drzwi.

Zanim zdołał ich dotknąć, otworzyły się.

Światło i hałas oszołomiły go. Na progu stanęła czarna postać. Nie rozpoznawał rysów, jedynie mroczne kontury. Postać zbliżyła się. Sięgnął po miecz.

Ujrzał tę samą samicę, którą już raz spotkał. A może sobie wyobraził. Wymarzył. Była tak samo przystojna i dumna, a w jej oczach lśniła ta sama czuła stal.

Stryk cofnął się o krok, wstrząśnięty. Ona także była zdziwiona.

– Wróciłeś – powiedziała.

Wymamrotał coś banalnego.

Uśmiechnęła się.

– Wejdz, uroczystość trwa już od dawna.

Pozwolił się zaprowadzić do wielkiej sali.

Była pełna orków – i tylko orków. Orkowie ucztowali przy długich stołach pełnych jedzenia i napojów. Orkowie rozmawiali życzliwie. Orkowie śmiali się, śpiewali, rubasznie żartowali i grali w uciężne gry.

Samice krążyły wśród nich z kuflami piwa i rogami rubinowego wina, koszami owoców i talerzami delikatnych mięs. Ogień płonął w palenisku na środku pomieszczenia, a na rożnie piekła się dziczyzna i drób. Dym przetykany roztańczonymi iskrami unosił się ku otworowi w dachu. Wonne drewno uwalniało aromat, który mieszał się z dziesiątkami innych zapachów. Strykowi wydawało się, że czuje wśród nich słodką i gryzącą woń kryształu.

W głębi sali dorosłe samce spoczywały na Jutrach, pijąc i rechocząc ze

sprośnych dowcipów. Po drugiej stronie hałaśliwe podrostki wdały się w walkę drewnianymi mieczami i kijami o owiniętych końcach. Inni orkowie wybijali żywy rytm na bębnach. Młode ścigały się z piskiem po sali.

Wielu świętujących ciepło powitało Stryka, choć był tu obcy.

– Skosztuj. – Nieznajoma wzięła flaszkę z tacy trzymanej przez usługującego orka. Pociągnęła łyk i podała mu ją.

Stryk poszedł w jej ślady. Grzane piwo z miodem i korzeniami miało wspaniały smak. Wypił cały kubek.

Samica przysunęła się do niego.

– Gdzie się podziewałeś? – spytała.

– To nie jest proste pytanie. – Postawił flaszkę na stole. — Nie wiem, czy potrafię odpowiedzieć.

– Znowu jesteś tajemniczy.

– Tajemnicza jesteś dla mnie ty i to miejsce.

– Nie ma w nas niczego tajemniczego.

– Nie dla mnie.

Pokręciła głową z dobrotliwym zniecierpliwieniem.

– Przecież tu jesteś.

– To nic dla mnie nie znaczy. „ Tu ” to znaczy gdzie?

– Widzę, że nadal jesteś tak dziwny jak za pierwszym razem. Chodź ze mną.

Poprowadziła go ku innym, mniejszym drzwiom po drugiej stronie sali. Wychodziły na tyły domu. Chłodniejsze powietrze otrzeźwiło Stryka; drzwi zamknęły się. Zrobiło się ciszej.

– Widzisz? – Wskazała spokojny nocny krajobraz. – Wszystko jest takie, jak można się spodziewać.

– Jak można się było spodziewać kiedyś. Dawno temu. Ale teraz...

– Znowu mówisz od rzeczy.

– Chępowiedzieć... Czy tak jest... wszędzie?

– Oczywiście! – Zapadła chwila milczenia. Nieznajoma podjęła decyzję.
– Pokażę ci.

Za rogiem chaty stały konie. Przeważnie były to rumaki bojowe, wspaniałe, nieskazitelnie utrzymane zwierzęta o pięknych, lśniących uprzężach. Samica wybrała dwa najwspanialsze: jednego białego jak mleko, drugiego czarnego jak noc.

Dała Strykowi znak, by dosiadł konia. Zawahał się. Ona dosiadła białego — ruchy miała płynne i zwinne, jakby urodziła się w siodle. Jemu przypadł kary.

Ruszyli. Początkowo to ona prowadziła, potem zrównał się z nią i razem galopowali przez aksamitny krajobraz.

Srebrne światło księżyca opromieniało konary drzew i malowało łąki nierealnym szronem. Łagodne pagórki wyglądały, jakby leżał na nich śnieg, choć pora była ciepła.

Od czasu do czasu widzieli srebrzyste rzeki i migotliwe jeziora. Tętent koni płoszył stada ptactwa. Roje owadów rozświetlały mrok lasów. Wszystko było świeże, pulsujące, pełne życia.

Nad ich głowami rozpościerał się cudowny arras gwiazd, krystalicznie jasnych na dziewiczym nocnym niebie.

– Nie widzisz? – zawołała. – Nie widzisz, że wszystko jest takie, jak powinno?

Był zbyt oszołomiony nieskazanym powietrzem, wewnętrznym poczuciem spełnienia, by móc odpowiedzieć.

– Za mną! – zawołała i spięła konia do szybszego biegu. Wyprzedziła go. Popędził za nią.

Galopowali, uniesieni, a wiatr chłostał ich twarze. Roześmiała się z czystej radości – on także. Od dawna nie czuł, że żyje.

– Twój kraj jest cudowny! – krzyknął.

– Nasz kraj! – odpowiedziała.

Spojrzał na drogę, która rozciągała się przed nim.

Droga przed nim była pusta.

Chłód. Kamienista ścieżka. Nigdzie żywej duszy. Księżyc i gwiazdy świeciły, ale na zachmurzonym niebie wydawały się nieważne. Stryk jechał na czele kolumny.

Chłodna ręka strachu dotknęła jego pleców.

Co się ze mną dzieje, na bogów? – pomyślał. Czy tracę zmysły?

Usiłował myśleć rozsądnie. Był zmęczony i zdenerwowany. Jak wszyscy. Po prostu zasnął w siodle. To zmęczenie wyczarowało te wizje. Były żywe i realistyczne, ale to tylko majaki. Jak historie, które kowale słów opowiadają w zimie przy ogniu.

Chciałby w to wierzyć.

Odpiął manierką i pociągnął łyk wody. Kiedy zakręcał ją poczuł znajomy zapach. Wiatr przyniósł woń krystalinu. Potrząsnął głową niemal pewien, że zapach to wspomnienie z jego snu. Ale potem znowu go poczuł. Rozejrzał się.

Coilla i Alfray jechali tuż za nim. Byli zmęczeni i odrętwiali. Spojrzał pomiędzy nich, na szeregi sennych szeregowców. Dostrzegł Jupa, zgarbionego ze zmęczenia. Parę metrów za nim, na tyłach kolumny, jechał samotny Haskeer. Kulił się i odwracał głowę, by nikt go nie zobaczył.

Stryk zawrócił konia.

– Prowadźcie! – warknął do Alfraya i Coilli.

Zareagowali; co najmniej jedno odpowiedziało, ale nie słyszał słów i zresztą go to nie obchodziło. Obchodził go wyłącznie Haskeer. Pogalopował w jego stronę.

Mocny zapach palonego kryształu otaczał sierżanta jak ciężka chmura. Haskeer usiłował coś ukryć.

– Oddaj – rzucił Stryk lodowatym tonem.

Haskeer rozchylił palce, leniwie i bezczelnie, ukazując malutką glinianą

fajkę. Stryk odebrał mu ją.

– Zabrałeś bez pozwolenia – warknął.

– Nie zakazałeś.

– I nie pozwoliłem. To jest ostatnie ostrzeżenie. Zastanów się, Haskeer. – Stryk wziął zamach i zdzielił sierżanta pięścią prosto w skroń. Haskeer runął na ziemię z głuchym łomotem.

Kolumna stanęła. Wszyscy na nich patrzyli.

Haskeer jęknął i chwiejnie podniósł się z ziemi. Przez chwilę wyglądał tak, jakby miał się rzucić na Stryka, ale zmienił zdanie.

– Będiesz szedł piechotą dopóki nie nauczysz się dyscypliny – zapowiedział Stryk. Gestem kazał szeregowcowi zająć się koniem Haskeera.

– Jestem niewyspany – sprzeciwił się Haskeer.

– Nigdy nie przestajesz jęczeć, co? Nikt tu nie jest wyspany i nikt nie będzie, dopóki na to nie pozwolę. Zrozumiano? – Odwrócił się do reszty oddziału. – Ktoś jeszcze chce się mi sprzeciwić?

Milczenie było wystarczającą odpowiedzią.

– Nikt nie tknie kryształ, dopóki nie pozwolę! – zapowiedział.

Nieważne, ile go mamy, nie o to chodzi. Możliwe, że to nasz jedyny argument, by nas nie uśmierciła. Ona, Jennesta. Zwłaszcza jeśli nie odzyskamy tego przeklętego cylindra, na co obecnie wiele wskazuje. Zrozumiano?

Znowu wymowne milczenie.

Przerwała je Coilla.

– Niedługo chyba dowiemy się czegoś o cylindrze – powiedziała i gestem głowy wskazała widok, który wyłonił się zza zakrętu.


Przy szlaku leżał ogromny granitowy głaz, przysadzisty i zniekształcony, jakby stopił go niewyobrażalny żar. Był to znak rozpoznawalny nawet dla tych, którzy widzieli go po raz pierwszy. Czy to przypadkiem, czy z

zamiaru bogów wyglądał tak, jakby był dziełem rzeźbiarza tytana.

– Pazur Demona – oznajmił Stryk, choć nie musiał tego nikomu tłumaczyć. – Do Czarnej Skały dotrzemy za niespełna godzinę.

ROZDZIAŁ II



tryk zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli Rosomaki mają funkcjonować jak należy – jeśli mają przeżyć – musi wyrzucić z głowy te niepokojące sny. Na szczęście perspektywa najazdu na wrogie terytorium aż nadto wystarczyła, żeby go zająć.

Rozkazał rozbić tymczasowy obóz na czas przygotowań do ataku na Czarną Skałę. Wysłał paru żołnierzy na spotkanie z wywiadowcami, którzy badali okolicę. Reszta Rosomaków zajęła się sprawdzaniem swojego wyposażenia i ostrzeniem broni.

Stryk zabronił też palenia ognisk, które zdradziłyby ich pozycje. Słyszając to, Alfray poprosił go, żeby to przemyślał.

– Dlaczego? – spytał dowódca.

– Mamy problem z Darigiem. Podczas walki z Jedami został ranny w nogę. Prawdę mówiąc, jest gorzej, niż myślałem. Gangrena. Muszę mieć ogień, żeby oczyścić noże.

– Będziesz amputować?

Alfray pokiwał głową.

– Albo straci nogę, albo życie.

– Do diabła. Kolejny ranny. Nie trzeba nam tego. – Spojrzał na Mekluna.

– A co z nim?

– Nie zdrowieje. W dodatku pojawiła się gorączka.

– Jak tak dalej pójdzie, nie będziemy się musieli martwić Jennestą. Dobrze, ogień. Ale mały i osłonięty. Darig już wie?

– Chyba się domyślił. Mam zamiar mu to powiedzieć. Cholerna szkoda. To jeden z najmłodszych.

– Wiem. Potrzebujesz czegoś?

– Mam zioła, które trochę stłumią ból, i odrobinę alkoholu. Prawdopodobnie nie wystarczy. Czy mogę wziąć trochę kryształu?

– Tak. Ale on nie stłumi bólu.

– Przynajmniej Darig nie będzie o nim myślał. Przygotuję roztwór.

Alfray wrócił do pacjenta.

Coila zajęła jego miejsce.

– Masz chwilę?

Stryk potwierdził burknięciem.

– Wszystko z tobą dobrze?

– Czemu pytasz?

– Bo ostatnio nie jesteś sobą. Zrobiłeś się jakiś odległy. A potem rzuciłeś się na Haskeera...

– Sam się prosił.

– Masz rację. Ale chodzi mi o ciebie.

– Jesteśmy w opałach. Czego się spodziewasz, że będę tańczył i śpiewał?

– Myślałam tylko, że jeśli...

– Dlaczego ciągle interesujesz się moim zdrowiem, kapralu?

– Jesteś naszym dowódcą. Mam w tym swój interes. Jak my wszyscy.

– Nie zamierzam się załamać, jeśli tak podejrzewasz. Wytrzymam.

Nie odpowiedziała.

Spróbował z innej strony.

– Słyszałaś o Darigu?

– Tak. Fatalnie. Co zrobimy z koboldami?

Stryk z ulgą przyjął zmianę tematu. Rozmowa o taktyce była bardziej

bezpieczna.

– Uderzymy, kiedy będą się tego najmniej spodziewać, oczywiście. Czyli albo w nocy, albo o świcie.

– W takim razie chcę jechać ze zwiadowcami i sama sprawdzić teren.

– Dobrze. Pojedziemy razem.

– Czarna Skała jest duża. Przypuśćmy, że koboldy znajdziemy w samym jej środku.

– Z tego, co słyszałem, obozują wokół głównej osady. W środku trzymają samice i młode. Dzięki temu rabusie mogą swobodnie opuszczać obóz, a także strzec go.

– Dość ryzykowne. Jeśli nas otoczą...

– Będziemy musieli uważać.

Spojrzała na niego z troską.

– Wiesz, że to szaleństwo, prawda?

– A masz inny pomysł?

Przez bardzo krótką chwilę miał nadzieję, że odpowie: tak.

Rosomaki przez godzinę zajmowały się starannymi przygotowaniem do walki.

Kiedy się uporały ze wszystkim, Stryk poszedł do prowizorycznego szałasów służącego za szpital polowy. Znalazł w nim Alfraya, zajmującego się nieprzytomnym Meklunem, leżącym z mokrym kompresem na głowie. Resztę przestrzeni zajmował Darig, również leżąc, lecz nieco bardziej ożywiony. Poruszał miarowo głową z boku na bok, nieprzytomnie uśmiechnięty, ze szklistymi oczami. Nieustannie mamrotał. W migotliwym świetle świecy Stryk dostrzegł, że okrywający go koc jest zmięty i pokryty plamami potu.

– W samą porę – odezwał się Alfray. – Potrzebuję pomocy.

– Jest gotowy?

Alfray spojrzał na chichoczącego Dariga.

– Dałem mu tyle kryształu, że ogłuszyłoby cały oddział. Jeśli jeszcze nie jest gotowy, to już nigdy nie będzie.

– Mahoniowe łokcie korce ptasich treli związanych linką – ogłosił Darig.

– Mów – rozkazał Stryk. – Co mam robić?

– Sprowadzić tu jeszcze kogoś. Trzeba go przytrzymać.

– Śliczna... linka... liczna... ślinka...

Alfray przykucnął przy pacjencie.

– Spokojnie – powiedział łagodnie.

Stryk wyjrzał z namiotu. Na zewnątrz stał Jup. Skinął na niego. Krasnolud podbiegł i wcisnął się do środka.

– Masz szczęście – powiedział Stryk sucho. – Będiesz trzymać ten kawałek, który odrąbiemy.

Skinął na nogi szeregowca.

W szalasi nie można by już zmieścić nawet szpilki. Jup niepewnie stanął przy noszach żołnierza.

– Nie chciałbym na niego nastąpić – wyjaśnił. Nawet by nie zauważył – mruknął Alfray.

– W rzece jest łasica – wyznał tajemniczo Darig.

– Dostał trochę kryształu dla zabicia bólu – wyjaśnił Stryk.

Jup podniósł brew.

– Trochę? Jak mówi stare krasnoludzkie przysłowie, całkiem go wyrzuciło ze skorupy.

– Ale to nie będzie trwać wiecznie – przypomniał im Alfray z odrobiną rozdrażnienia. – Zaczynajmy, co?

– Rzeka, rzeka – zaśpiewał Darig z ogromnymi oczami.

– Jup, trzymaj go za kostki – poinstruował Alfray. – Stryk, oprzyj się całym ciężarem na jego ramionach. Nie chcę, żeby się ruszał, kiedy zacznę.

Zrobili, jak kazał. Alfray odrzucił koc, ukazując chorą nogę. Czerwona

rana ociekała ropą.

– O bogowie – mruknął Jup.

Alfray delikatnie dotknął jej szmatką.

– Niezbyt piękna, co?

Stryk zmarszczył nos.

– I nie pachnie fiołkami. Gdzie będziesz ciął?

– Tutaj, w udzie, wysoko nad kolanem. Cała sztuka w tym, żeby zrobić to szybko. – Skończył oczyszczać ranę i wyżał szmatkę do drewnianej miski. – Trzymajcie go, a ja znajdę, co się da.

Wyszedł z namiotu. W zagłębieniu w ziemi nieopodal płonęło małe ognisko.

– Hej! – rzucił do przechodzącego szeregowca. – Stój tutaj i podawaj to, o co cię poproszę.

Żołnierz skinął głową i podszedł.

Alfray przedał mokrą szmatę na pół i podał żołnierzowi jedną jej część. Drugą połową owinął rękę i chwycił rękojeść leżącego w ogniu noża o długim ostrzu. Lśniło jaskrawą czerwienią. Alfray zostawił w płomieniach topór. Nogą trącił trzonek łopaty obok niego.

Wrócił do namiotu, znowu ukląkł i wyciągnął z kieszeni kaftana grubą mocną linę, niemal tak długą jak jego ręka.

Darig uśmiechał się błogo.

– Świnia na koniu, świnia na mmm...

– Gryź! – rozkazał Alfray, wciskając linę w otwarte usta żołnierza.

– Teraz? – spytał Stryk.

– Teraz. Trzymajcie go mocno!

Przystąpił do dzieła. Darig wytrzeszczył oczy i zaczął się miotać. Jup i Stryk przytrzymywali jego wijące się kończyny.

Kilkoma gwałtownymi, wprawnymi pociągnięciami Alfray rozciął ranę. Rozchylił skórę i zaczął grzebać w ciele. Darig rzucił się gwałtownie i

wypluł linę. Jego udręczony wrzask zaniepokoił Mekluna, ale trwał niedługo. Alfray znowu wcisnął knebel w usta Dariga. Przytrzymał go jedną ręką, a drugą ciął. Wkrótce ukazała się kość.

Darig jęknął i zemdlał.

Alfray odrzucił nóż i ryknął:

– Topór!

Żołnierz przekazał go nad głową Stryka, z grubo owiniętym trzonkiem i ostrzem rozpalonym niemal do białości.

Alfray ujął go oburącz i uniósł wysoko. Wycelował, nabrał powietrza i z całej siły zadał cios. Ostrze wylądowało ze stłumionym łupnięciem dokładnie tam, gdzie powinno. Stryk i Jup poczuli szarpnięcie ciała szeregowca, ale noga była odrąbana tylko w połowie.

Darig odzyskał przytomność i zaczął się miotać z dzikim wyrazem twarzy. Wypluł knebel i wrzasnął. Nikt nie miał wolnej ręki, by go powstrzymać.

– Szybko! – rzucił Stryk.

– Trzymajcie go! – zażądał Alfray. Wyszarpnął topór z kości i zamierzył się do następnego ciosu.

Znowu uderzył celnie i jeszcze mocniej. Tym razem niemal dokończył dzieła – z wyjątkiem paru ostatnich pasem ścięgien i skóry. Przy trzecim potężnym ciosie topór rozplątał je, przeciął koc i wbił się w ziemię.

Wrzask trwał nadal. Stryk położył mu kres, zadając Darigowi szybki cios w skroń i pozbawiając go przytomności.

– Musimy zatamować krew – oznajmił Alfray, odrzucając amputowaną nogę. – Dawaj łopatę.

Szeregowiec ostrożnie podał rozżarzoną łopatę; Alfray dmuchnął na metal, który przez chwilę jarzył się żółtawą bielą.

– Powinno wystarczyć – uznał. – Trzymajcie go. To będzie kolejne przykre przebudzenie.

Przyłożył łopatę do kikuta. W powietrzu rozszedł się odór palonego ciała. Darig jeszcze raz oprzytomniał i krzykiem wyraził swój protest, ale utrata krwi i szok dały o sobie znać. Z jego gardła dochodziło tylko słabe echo niedawnych wrzasków.

Jup i Stryk nadal trzymali szeregowca, kiedy Alfray spryskiwał alkoholem ranę i opatrywał ją bandażami z leczniczym balsamem.

Darig zaczął coś mamrotać, a jego oddech nabrał regularności, choć był nieco płytki.

– Oddycha równo – oznajmił Alfray. – To już coś.

– Da radę? – spytał Jup.

– Daję mu pięćdziesiąt procent szans. – Alfray owinął odciętą nogę w płótno. – Teraz potrzebuje odpoczynku – dodał, unosząc pod pachę krwawy toból – i dobrego odżywiania, żeby mógł odzyskać siły.

– Duże wymagania – powiedział Stryk. – Mamy ze sobą tylko żelazne racje, a nie mogą nikogo wysłać na polowanie.

– Zostaw to mnie – odparł Alfray. – Moja w tym głowa. A teraz wyjdźcie stąd obaj. Przeszkadzacie moim pacjentom. – Wypchnął ich z namiotu.

Stryk i Jup znaleźli się na zewnątrz, wpatrzeni w opuszczoną klapę.

Nocny mrok miał wkrótce ustąpić miejsca świtowi.

Stryk zebrał dwudziestu żołnierzy, w tym także zwiadowców, którzy już zajęli miejsca na obrzeżach Czarnej Skały. W obozie z rannymi miało zostać tylko paru szeregowców. Stryk uznał, że musi o tym powiadomić Alfraya, więc ruszył do namiotu.

Meklun był nieprzytomny. Darig siedział; miał przekrwione oczy i bladą skórę, ale biorąc pod uwagę okoliczności, radził sobie nad podziw dobrze. Krystalin przestał już działać. Alfray nałożył żołnierzowi gulaszu z czarnego żelaznego kotła.

– Musisz się wzmocnić – rozkazał, podając mu parującą porcję.

Darig niepewnie podniósł łyżkę do ust. Po pierwszym kęsie jego wahanie ustąpiło miejsca zachwytowi.

– Hm. Mięsko. Smaczne. Co to?

– Tym się teraz nie przejmuj – odpowiedział Alfray. – Jedz, ile dusza zapragnie.

Stryk spojrzał mu w oczy.

– Co robić – wymówił Alfray bezgłośnie, po czym odwrócił wzrok z nietypowym u siebie zażenowaniem. Siedzieli w nieco niezręcznym milczeniu, a Darig zajadał.

Potem do namiotu zajrzał Haskeer i odwrócił ich uwagę.

– Coś tu ładnie pachnie – odezwał się, patrząc z nadzieją na kocioł.

– To dla Dariga – rzucił pospiesznie Alfray. – Coś... wyjątkowego.

Haskeer był rozczarowany.

– Szkoda.

– Czego chcesz? – spytał Stryk z naciskiem.

– Czekamy na rozkaz wymarszu, dowódcu.

– To jeszcze poczekacie. Zaraz przyjdę.

Sierzant wzruszył ramionami, rzucił ostatnie tęskne spojrzenie na kociołek i znikł.

– Jeśli ten gulasz jest tak wyjątkowy, jak podejrzewam – odezwał się Stryk – to powinienes go jednak poczęstować.

Alfray uśmiechnął się.

Darig spojrzał na nich pytająco.

– Teraz odpoczywaj – powiedział Alfray, zmuszając go do położenia się.

– Może powinienes zostać tu z nim i Meklunem? – podsunął Stryk.

– Tym mogą się zająć szeregowcy, Vobe albo Jad. Albo Hystykk. Poradzą sobie.

– Myślałem, że wolisz być przy nich.

– Wolę być w akcji. – Alfray podniósł uparcie brodę. – Chyba że według

ciebie jestem już na to za stary...

– Hej! Wiek nie ma z tym nic wspólnego. Daję ci tylko wybór i tyle. Jedź z nami. Cieszę się, że będziesz przy nas.

– Dobrze. Pojadę.

Stryk zanotował w pamięci, żeby nie poruszać tematu wieku w rozmowie z Alfrayem. Zaczął się robić bardzo drażliwy na tym punkcie.

– Tylko skończę tutaj i już się zbieram – dodał lekarz.

Ledwie Stryk wyszedł, Darig uniósł się na posłaniu.

– Przepraszam, czy zostało jeszcze trochę gulaszu?

Oddział czekał o pięćdziesiąt kroków od namiotu. Alfray dobiegł do nich niemal w tej samej chwili co Stryk.

– Coilla, raport – rzucił ostro kapitan.

– Zwiadowcy donoszą że koboldy, których szukamy, znajdują się na zachodnim krańcu Czarnej Skały. Krótko mówiąc, dokładnie na wprost nas.

– Skąd pewność, że to oni?

– Pewności nie ma, ale na to wygląda. Byłam tam i widziałam kilku koboldów, prowadzących do zagrody jaszczury bojowe. Wydaje mi się, że wracali z wyprawy.

Stryk zmarszczył brwi.

– To żaden dowód.

– Rzeczywiście – zgodziła się – ale dopóki nie wymyślisz innego sposobu, to wszystko, co mamy.

– A nawet jak to nie oni i tak możemy im skopać tyłki – dodał Haskeer.

Niektórzy żołnierze mruknęli z aprobatą.

– Jeśli to ci, których szukamy – odezwał się Jup – to mamy szczęście, że rozbili obóz dokładnie przed Czarną Skałą.

– Ale jeśli popełnimy choć jeden błąd, będziemy mieć na karku cały naród – ostrzegł Alfray. Odwrócił się do dowódcy. – To jak? Ruszamy?

– Ruszamy – postanowił Stryk.

ROZDZIAŁ 12



Zostawili konie i ruszyli pieszo do punktu obserwacyjnego. Ostrza mieczy poczernili mokrym węglem, by nie błyszczały w blasku księżyca. Skradali się czujnie, wyężdżając wszystkie zmysły.

Teren zaczął się zmieniać. Ziemia stała się grząska, gdyż równiny ustąpiły miejsca trzęsawiskom.

Przybyli na miejsce już o świcie; słońce dźwignęło się nad horyzont, czerwone i rozpalone, zwiastun kolejnego pochmurnego deszczowego dnia.

W milczeniu dołączyli do zwiadowców na szczycie niewielkiego wzgórza, zwieńczonego skromnym zagajnikiem, z którego mogli obserwować niezauważeni. Słońce wspinało się coraz wyżej, a oni patrzyli, jak Czarna Skała wyłania się z mgły.

Gęstwina parterowych budynków, prymitywnych drewnianych chat w różnych kształtach i rozmiarach, rozciągała się jak okiem sięgnąć, choć w zanieczyszczonym powietrzu niewiele można było dojrzeć. Zwiadowcy wskazali kilka chat niemal bezpośrednio pod ich punktem obserwacyjnym, nieco oddalonym od samej osady. Jedna była mała, druga znacznie większa i przypominająca rozmiarami, a może i zdobieniami, świetlicę orków. Pomiedzy nimi oraz na ich tyłach znajdowała się zagroda z kirgizilami, stojącymi zupełnie nieruchomo, jak to jest w zwyczaju jaszczurów. Wyglądały, jakby spały; bez wątpienia dokuczał im nieuchronny spadek

temperatury, który odczuwano we wszystkich stronach. Stryk zastanowił się, kiedy przestaną być przydatne dla koboldów.

Pochylił się ku zwiadowcy i szepnął:

– Co się działo, Orbon?

– Jakąś godzinę temu pojawiło się paru bandytów. Prawie wszyscy weszli do tej dużej chaty. Jeden poszedł do mniejszej. Od tego czasu nic.

Stryk przywołał gestem Coillę i Haskeera.

– Weźcie czterech szeregowców i zejdźcie tam. Orbon, idziesz z nimi. Chcę znać rzeźbę terenu i rozmieszczenie koboldów. Jeśli znajdziecie strażników, załatwcie ich.

– A jeśli nas zauważą? – spytała Coilla.

– Lepiej, żeby nie zauważyli! A jeśli, każdy dba o siebie.

Skinęła głową, wyciągając już dwa noże zza pasa.

– A ty zachowuj się – ostrzegł Stryk Haskeera.

Sierżant wyglądał jak urażona niewinność.

Coilla szybko wybrała pozostałych szeregowców i cała grupa zaczęła schodzić w dół zbocza.

Szli od drzewa do drzewa. Kiedy zabrakło drzew, kryli się za krzakami, ostatnim przystankiem przed pustym terenem. Przykucnęli i przyjrzeni się drodze przed sobą.

Z tego punktu obserwacyjnego widzieli czterech strażników, osłoniętych futrami przed nocnym chłodem. Dwóch przed dużą chatą i dwóch przed małą. Żaden się nie poruszał.

Coilla szybko obrała strategię i gestami przekazała ją innym. Skierowała się z dwoma szeregowcami na prawo, ku małej chacie, a Haskeer i jego podwładni – do dużej chaty po lewej. objaśnianie zakończyło przesunięcie palcem po gardle.

W napięciu czekali na odpowiednią chwilę. Na otwartym terenie musieli się poruszać bardzo szybko. Mijały minuty. A potem obie pary strażników

dały im szansę ataku. Dwaj zaczęli rozmawiać, nieco odwrócenie od wzgórza. Ich kamraci przy dużej chacie ruszyli na patrol, odwrócenie plecami do orków.

Haskeer i Coilla porzucili kryjówkę i ruszyli pędem. Szeregowcy poszli w ich ślady.

Coilla – z nożem w zębach i drugim w dłoni – biegła najciszej i najszybciej jak mogła. Była już w połowie drogi, kiedy strażnicy przestali rozmawiać i rozdzielili się.

Zamarła, dając znak innym, by zrobili to samo.

Jeden strażnik, nie patrząc na nich, poszedł za róg chaty. Drugi nadal stał tyłem, ale z wolna zaczął odwracać głowę.

Zerknęła na większą chatę. Strażnicy nie wiedzieli, co się dzieje. Grupa Haskeera musiała pozostać z tyłu; Coilla nie widziała ich.

Minęła chwila. Od strażnika dzieliło ją jakieś trzydzieści kroków. Nie było czasu do stracenia. Zrobiła zamach i z całej siły rzuciła nożem. Impet ruchu zgiał ją wpół i wypchnął wstrzymywane powietrze z płuc.

Trafiła strażnika dokładnie między łopatki. Nóż wbił się ze stłumionym odgłosem. Kobold padł na ziemię bez jęku.

Coilla rzuciła się naprzód z szeregowcami u boku. Dobiegli dokładnie w chwili, gdy drugi strażnik wyłonił się zza rogu. Orkowie nie dali mu czasu na dobyte broni. Zabili go cicho i brutalnie.

Ciała odwleczono na bok. Coilla z innymi ukryła się najlepiej jak mogła i spojrzała na dużą chatę. Grupa Haskeera zbliżała się do swoich ofiar.

Teren wokół dużego budynku był zdeptany przez kirgizile i bardziej błotnisty. Haskeer, nigdy niewyróżniający się zbyt złą zręcznością za to zawsze zbyt pewny siebie, ugrzązł jedną nogą w brei. Wyciągnął but z głośnym młaśnięciem, stracił równowagę i runął na twarz. Miecz wypadł mu z rąk.

Kobold, do którego się skradał, odwrócił się. Otworzył usta. Haskeer

zaczął gmerać w błocie, szukając miecza. Leżał poza jego zasięgiem, więc chwycił kamień i cisnął go. Pocisk uderzył kobolda w usta, z których sypnęły się połamane kły i trysnęła krew. Szeregowcy dokończyli dzieła sztyletami.

Haskeer chwycił miecz i rzucił się naprzód. Biegł ku drugiemu strażnikowi, ślizgając się i potykając. Kobold wyciągnął już broń i odparł pierwszy cios. Haskeer wytrącił mu bułat z ręki i zatopił ostrze w piersi strażnika.

I znowu odciągnięto i ukryto ciała.

Zdyszany Haskeer spojrzał na Coillę i zrobił tryumfujący gest. Na migi ustalili, że teraz sprawdzą chaty.

Ta, którą zajęła się grupa Haskeera, nie miała okien. Drzwi także nie były drzwiami, lecz raczej otworem zasłoniętym materiałem. Haskeer podszedł do niego; szeregowcy ustawili się wokół, gotowi na wszystko. Bardzo ostrożnie odsunął zasłonę, czujnie nasłuchując najdrobniejszych dźwięków. Błady blask świtu umożliwiał obserwację.

W środku były koboldy. Uśpione, zalegały na podłodze, a na wszystkich pryzkach pod ścianami leżały ich dziesiątki. Wszędzie spoczywała broń.

Haskeer wstrzymał oddech; nie chciał obudzić tak licznego wroga. Powoli zaczął się wycofywać. Kobold leżący koło drzwi poruszył się we śnie. Haskeer znieruchomiał i stał tak długo, aż zyskał absolutną pewność, że może się poruszyć. Delikatnie opuścił materiał i bezgłośnie wypuścił wstrzymywany oddech.

Zrobił trzy kroki. Zasłona poruszyła się. Haskeer i szeregowcy przyłgnęli do ścian po obu stronach drzwi.

Na zewnątrz wyłonił się rozczochrany kobold, zbyt zaspany, żeby zwracać uwagę na cokolwiek. Zrobił parę kroków, manipulując przy spodniach. Z błogim wyrazem twarzy, lekko się chwiejąc, uwolnił syczący strumień. Haskeer skoczył na niego, zacisnął ramię na jego gardle.

Wywiązała się krótka szamotanina. Potem jedno szarpnięcie muskularnego ramienia Haskeera złamało bandycie kark.

Sierżant znieruchomiał z bezwładnym ciałem w objęciach, nasłuchując odgłosów ruchu. Zadowolony, zaciągnął martwego kobolda w miejsce, gdzie ukryli pozostałe ofiary, klnąc, że przemoczył sobie buty. Rzucił trupa na ziemię i wytarł buty o jego spodnie.

Chata, którą sprawdziła grupa Coilli, różniła się od większego budynku nie tylko pod względem rozmiarów. Miała drzwi i okno w bocznej ścianie. Coilla rozkazała szeregowcom trzymać straż, a sama podkraǳła się do niego. Przykucnęła za niezastłoniętym oknem i usiłowała rozpoznać dobiegające przez nie odgłosy. W końcu usłyszała rytmiczny, świszczący dźwięk, w którym dopiero po chwili rozpoznała chrapanie.

Powoli podniosła się i zajrzała do środka.

W pomieszczeniu znajdowały się trzy osoby. Dwaj strażnicy siedzieli na podłodze, plecami do ściany, z rozprostowanymi nogami. Wyglądało na to, że obaj śpią jeden z nich właśnie chrapał.

Ale to trzecia postać przyciągnęła jej uwagę.

Przywiązane do jedyne go w pokoju krzesła siedziało stworzenie równie małe jak koboldy, choć o wiele tęższe. Jego gruba skóra miała zielony odcień, a dyniowata głowa wydawała się zbyt duża w stosunku do reszty ciała. Uszy miało sterczące, a jego szyja kojarzyła się nieco z szyją sępa. Podłużne oczy miały nadmiernie grube powieki i czarne tęczówki w białkach przetykanych żółtymi żyłkami. Głowa i twarz były bezwłose, jeśli nie liczyć bokobrodów, rudawobrazowych, a gdzieś tam przechodzących w lniany blond.

Stworzenie było ubrane w prostą szarą szatę, najwyraźniej od dawna niepraną, także zamszowe buty do kolan ze srebrnymi sprzączkami, które też swoje najświetniejsze dni miały już za sobą. Skóra na twarzy i rękach, dość podobnych do ciała orków, przypominała pomarszczoną skórę węża.

Coilla uznała, że stworzenie jest bardzo stare.

W tej samej chwili gremlin podniósł głowę i spojrzał na nią.

Jego oczy rozszerzyły się, ale – wbrew jej obawom – z gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Przez parę sekund wpatrywali się w siebie, po czym Coilla zniknęła.

Gestami i szeptami przekazała wiadomości szeregowcom i rozkazała im pozostać na miejscu. Ukryli się, a ona skinęła na Haskeera. Zostawił swoich żołnierzy i razem wrócili do oddziału.

Powitał ich mocno zaniepokojony Stryk.

– Zajęliśmy się wszystkimi strażnikami – rzucił Haskeer. – W dużym budynku śpi mnóstwo tego draństwa. Sądząc z wyglądu, to oni nas napadli. Małe dranie.

– Widzieliście cylinder?

Haskeer pokręcił głową.

– Nie – powiedziała Coilla. – Ale to, co zobaczyłam w mniejszej chacie, też było interesujące. Oni tam mają więźnia. Gremlina. Bardzo starego.

– Gremlina? Co tu się, do diabła, wyprawia?

Coilla wzruszyła ramionami.

Haskeer zaczął się niecierpliwić.

– Na co czekamy? Dopadnijmy ich, dopóki śpią!

– Tak będzie – powiedział Stryk. – Ale zrobimy to jak należy. Jesteśmy tu, żeby odzyskać cylinder, pamiętaj. Tylko teraz mamy na to szansę. I nie chcę, żeby ten jeniec ucierpiał.

– Dlaczego?

– Bo wróg naszego wroga jest naszym przyjacielem.

Ta myśl nie przekonała Haskeera.

– My nie mamy przyjaciół.

– Więc sprzymierzeńcem. Chcę go dostać żywego, jeśli to możliwe. Jeśli cylindra tu nie ma, mógłby nam powiedzieć, gdzie go szukać. Chyba że

ktoś z was jednak potrafi zrozumieć bełkot koboldów.

– Powinniśmy ruszać – odezwał się Jup – zanim ktoś znajdzie trupy.

– Słusznie – zgodził się Stryk. – Oto, co zrobimy. Dwie grupy. Ja, Coilla i Alfray dołączymy do szeregowców przy małej chacie. Chcę dopilnować tego więźnia. Haskeer i Jup, weźmiecie resztę i otoczycie dużą chatę. Ale nie róbcie nic, dopóki do was nie przyjdę. Jasne?

Sierzanci skinęli głowami, ale unikali patrzenia na siebie.

– Dobrze. Idziemy.

Rosomaki podzieliły się zgodnie z rozkazem i zeszły ku osadzie. Nie napotkały oporu i nie zauważyły żadnego ruchu.

Grupa Stryka dołączyła do pozostawionych na straży szeregowców i stanęła wokół małej chaty. Grupa Jupa i Haskeera zrobiła to samo przy dużej.

– Czekać na moje rozkazy – poinstruował Stryk ściszym głosem. – Coilla, zaprowadź mnie do tego okna.

Kiedy znalazła się na miejscu, zerknęła do środka i skinęła na niego. Nic się nie zmieniło: dwóch śpiących strażników i ich więzień. Tym razem gremlin nie zauważył, że jest obserwowany. Coilla i Stryk wrócili do pozostałych.

– Pora rozpocząć grę – szepnął Stryk. – Zróbmy to szybko i cicho.

Zapukał do drzwi i stanął przy ścianie, poza zasięgiem wzroku.

Minęła długa chwila. Stryk zaczął się zastanawiać, czy podstęp się nie wydał. Nie byłby zaskoczony, gdyby cała osada nagle runęła im na karki. Rozejrzał się, ale nie dostrzegł niczego szczególnego, więc zapukał jeszcze raz, trochę głośniej. Znów chwila oczekiwania, po czym usłyszeli zgrzyt zasuw.

Drzwi uchyliły się i kobold wyjrzał na zewnątrz. Zrobił to na tyle bez troski, że było jasne, iż niczego nie podejrzewa. Stryk chwycił go za szyję i gwałtownie szarpnął. Do chaty wdarły się inne Rosomaki.

Stryk zabił wijącego się kobolda jednym ciosem sztyletu w pierś. Wszedł do chaty, ciągnąc trupa za sobą. Drugi strażnik już był martwy. Nie zdążył nawet wstać, a twarz miał wykrzywioną spazmem gwałtownej śmierci. Stryk rzucił obok niego zwłoki pierwszego strażnika.

Coilla zasłaniała ręką usta dygoczącego więźnia. Drugą trzymała nóż na jego szyi.

– Piśnij tylko, a podzielisz ich los – zapowiedziała. – Będziesz cicho, jeśli cofnę rękę?

Gremlin skinął głową z oczami rozszerzonymi strachem. Coilla cofnęła rękę, ale nie nóż, by gremlin nie zapomniał o pogróżce.

– Nie mamy czasu na uprzejmości – odezwał się Stryk. – Wiesz o przedmiocie?

Więzień wpatrywał się w nich zdezorientowany.

– O cylindrze?

Gremlin powiódł spojrzeniem od jednej ponurej twarzy do drugiej, spojrzał na zamordowane koboldy i znów na Stryka. Skinął głową.

– Gdzie jest?

Gremlin przełknął ślinę. Kiedy się odezwał, z jego gardła wydobył się skrzypiący bas. Jednak równoważyły go wysokie nuty starczych strun głosowych i przerażenia.

– W świetlicy z tymi, którzy śpią.

Coilla przeszła go ostrym spojrzeniem.

– Obyś nie kłamał, starcze.

Stryk skinął na szeregowca.

– Zostaniesz z nim. Reszta za mną.

Poprowadził ich ku świetlicy.

Oddział uzbroił się w broń stosowną do bezpośredniego starcia. Większość żołnierzy wybrała noże. Stryk wolał miecz i sztylet. Haskeer zdecydował się na topór.

Jak odkryli wcześniej, w chacie były tylko jedne drzwi. Zgromadzili się wokół nich, Stryk, Coilla, Haskeer, Jup i Alfray z przodu.

Choć znajdowali się na obrzeżach osady, w której mieszkały niezliczone ilości wrogów, a z pewnością setki, Stryk zdał sobie sprawę, że wokół panuje dziwna cisza, bliska błogiemu spokojowi. Przypisał ją temu przyływowi spokoju, którego często doznawał przed walką wyjątkowemu uczuciu koncentracji, harmonii, które bliskość śmierci tylko wzmacniała. Powietrze, choć zanieczyszczone, nigdy nie pachniało tak słodko.

– Zaczynać – warknął.

Haskeer zdał zasłonę.

Rosomaki wdarły się do chaty, atakując z niepohamowaną zaciekłością tnąc, rąbiąc, dźgając. Tratowały koboldy, kopały je, przeszywały mieczami, podrzynały gardła, siekały toporami. Ogłuszająca kakofonia wrzasków, pisków i przekleństw w obcym języku jeszcze spotęgowała chaos.

Wiele stworzeń zginęło, nie wstając z podłogi i łóżek. Inne zerwały się tylko po to, by napotkać śmierć. Ale niektóre, zwłaszcza te z głębi świetlicy, stanęły do zacieklej obrony.

Stryk uskoczył przed dziko tnącym bułatem i przebił mieczem jego właściciela z taką siłą, że czubek ostrza wbił się głęboko w ścianę za przeciwnikiem. Musiał zaprzeć się butem o pierś kobolda, by uwolnić broń. Bez chwili przerwy zaczął szukać świeżego mięsa.

Pomimo starszego wieku Alfray sprawnie powalił bandytę z prawej strony, odwrócił się i ściął innego z lewej.

Coilla umknęła przed ciosem włóczni, cięła napastnika przez palce i zatopiła w jego piersi oba sztylety.

Haskeer potężną pięścią roztrzaskał głowę kobolda. Odwrócił się i wbił topór w brzuch następnego wroga.

Jup, walcząc z syczącym koboldem z rapierem, odtrącił jego broń i wbił mu ostrze w oko, przeszywając mózg.

Szalona walka toczyła się jak burza. Rzeź skończyła się równie nagle, jak się zaczęła. Nie pozostał przy życiu ani jeden wróg.

Stryk przesunął dłonią po twarzy, ocierając pot i krew.

– Szybko – warknął. – Jeśli to nie zaalarmuje innych, to będzie cud. Znaleźć cylinder!

Rozpoczęły się gorączkowe poszukiwania. Żołnierze obmacywali ubrania zabitych, grzebali w słomie na podłodze, rozrzucali dobytek pokonanych.

Ręka Stryka dosięgła kobolda, który okazał się znacznie mniej martwy, niż można się było spodziewać, i zamierzył się na niego okrutnie ostrym toporem. Stryk wbił mu miecz w pierś i napał całym swoim ciężarem. Kobold zatrzęsł się, zabelkotał i oddał ducha. Stryk szukał dalej.

Zaczął już myśleć, że wszystko poszło na marne, kiedy rozległ się krzyk Alfraya.

Wszyscy znieruchomieli. Stryk podszedł bliżej. Alfray wskazywał na okaleczonego kobolda. Do jego pasa przytroczony był cylinder.

Stryk ukląkł i ostrożnie odwiązał przedmiot. Podniósł go do światła. Wyglądał na nietknięty. Nie otwarto go.

Haskeer uśmiechał się tryumfalnie.

– Nikt nie może okraść orków!

– Za mną! – syknął Stryk.

Wrócili do mniejszej chaty.

Gremlin był jeszcze bardziej przerażony, o ile to możliwe. Ale nie mógł oderwać oczu od cylindra.

– Musimy stąd uciekać! – napomniał ich Jup.

– Co z nim zrobimy? – spytał Haskeer, wskazując mieczem dygoczącego gremlina.

– No właśnie – odezwała się Coilla. – Co z nim?

Haskeer znalazł typowe dla siebie rozwiązanie.

– Zabijmy go i tyle.

Przerażony gremlin skulił się.

Stryk zastanawiał się przez chwilę.

– Ten cylinder ma wielkie znaczenie! – wykrzyknął nagle gremlin. – Dla orków! A ja mogę je wyjaśnić.

– Blefuje! – stwierdził Haskeer, podnosząc złowrogo miecz. – Skończmy z nim!

– Koboldy właśnie dlatego mnie porwały – dokończył żałośnie gremlin.

– Co? – spytał Stryk.

– Żebym im wytłumaczył. Właśnie dlatego mnie tu przyprowadziły.

Stryk spojrzał więźniowi w oczy, usiłując odgadnąć, czy mówi prawdę. I czy to im robi jakąś różnicę.

– Więc co robimy? – niecierpliwiła się Coilla.

Zdecydował się.

– Zabieramy go ze sobą. I wreszcie się wynośmy.

ROZDZIAŁ 13



Hosomaki bez zwłoki oddalały się od Czarnej Skały. Ciągnęły za sobą na linie nadal związanego gremlina. Kiedy szybki marsz się skończył, stare stworzenie ledwie dyszało.

Stryk kazał zwinąć obóz i przygotować się do natychmiastowego odwrotu.

Haskeer szalał z radości.

– Wreszcie wracamy! Mówię ci, Stryk, nie sądziłem, że nam się uda.

– Dziękuję za zaufanie – odparł chłodno dowódca.

Haskeer nie wyczuł szyderstwa.

– Kiedy z tym wrócimy, okrzykną nas bohaterami. – Ruchem głowy wskazał cylinder za pasem Stryka.

– To nie koniec – przypomniał mu Alfray. – Najpierw musimy tam dotrzeć, a to oznacza przejście przez kawał terytorium wroga.

– Poza tym nie wiemy, jak Jennesta zareaguje na tę zwłokę – dodał Jup.

– Cylinder i krystalin nie gwarantują, że wyjdziemy z tego z życiem.

– Handlarze czarnych myśli – zadrwił Haskeer.

Stryk uznał, że w jego ustach ten wyrzut brzmi wyjątkowo śmiesznie, ale postanowił tego nie podkreślać. W końcu było z czego się cieszyć. Zastanawiał się tylko, dlaczego nie miał na to ochoty.

– Może powinniśmy go wysłuchać? – spytała Coilla, wskazując

gremlina, który siedział na pniaku, zmęczony i przerażony.

– Tak – zgodził się Haskeer – Skończmy z tym, bo będziemy musieli wlec ze sobą kolejny balast.

– Tak myślisz o naszych rannych towarzyszach? – wybuchł Alfray.

Stryk uniósł rękę, by ich uciszyć.

– Wystarczy. Przestańcie mi tu jazgotać, kiedy lada chwila możemy się spodziewać setek żądnych zemsty koboldów. – Spojrzał na niespodziewanego gościa. – Jak masz na imię?

– Mmm... Mmoo... – Stary gremlin odchrząknął nerwowo i spróbował jeszcze raz: – M-M-M... Mobbs.

– Dobrze, Mobbs, dlaczego koboldy cię porwały? I co o nim wiesz? – Poklepał cylinder.

– Twoje życie wisi na włosku – ostrzegł Alfray. – Ostrożnie dobieraj słowa.

– Jestem tylko skromnym uczonym – powiedział Mobbs niemal błagalnie. – Żyłem sobie spokojnie na północ stąd, w Hecklowe, kiedy porwali mnie ci wstrętnei bandyci. – W jego głosie zabrzmiała nutka oburzenia.

– Dlaczego? – spytała Coilla. – Czego od ciebie chcieli?

– Całe życie poświęciłem językom, zwłaszcza martwym. Potrzebowali mojej wiedzy, by rozszyfrować to, co jest w tym cylindrze. Jak sądzę, służy do przenoszenia wiadomości i...

– Wiemy – przerwał mu Stryk.

– Więc nie chodzi o sam cylinder, lecz o wiadomość, którą zawiera.

– Koboldy są głupie – rzucił Alfray. – Na co im ta wiedza?

– Może działały z cudzego polecenia. Nie wiem tego.

Haskeer parsknął kpiąco.

Ale Stryk zaciekał się do tego stopnia, że chciał usłyszeć coś więcej.

– Mam wrażenie, że twojej historii należy wysłuchać spokojnie, bez

pośpiechu. Ukryjemy się w lesie i tam opowiesz resztę. I lepiej, żeby była ciekawa.

– Stryk, daj spokój! – zaprotestował Haskeer. – Po co marnować czas, kiedy możemy już jechać do domu?

– Ukrywanie się przed atakiem koboldów to nie marnowanie czasu. Róbcie, co mówię.

Haskeer oddalił się, nadąsany.

Obóz był już zwinięty, ranni gotowi do drogi, a Mobbsa posadzono na koniu ciągnącym nosze Mekluna. Rosomaki zatarły wszystkie oznaki swojej obecności i ruszyły pospiesznie poszukać kryjówki w Lesie Czarnej Skały.

Cel osiągnęły trzy godziny później.

Drzewa były tu w pełni dojrzałe. Wysoko w górze tworzyły liściaste sklepienie, przez które przebijało się już nieśmiało słońce. Blisko ziemi było ciemno i wilgotno. Rozbili tymczasowy obóz, depcząc z trzaskiem po suchych zbrązowiałych gałązkach. Szeregowcom polecono wypatrywać najmniejszych niepokojących sygnałów.

Ze względów bezpieczeństwa nie rozpalano ognisk. Dlatego pierwszy posiłek tego dnia był raczej skromny: trójkątne kawałki czarnego gliniastego chleba, solidne kawały suszonego mięsa i woda.

Stryk, Coilla, Jup i Haskeer usiedli z Mobbsem. Wszyscy pozostali przyglądali się im z daleka. Alfray sprawdził stan rannych i precyzyjnie przeszedł się pomiędzy odpoczywającymi żołnierzami.

– Z Darigiem nieźle – informował – ale Meklun ma coraz większą gorączkę.

– Zrób dla niego, ile możesz – powiedział Stryk, po czym zwrócił się w stronę Mobbsa.

Gremlin nie przyjął poczęstunku; zgodził się jedynie na odrobinę wody. Stryk uznał, że ze strachu stracił apetyt. Teraz widząc skupione na sobie

spojrzenia orków, denerwował się jeszcze bardziej.

– Z naszej strony nic ci nie grozi – zapewnił go Stryk – o ile mówisz prawdę. Więc koniec zagadek. – Podniósł cylinder. – Chcę usłyszeć, co dokładnie wiesz o tym przedmiocie i dlaczego był wart twojego życia.

– Może jest wart i waszego – odparł Mobbs.

Coilla zmarszczyła brwi.

– Jak to?

– To zależy od tego, na ile cenicie sobie swoją tradycję i los, którego wam odmówiono.

– To puste słowa, którymi chce się ratować przed śmiercią – zagrział Haskeer. – Zabić go, mówię.

– Dajcie mu wytłumaczyć – odezwał się Jup.

Haskeer spiorunował go spojrzeniem.

– Oczywiście, bierzesz jego stronę!

– To ja zdecyduję, czy jego słowa mają znaczenie – oznajmił Stryk. – Mów jaśniej, Mobbs.

– W takim razie musicie się dowiedzieć o pewnym zdarzeniu z historii waszych ziem, a tę historię boję się, że wszyscy tracimy.

– A tak, opowiadaj nam historyjki – mruknął jadowicie Haskeer.

– W końcu nam się nie spieszy.

– Cisza! – rzucił groźnie Stryk.

– Ja na przykład wiem co nieco o historii Maras-Dantii – wtrącił Alfray.
– O czym chcesz powiedzieć, gremlinie?

– Z całym szacunkiem, to, co wiecie, to co wielu uważa za prawdę, jest tylko mieszaniną legend i mitów. Poświęciłem życie, aby zrozumieć prawdziwą kolej rzeczy, które doprowadziły nas do tej żałosnej sytuacji.

– Do tej sytuacji doprowadzili nas ludzie – oznajmił Stryk.

– Tak. Ale z punktu widzenia historii to dość niedawne wydarzenie. Przedtem życie w Maras-Dantii toczyło się tym samym torem i było tak od

niepamiętnych czasów. Oczywiście rasy zawsze ze sobą walczyły, a często zmieniające się układy sił prowadziły do konfliktów, ale ziemi starczało dla wszystkich i żyliśmy mniej więcej w zgodzie.

– A potem pojawili się ludzie – wtrąciła Coilla.

– Tak było. Lecz ilu z was wie, że ta przeklęta rasa zawitała tu dwa razy? I że na początku stosunki między nimi i starszymi rasami nie były wrogie?

Jup spojrzął na niego sceptycznie.

– Żartujesz.

– To fakt. Pierwsi nieliczni wędrowcy, którzy przybyli przez pustynię Scilantium, byli pionierami szukającymi nowych ziem, uciekali przed prześladowaniami lub po prostu pragnęli zacząć od nowa.

– Uciekali przed prześladowaniami? – wykrzyknął Haskeer. – Twoja historia przeczy rozsądkowi, pomarszczony stworze.

– Mówię jedynie to, czego się dowiedziałem, choć to może niemiłe – powiedział gremlin tonem pełnym urażonej dumy.

– Mów dalej – ponaglił go Stryk.

– Choć ich obyczaje wydawały się tubylcom tajemnicze, co zresztą nie zmieniło się do dziś, tych pierwszych przybyszów pozostawiono w spokoju. Paru zyskało nawet pewien szacunek. Trudno w to[^] teraz uwierzyć, prawda?

– Święta prawda – zgodziła się Coilla.

– Nieliczni nawet weszli w związki ze starszymi rasami, co doprowadziło do narodzin hybryd. Ale już to wiecie, gdyż jesteście zwolennikami owocu takiego związku.

Coilla skinęła głową.

– Jennesty. Zwolennicy to może zbyt mocne słowo.

Stryk usłyszał gorycz w jej głosie.

– Jeszcze do tego wrócę – powiedział Mobbs. – Jeśli mi pozwolicie. – W jego oczach pojawiło się nieobecne spojrzenie. – Zaraz, co to ja...?

- Pierwsi przybysze – podsunął Alfray.
- A, tak. Jak powiedziałem, pierwsza fala przybyszów całkiem dobrze porozumiała się ze starszymi rasami. Budzili więcej zaciekawienia niż niepokoju. Druga fala była już inna. Raczej można by ją nazwać potopem. – Prychnął cichym śmiechem, zadowolony z własnego dowcipu. Orkowie pozostali niewzruszeni. – A... hm, no tak. Ten drugi i większy napływ ludzi różnił się od poprzedniego. Byli to łupieżcy i rabusie, dla których w najlepszym razie byliśmy zawadą. Wkrótce obdarzyli nas strachem i nienawiścią.
 - Okazywali nam pogardę – mruknęła Coilla.
 - Tak albo i gorzej, zmieniali nazwę naszego kraju.
 - Centrazja – rzucił Haskeer tak, jakby wymawiał przekleństwo.
 - Traktowali nas jak zwierzęta i zaczęli wykorzystywać bogactwa Maras-Dantii. Wiecie o tym, tak dzieje się i dziś i staje się coraz bardziej brutalne. Wybijanie żyjących na wolności zwierząt na mięso i skórę, niszczenie pastwisk...
 - Zanieczyszczanie rzek – dodała Coilla – wyrąb lasów...
 - Podpalanie wiosek – dodał Jup.
 - Rozprzestrzenianie tych ohydnych chorób – włączył się Alfray. To ostatnie szczególnie rozgoryczyło Haskeera.
 - A co gorsza – dodał Mobbs – oni przejadają magię. Wśród zgromadzonych rozległ się pomruk wyrażający ubolewanie.
 - Dla starszych ras zmniejszenie naszej mocy było największą i ostateczną obrazą. Zasiało ziarno wojen, które od tej pory musimy toczyć.
 - Zawsze dziwiło mnie, dlaczego ludzie nie wykorzystują magii, którą nam zabierają – zauważył Jup. – Czy są zbyt głupi?
 - Myślę, że mogą sobie nie zdawać z niczego sprawy. Może nie zabierają naszej magii dla siebie, lecz ją marnotrawią.
 - Też tak uważam.

– Wysysanie magii z naszej ziemi jest złe – powiedział Stryk – lecz jeszcze gorsze jest to, że zburzyli stary porządek.

– To prawda – zgodził się Mobbs. – Rozdzierając serce naszej ziemi, ludzie zakłócili przepływ energii, która podtrzymuje równowagę natury. Teraz nadejście lodowca z północy jest równie pewne jak przybycie ludzi z południa. A wszystko to wydarzyło się w czasach przed narodzinami ojca twego ojca, Stryku.

– Nie znałem mojego ojca.

– Wiem, że wy, orkowie, wychowujecie się zbiorowo. Nie w tym rzecz. Mówię, że wszystko to wydarzyło się całkiem niedawno. Na przykład lodowiec pojawił się za moich czasów, a wbrew temu, co sądzicie, aż tak stary to ja nie jestem.

Stryk nie mógł nie zauważyć przelotnego, współczującego spojrzenia Alfraya.

– Czystość tej ziemi była kalana na moich oczach – powiedział gremlin.
– Widziałem, jak Jedowie i Mnogowie niszczą stare przymierza i zastępują je nowymi.

– A tacy jak my muszą walczyć dla jednych lub drugich – dodała Coilla z wyraźną nienawiścią.

Mobbs westchnął smętnie.

– Tak, ludzie zepchnęli wiele szlachetnych ras, w tym i orków, do roli sług.

Oczy Coilli zapłonęły.

– I gnębili nas.

– Te dwie frakcje rzeczywiście nas gnębią lecz pewnie nie bardziej niż siebie nawzajem. Słyszałem, że najwięksi fanatycy, zwłaszcza Jedowie, regularnie palą własnych rodaków za coś, co nazywają herezją. – Spojrzał na ich zdziwione twarze. – Ma to coś wspólnego ze złamaniem zasad służenia ich bogu lub bogom – wyjaśnił. – Zresztą starsze rasy też tak

postępowały. Na przykład historia klanów chochlików nie obyła się bez prześladowań i rozlewu krwi.

– A oni to już sobie nie mogą pozwolić na utratę nikogo – wtrącił Haskeer – bo znani są ze słabości do tej samej płci.

– A dodając do tego jeszcze ich skłonność do zapraszania ognia – dodał Jup – zupełnie nie rozumiem, jak im się udało przetrwać tak długo. Takie gorące diabluki...

Wszyscy ryknęli rubasznym śmiechem, nawet Haskeer uśmiechnął się półgębkiem.

Zielona skóra Mobbsa zaróżowiła się z zażenowania. Odchrząknął delikatnie.

– No, tak.

Coilla była mniej rozbawiona niż reszta i niecierpliwiła się.

– Dobrze, lekcja historii skończona. Co z tym cylindrem?

– Tak, do rzeczy – dodał Stryk.

– Rzecz w tym, kapitanie, że według mnie ten przedmiot powstał na długo przed wydarzeniami, o których rozmawiamy. W najwcześniejszych dniach Maras-Dantii.

– Wytłumacz to.

– Mówiliśmy o symbiontach, tych rzadkich hybrydach, które rodzą się ze związków starszych ras z ludźmi.

– Jak Jennesta.

– Zgadza się. Oraz jej siostry, Adpar i Sanara.

– To mityczne istoty, prawda? – odezwał się Jup.

– Uważa się, że istnieją naprawdę. Choć nie mam pojęcia, gdzie mogą przebywać. Podobno Jennesta harmonijnie łączy w sobie cechy obu ras, natomiast Adpar ma w sobie więcej właściwości hajady. O Sanarze nikt nie wie zbyt dużo.

– Istnieją czy nie, co mają wspólnego z cylindrem oprócz tego, że

Jennesta pragnie go dostać w swoje ręce? – zapytał Stryk.

– Bezpośrednio? Nic, o ile wiem. Myślę o ich matce, Vermegram. Oczywiście znacie opowieści o tej potężnej czarownicy.

– Choć nie tak potężnej jak ten, który ją zabił – dodał Stryk.

– Tak, legendarny Tentarr Arngrim. Choć o nim także niewiele wiadomo. Nawet powątpiewa się w istnienie jego rasy.

Haskeer westchnął teatralnie.

– Opowiadasz bajki, którymi straszy się pisklęta, gremlinie.

– Może tak, może nie. Mówię jedynie, że wierzę, iż ten przedmiot pochodzi z czasów starożytnych, ze złotego wieku, kiedy Vermegram i Tentarr Arngrim byli u szczytu mocy.

Jup słuchał w zamyśleniu.

– Nigdy nie zrozumiałem, jak to możliwe, że Vermegram, jeśli naprawdę istniała, mogła być matką Jennesty i jej sióstr. Przecież żyła tak dawno...

– Mówi się, że Vermegram była niewiarygodnie długowieczna.

– Co? – nie zrozumiał Haskeer.

– Że długo żyła, tępaku – wytłumaczyła Coilla. – Więc Jennesta i jej siostry także są niewiarygodnie stare. Prawda, Mobbs?

– Niekoniecznie. Prawdę mówiąc, sądzę, że Jennesta ma dokładnie tyle lat, na ile wygląda. Pamiętaj, śmierć Vermegram i los, który spotkał Arngrima, miały miejsce nie tak dawno temu.

– To musi znaczyć, że Vermegram była już starą wiedźmą kiedy urodziła swoje młode. Twierdzisz, że tak długo pozostała płodna? To szaleństwo.

– Nie wiem. Powiem tylko, że uczeni są zgodni, iż miała wyjątkową moc. A więc wszystko jest możliwe.

Stryk wyjął cylinder z pasa i położył u swoich stóp.

– Co ona ma z tym wspólnego?

– Najwcześniejsze annały, które wspominają o Tentarze Arngrimie i Vermegram zawierają także wzmianki o czymś, co mogło być tym

cylindrem. A raczej o tym, co zawierał: o wiedzy. A wiedza znaczy władza. Władza, za którą wielu oddałoby życie.

– Jaka władza?

– Tu księgi zachowują ostrożność. O ile zdołałem zrozumieć, to rodzaj... klucza, tak to nazwijmy. Klucza do zrozumienia. Jeśli mam rację, rzuci on światło na wiele spraw, między innymi na pochodzenie starszych ras, w tym orków. Nas wszystkich.

Jup spojrział na cylinder.

– Cokolwiek jest w tym małym przedmiocie, powie nam to wszystko?

– Nie, to będzie dopiero początek opowieści. Jeśli dobrze rozumię, to skieruje was na dobrą ścieżkę. Taka wiedza nie przychodzi łatwo.

– To wszystko bredzenie – warknął Haskeer. – Dlaczego on nie potrafi mówić prościej?

– Dobrze – przerwał Stryk. – Mówisz, Mobbs, że w tym cylindrze jest coś ważnego. To żadna niespodzianka, biorąc pod uwagę, jak bardzo Jennesta tego pożąda. Do czego zmierzasz?

– Wiedza nie jest ani dobra, ani zła. W zależności jednak od tego, w czyje ręce trafi, stanie się narzędziem albo oświecenia, albo zła.

– I co z tego?

– Jeśli Jennesta zdobędzie władzę nad tą wiedzą, nie wyjdzie z tego nic dobrego, musicie to wiedzieć. Można jej użyć lepiej.

– Twierdzisz, że nie powinniśmy oddawać jej cylindra? – spytała Coilla.
, ,

Mobbs nie odpowiedział.

– Tak twierdzisz? – naciskała.

– Żyję od dawna, widziałem wiele rzeczy. Umarłbym szczęśliwy, gdyby spełniło się moje jedyne ukochane pragnienie.

– Jakie?

– Nie wiecie? Nawet w głębi serca? Moim najgorętszym pragnieniem

jest, by oddano nam naszą ziemię. Byśmy mogli żyć tak, jak żyliśmy. Moc tego przedmiotu daje nam szansę na to i lepszej nigdy nie będziemy mieć. Ale to tylko szansa. Pierwszy krok w długiej wędrówce.

Moc jego słów na chwilę odebrała im mowę.

– Otwórzmy go – powiedziała Coilla.

– Co? – wrzasnął Haskeer, zrywając się na równe nogi.

– Nie ciekawi cię, co możemy znaleźć w środku? Nie pragniesz mocy, która mogłaby oswobodzić nasze ziemie?

– Prędeż zdechniesz, szalona suko. Chcesz, żebyśmy wszyscy zginęli?

– Haskeer, spójrz prawdzie w oczy: my już i tak jesteśmy martwi. Jeśli wrócimy do Cairnbarrow, ten cylinder i krystalin nie wyjedną nam łaski Jennesty. Jesteście głupi, jeśli łudzicie się, że będzie inaczej.

Haskeer odwrócił się do pozostałych.

– Chyba macie więcej rozumu od tej suki. Powiedzcie jej, że się myli.

– Nie jestem tego taki pewien – odparł Alfray. – Myślę, że w chwili, gdy zawiedliśmy Jennestę, podpisaliśmy na siebie wyrok śmierci.

– Co mamy do stracenia? – dodał Jup. – I tak nie mamy już domu.

– Po tobie to się tego spodziewałem – zaszydził Haskeer. – Ty i tak nie należysz do orków. Co cię obchodzi, czy będziemy żyć, czy umrzemy? – Spojrzał na Stryka. – Prawda kapitanie? Mamy więcej rozumu niż jedna suka, starzec i krasnolud, nie? Powiedz im.

Wszyscy spojrzeli na Stryka.

Milczał.

– Powiedz! – powtórzył Haskeer.

– Zgadza się z Coillą – oznajmił Stryk.

– Chyba... chyba kpisz!

Stryk nie odpowiedział. Widział uśmiechającą się Coillę i tylko kilku żołnierzy patrzących na niego z dezaprobatą.

– Czyście wszyscy poszaleli? – ryknął Haskeer. – Ty, Stryk? Akurat ty?

Tego się po tobie nie spodziewałem. Chcesz, żebyśmy wyrzekli się wszystkiego!

– Chcę, żebyśmy otworzyli ten cylinder. Już i tak wszystko straciliśmy.

– Stryk powiedział tylko, że powinniśmy zajrzeć do cylindra – odezwał się Jup. – Przecież możemy go znowu zapieczętować.

– A jak królowa odkryje, że przy nim majstrowaliśmy? Wyobrażacie sobie jej gniew?

– Nie muszę go sobie wyobrażać – powiedział Stryk. – To właśnie jedna z przyczyn, dla których powinniśmy zmienić nasze życie. A może ono ci się podoba?

– Pogodziłem się z takim życiem, bo wiem, że nie możemy nic zrobić. Przynajmniej jeszcze żyjemy, a ty chcesz nas zabić!

– Chcemy żyć naprawdę – powiedziała Coilla.

Stryk zwrócił się do wszystkich żołnierzy:

– W tak ważnej sprawie, która dotyczy nas wszystkich, postąpimy tak jak jeszcze nigdy wcześniej. Będziemy głosować. Dobrze?

Nikt się nie sprzeciwił.

Stryk podniósł cylinder.

– Kto uważa, że powinniśmy tego nie ruszać i wrócić do Cairnbarrow, niech podniesie rękę.

Haskeer i trzech szeregowców.

– Kto uważa, że powinniśmy otworzyć cylinder?

Wszyscy pozostali.

– Zostaliście przegłosowani – oznajmił Stryk.

– Popęlniasz wielki błąd – mruknął ponuro Haskeer.

– Dobrze robisz, Stryk – zapewniła Coilla.

Dobrze czy nie, ulga, którą poczuł, wydawała się niemal namacalna. Tak, jakby po raz pierwszy, odkąd pamiętał, postąpił słusznie.

Ale ulga nie stłumiła lodowatego dreszczu strachu, który czuł na plecach

za każdym razem, kiedy patrzył na cylinder.

ROZDZIAŁ 14



Zołnierze przyglądali się w milczeniu, jak Stryk zeskrobuje nożem pieczęć. Podważył wieczko cylindra. Poczul słaby podmuch spleśniałego powietrza.

Włożył do środka palce. Przez chwilę gmerał nimi niezdarnie, zanim wyciągnął zwój pergaminu, kruchego i pożółkłego ze starości. Podał go Mobbsowi. Gremlin przyjął go łapczywie, ale z szacunkiem.

Stryk potrząsnął cylindrem. W środku coś zagrzechotało. Podniósł go i zajrzał do środka.

– Tam jest coś jeszcze – powiedział.

Stuknął cylindrem o dłoń.

Wypadła z niego mała kulka o siedmiu promieniach różnej długości. Miała płowy kolor, jakby była zrobiona z lekkiego, wypolerowanego drewna, ale była od niego cięższa.

Mobbs trzymał pergamin na kolanach, ale jakby o nim zapomniał. W oszołomieniu wpatrywał się w kulkę.

– Z czego jest zrobiona? – zdziwił się Alfray.

Stryk podał mu ją.

– Nie znam takiego materiału – oznajmił kapral. – To nie drewno i nie kość.

Teraz wziął ją Jup.

- Czy to może być jakiś kamień?
- Klejnot? – zainteresował się Haskeer, porzucając urazę.
Stryk wyciągnął po nią rękę.
- Nie sądzę. – Zacisnął na niej palce, najpierw ostrożnie, potem z całej siły. – Cokolwiek to jest, jest twarde.
- Ale jak bardzo? – nie dawał za wygraną Haskeer. – Daj no to. Włożył przedmiot do ust i ugryzł. Rozległ się trzask. Haskeer skrzywił się boleśnie i wypluł zakrwawiony ząb.
- Cholera! – wybełkotał.
- Stryk odebrał mu gwiazdę i wytarł o spodnie. Przyjrzał się jej. Nie była nawet zarysowana.
- Więc jest bardzo twarda, skoro twoje kły nie zrobiły na niej wrażenia. Paru żołnierzy zachichotało. Haskeer łypnął na nich.
- Mobbs spoglądał to na gwiazdę, to na pergamin. Miał dziwną minę.
- Co sądzisz, uczony gremlinie? – spytał Stryk.
- Sądzę... sądzę, że to... to. – Ręce mu się zatrzęsły. – Coś, na co liczyłem...
- Nie trzymaj nas w niepewności – rzuciła niecierpliwie Coilla. – Mów! Mobbs wskazał pergamin.
- Tu jest tekst w języku tak starym, tak... zapomnianym, że nawet ja miałem kłopoty z odczytaniem go.
- Ale co zrozumiałeś?
- Jak na razie tylko parę fragmentów. Ale potwierdzają moje podejrzenia. – Był rozradowany na swój sposób. – Ten przedmiot...
- wskazał gwiazdę – jest pośrednikiem.
- Czym? – burknął Haskeer, ocierając usta brudnym rękawem.
- Stryk podał przedmiot Mobbsowi, który wziął go ostrożnie.
- Pośrednikiem, mówiąc w starym języku. Dowodem na to, że stare opowieści nie są mitami. A jeśli legendy są prawdą, to mógł należeć do

samej Vermegram. A nawet to ona mogła go stworzyć.

– Ale po co? – zapytał Jup.

– Żeby służył wielkiej magicznej mocy i potężnej prawdzie, w której tkwi tajemnica dotycząca starszych ras.

– Jak to? – spytał Stryk.

– Wiem, że każdy pośrednik stanowi część większej całości. A dokładnie jedną piątą. Kiedy spotka się z czterema pozostałymi, prawda zostanie ujawniona. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co to może znaczyć, ale zakładam się o własne życie, że to najważniejszy przedmiot, z jakim ktokolwiek z nas miał do czynienia.

Mówił z takim przekonaniem, że nikt nie wątpił w jego słowa.

Jup dotknął promieni gwiazdy.

– Jak to coś może się zjednoczyć z pozostałymi? Co się wtedy stanie? I gdzie one są?

– Tajemnice za tajemnicami i pytania bez odpowiedzi. Tak zawsze było – stwierdził rzeczowo Mobbs. – Nie znam odpowiedzi na dwa pierwsze pytania, ale podsłuchałem coś z rozmowy moich porywaczy, co może wskazywać na miejsce pobytu innego pośrednika. Może, ale nie musi.

– A więc? – spytał Stryk.

Koboldy nie wiedziały, że opanowałem podstawy ich języka. Uznałem, że nie warto dzielić się z nimi tą wiadomością. Dlatego swobodnie rozmawiały w mojej obecności i parę razy wspomniały o twierdzy Jedów, nazywanej Trójcą. Były przekonane, że sekta, która tam mieszka, wyznaje religię opartą na legendzie o pośrednikach.

– Trójca? To pewnie reducta Kimballa Hobrowa? – spytała Coilla.

– Tak – odezwał się Alfray – a to znany fanatyk. Trzyma swoich wyznawców żelazną ręką. Nienawidzi starszych ras.

– Myślisz, że w Trójcy znajduje się jedna z tych... gwiazd? – spytał Stryk.

– Nie wiern^A Ale to możliwe. Dlaczego koboldy tak by się interesowały twierdzą? Jeśli zbierały pośredniki – dla siebie lub kogoś innego – to by się zgadzało.

– Chwileczkę – przerwał Jup – jeśli te pośredniki mają taką moc...

– Potencjalną moc – poprawił go Mobbs.

– Dobrze, obietnicę mocy, to dlaczego Hobrow ich nie szuka? Albo inni?

– Pewnie nie znają legend o ich mocy. Albo wiedzą tylko tyle, że gwiazdy są obiektem czci, lecz nie mają pojęcia, że trzeba je połączyć. Poza tym, kto powiedział, że Hobrow czy ktokolwiek inny ich nie szuka? Takie misje najlepiej trzymać w tajemnicy.

– A Jennesta? – spytała Coilla – Czy zna legendę o pięciu gwiazdach?

– Tego nie wiem. Ale skoro tak pragnie zdobyć jedną z nich, to całkiem możliwe – Więc ona także prowadzi poszukiwania?

– Tak zrobiłbym na jej miejscu. Lecz pamiętajcie, orkowie, że mocy pośredników nie można zdobyć bez trudu. Co nie znaczy, że powinniście zrezygnować.

– Zrezygnować? – wybuchł Haskeer. – Z czego? Chyba nie zamierzasz ruszyć na tę szaloną wyprawę, co, Stryk?

– Zastanawiam się nad paroma możliwościami.

– Wiesz, co znaczy wyprawa po te gwiazdy? Dezercję!

– Już nas uznano za dezertersów. Do Cairnbarrow powinniśmy byli wrócić tydzień temu.

– A czyja to wina?

Minęła chwila oczekiwania, jak Stryk zareaguje. Zaskoczył ich.

– Dobrze, moja. Nie twierdzą, że jest inaczej.

Haskeer pozwolił sobie na więcej.

– Ciekawe, czy chciałeś, żebyśmy się znaleźli w takim położeniu. Zwłaszcza że teraz popychasz nas ku zgubie.

– Nie chciałem wam utrudnić życia. Ale stało się. Teraz musimy zrobić

to, co dla nas najlepsze.

– Kupując te bajeczki o mitach i legendach? To bajeczki dla grzecznych piskląt. Chyba w nie nie wierzysz.

– Nie chodzi o to, w co wierzę. Liczy się tylko, w co wierzy Jennesta. Dzięki temu zyskamy mocny argument przetargowy. Ta gwiazda może być ceną naszego życia. Nie wiem, czy to wystarczy, znając Jennestę, ale gdybyśmy mieli więcej niż jedną a nawet wszystkie...

– Myślisz, że lepiej wyruszyć na tę bezmyślną wyprawę, niż wrócić i zdać się na jej litość?

– Ona nie zna litości. Nie dociera to do ciebie? Czy może mam ci to wbić do głowy pięścią?

– Chcesz, żebym uwierzył temu staremu gremlinowi! – Wycelował palec w stronę Mobbsa, który się wzdrygnął. – Skąd wiesz, że mówi prawdę? Albo że po prostu nie oszalał?

– Wierzę mu. A nawet gdybym nie wierzył, nie mamy wyjścia. Słuchaj, jeśli ty i ci, którzy opowiedzieli się po twojej stronie – Jad, Finje, Breggin – chcecie wrócić, to wracajcie. Ale w grupie jest bezpieczniej.

– Chcesz rozłamu?

– Nie.

– Głosowaliśmy tylko w sprawie cylindra, nie dezercji.

– Słusznie. Choć uważam, że już staliśmy się dezserterami. Po prostu nie zdawaliście sobie z tego sprawy. – Spojrzał na zgromadzonych Rosomaków. – Słyszeliście, o czym była mowa. Chcę wyruszyć na poszukiwanie następnej gwiazdy, a Trójca wydaje się najlepszym miejscem do rozpoczęcia poszukiwań. Nie będę was oszukiwał, że pójdzie nam łatwo. Ale przecież jesteśmy orkami i damy z siebie wszystko. Jeśli ktoś z was nie chce wyruszyć ze mną i woli wracać do Cairnbarrow lub dokądkolwiek, dostanie racje żywności i konie. Zdecydujcie się już teraz.

Nikt, nawet żaden ze sprzymierzeńców Haskeera, nie odezwał się.

– Więc idziesz z nami? – spytał go Stryk.

Po chwili sierżant odpowiedział chmurnie:

– Nie mam wielkiego wyboru, prawda?

– Masz.

– Idę. Ale jeśli wydarzy się coś, co mi się nie spodoba, odejdę.

– Dobrze. Pamiętaj jednak: może nie należymy już do hordy Jennesty, lecz to nie oznacza, że dyscyplina przestaje obowiązywać.

To dzięki niej możemy działać. Jeśli ci się to nie podoba, wybierzemy dowódcę.

– Możesz sobie być dowódcą. Ja chcę tylko wyjść z tego wszystkiego z życiem.

– Zrobiliście pierwszy krok na długiej i niebezpiecznej drodze – Mobbs zwrócił się do wszystkich. – Teraz nie ma odwrotu. Jesteście renegatami.

Jego słowa otrzeźwiły wszystkich. Stryk przerwał milczenie.

– Zbierajmy się do drogi.

– Do Trójcy? – spytała Coilla.

– Do Trójcy.

Uśmiechnęła się i odeszła.

Alfray udał się do pacjentów. Reszta oddziału rozproszyła się.

Mobbs spojrzał na Stryka.

– A... co ze mną? – spytał niepewnie.

Stryk patrzył na niego przez chwilę z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Nie wiem, czy powinienem ci dziękować za to, że pomogłeś nam się uwolnić, czy zabić za to, że wywróciłeś moje życie do góry nogami.

– Zacząłeś się uwalniać, zanim mnie spotkałeś.

– Chyba tak.

– Więc co będzie ze mną?

– Wypuścimy cię.

Gremlin skłonił się lekko, z wdzięcznością.

– Dokąd pójdziesz?

– Do Hecklowe. Mam tam sprawy do załatwienia. – Jego oczy zaślniły. – W tamtejszej piwnicy znaleziono skrzynię pełną zapisanych tabliczek. Najwyraźniej są to księgi podatkowe z... Ale chyba ciebie to mało interesuje, prawda?

– Każdy ma swoje życie. Możemy cię kawałek odprowadzić?

– Zmierzam do Hecklowe, a wy do Trójcy. To przeciwne kierunki.

– Więc damy ci konia i trochę zapasów.

– Jesteś bardzo hojny.

– Zwróciłeś nam wolność, to niewielkie podziękowanie. Poza tym mamy wolne konie. Jeden z żołnierzy przez jakiś czas nie będzie potrzebował swojego. A, i możesz wziąć to. – Wskazał na pergamin w dłoni Mobbsa.

– Naprawdę?

– Dlaczego nie? My go nie potrzebujemy. Prawda?

– E... nie, w rzeczy samej. Nie ma on znaczenia dla funkcjonowania pośrednika. Dziękuję, Stryku. I za uwolnienie mnie z łap koboldów. – Westchnął. – Bardzo chciałbym wam towarzyszyć, ale w moim wieku...

– Oczywiście.

– Jednak życzę tobie i twoim Rosomakom szczęścia. I przyjmij radę starego gremlina... strzeż się. Nie tylko dlatego, że narobiłeś sobie wrogów swoimi ostatnimi posunięciami, ale i dlatego, że twoja misja może doprowadzić do konfliktu z innymi poszukiwaczami pośredników. Przy tak wielkiej stawce twoi rywale nie cofną się przed niczym, by zyskać ten łup.

– Potrafimy o siebie zadbać.

Mobbs spojrział na masywną pierś orka, jego imponujące bary, muskularne ramiona i dumnie wysuniętą szczękę. W surowej twarzy i twardym spojrzeniu zobaczył determinację.

– Nie wątpię w to.

Podszedł Haskeer z siodłem w ręce. Rzucił je na ziemię i zaczął pakować juki.

– Którędy wyruszysz do Hecklowe? – spytał Stryk.

Mobbs uśmiechnął się blado.

– Na pewno nie przez ten las. Skieruję się na zachód, by jak najszybciej go okrążyć, a potem na północ. To dłuższa droga...

– Ale bezpieczniejsza. Rozumiem. Odprowadzimy cię na skraj lasu.

– Dziękuję. Zaczę się przygotowywać.

Odszedł, ściskając pergamin.

– To też może być błąd – zauważył Haskeer. – On wie za dużo. A jeśli zacznie gadać?

– Nie zacznie.

Zanim Haskeer wygłosił kolejne niechciane rady, zjawił się zatroskany Alfray.

– Meklun nie żyje – oznajmił bez wstępów. – Gorączka go zabiła.

– Do diabła – mruknął Stryk. – Ale byliśmy na to przygotowani.

– Tak. Przynajmniej już nie cierpi. Nienawidzę ich tracić, ale zrobiłem, co mogłem.

– Wiem.

– Pytanie, co mamy z nim zrobić? W tej sytuacji?

– Stos pogrzebowy byłby jak zaproszenie dla koboldów i innych bandytów. Tym razem musimy zapomnieć o tradycji. Zakopcie go.

– Zajmę się tym.

Alfray zerknął na Haskeera i zatrzymał się.

– Wszystko w porządku? – spytał. – Trochę przybladłeś.

– Nic mi nie jest – warknął Haskeer. – Mam tylko dość tego, co się dzieje z tym oddziałem! Daj mi spokój!

Odwrócił się i odszedł wielkimi krokami.

Jennesta patrzyła na naszyjnik z kłów śnieżnej pantery.

Otrzymała go wraz z beczelną wiadomością od kapitana, którego Kysthan wysłał za Rosomakami. Wbrew rozkazom Delorran samowolnie zdecydował się przesunąć wyznaczony termin. Ten naszyjnik dowodził tego, jak szybko słudzy stają się niesubordynowani, gdy tylko znikają jej z oczu. I miał też przypominać jej o karze, jaką wyznaczy Delorranowi za niezastosowanie się do jej poleceń.

Wsunęła naszyjnik do sakiewki przy płaszczu i spojrzała w niebo. Stado smoków wyglądało już jak czarne kropki. Wyruszyły na kolejny patrol.

Wiatr zmienił kierunek i przywiał nieprzyjemny zapach. Spojrzała na szubienicę na środku dziedzińca.

Wisiał tam, lekko się kołysząc, generał Kysthan.

Ciało już zaczęło się rozkładać. Wkrótce drapieżne ptaki i smoki zaczną krążyć nad zamkiem. Ale postanowiła jeszcze przez jakiś czas go nie zdejmować. Służyło jako przykład dla innych, gdyby im przyszło do głowy ją zawieść. A na pewno miało stanowić ostrzeżenie dla gościa, którego oczekiwała.

Smoki zupełnie znikły za chmurami.

Potem pojawiło się paru strażników orków. Prowadzili swojego współplemieńca. Był młody, a przynajmniej dość młody, mógł mieć około trzydziestu lat. Wyglądał na wojownika, lecz nie na generała, którego nadzwyczaj czysty i nieskazitelny mundur nosił.

Oczywiście nie mógł się powstrzymać, by nie spojrzeć na wiszące ciało.

Energicznie trzasnął obcasami i nisko się skłonił.

– Najjaśniejsza pani...

Odprawiła strażników.

– Spocznij, Mersadionie.

Jeśli się odprężył, to niedostrzegalnie.

– Powiedziano mi, że jesteś ambitny, energiczny i bardziej rozważny niż Kysthan – oznajmiła. – Zyskałeś także wysoką rangę.

Twoje doświadczenie na polu bitwy jest kolejnym atutem. To, że nadal tam nie zostajesz, zawdzięczasz wyłącznie mnie. Bądź pewien, że tak jak cię stworzyłam, mogę cię zniszczyć.

– Tak jest.

– Co sądzisz o Kysthanie?

– Był... ze starego pokolenia, najjaśniejsza pani. Z tego, do którego nie mam wielkiej sympatii.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz zacząć naszej znajomości od nieszczerości, generale. W przeciwnym razie nie potrwa ona długo. Więc odważ się.

– Był głupi.

Uśmiechnęła się. Gdyby Mersadion znał ją lepiej, nie pozwoliłby sobie nawet na te powściągliwe słowa.

– Wybrałam cię, ponieważ wiem, że głupota nie należy do twoich słabości. Czy znasz sytuację Rosomaków?

– Tego oddziału? Wiem, że zniknęli. Zakładam, że są martwi lub w niewoli.

– Nie zakładaj niczego. Oddalili się bez pozwolenia i mają przy sobie bardzo cenny przedmiot, który jest moją własnością.

– Czy kapitan Delorran już ich nie szuka?

– Spóźnia się z powrotem. Znasz tego Delorrana?

– Trochę.

– Co o nim sądzisz?

– Jest młody, uparty i nienawidzi dowódcy Rosomaków, Stryka. Od dawna. Ale jest orkiem i słucha rozkazów.

– Przesunął termin powrotu, który mu wyznaczyłam. Bardzo mnie zawiódł.

– Jeśli nie wraca, musi mieć ważny powód. Na przykład jeszcze świeże ślady Rosomaków.

– Przysłał taką wiadomość. Doskonale. Na razie nie umieszczę go z całym oddziałem na liście dezertersów. Ale z każdym dniem nieobecności Rosomaków wydaje się bardziej prawdopodobne, że uciekli spod moich rozkazów. Dlatego twoje pierwsze zadanie – i najważniejsze – to przejąć dowodzenie nad poszukiwaniami. Należy jak najszybciej odzyskać przedmiot, który ukradli.

– Co to za przedmiot, najjaśniejsza pani?

– Nie musisz wiedzieć nic z wyjątkiem jego opisu. Mam dla ciebie inne polecenie, związane z odzyskaniem tego przedmiotu. Rozkazy otrzymasz we właściwym czasie.

– Tak, najjaśniejsza pani.

– Służ mi dobrze, a nagroda cię nie minie. Awansuję cię. Ale dobrze się przypatrz swojemu poprzednikowi. – W jej głosie zabrzmiała nuta groźby. – Bądź pewien, że jeśli mnie zawiedziesz, spotka cię taki sam los. Zrozumiałeś?

– Tak jest.

Uznała, że zareagował jak należy. Zdawał sobie sprawę z zagrożenia, lecz nie był przerażony. Może będzie mogła z nim współpracować i nie zostanie zmuszona do uśmiercenia go w sposób, który przewidziała dla Stryka. I dla Delorrana, kiedy wreszcie powróci.

Delorran patrzył na zwęglone zgliszcza małej wioski.

Liście kryjące kotlinę, w której tkwiła osada, spłonęły. Zostały jedynie szkielety drzew i resztki spalonych krzaków.

Delorran siedział na koniu, obok niego jego sierżant dosiadał swojego, a szeregowcy przeszukiwali ruiny.

– Rosomaki zostawiają za sobą spaloną ziemię – zauważył Delorran.

– Tak mieli robić, prawda? – odparł sierżant.

Delorran rzucił mu pogardliwe spojrzenie.

– To nie był cel wojskowy. Wygląda na obóz cywilny.

– Skąd pewność, że Rosomaki miały z tym coś wspólnego?
– Zbyt wielki zbieg okoliczności, gdyby nie miały, biorąc pod uwagę, że tędy przeszli.

Podbiegł do nich szeregowiec. Sierżant pochylił się i wysłuchał raportu, po czym go odprawił.

– W chatach znaleziono ciała – przekazał. – Należały do orków. Wyłącznie samic i młodych.

– Można ustalić, co było przyczyną ich śmierci?

– Zbyt dawno umarli.

– A więc Stryk i jego banda upadli tak nisko, że zabijają swoich, i w dodatku bezbronnych.

– Z całym szacunkiem... – odważył się odezwać sierżant.

– Tak?

– Może być wiele przyczyn ich śmierci. Mogli zginąć w pożarze. Nie mamy dowodu, że Rosomaki...

– Dowód widzę na własne oczy. Znam Stryka i wcale mnie to nie dziwi. To renegaci. Może nawet przyłączyli się do Jedów.

– Tak jest – mruknął sierżant cicho i bez entuzjazmu.

– Zwołaj oddział, nie ma czasu do stracenia. To, co widzieliśmy, wystarczy za powód, by złapać tych bandytów. W drogę.

Polecili ducha Mekluna bogom wojny i zakopali go tak głęboko, by nie znalazły go ścierwojady. Tylko tyle mogli dla niego zrobić.

Odprawdzili Mobbsa do Lasu Czarnej Skały i ruszyli na południowy zachód, ku Trójcy. Tym razem ich szlak wiódł pomiędzy Doliną Tkacza a Quattem, ojczyzną krasnoludów. Najprostsza droga biegłaby dokładnie przez Dolinę Tkacza, ale pamiętając o zasadzce na drodze, Stryk postanowił omijać ludzką osadę z daleka i zbliżyć się do stóp gór Carascrag. Potem mieli skręcić na zachód ku Trójcy. Ta droga była dużo dłuższa, ale wysiłek się opłacał.

Pod koniec dnia ujrzeli dość liczne stado gryfów. Zwierzęta zmierzały na północ, sunąc przed siebie gwałtownymi ruchami, charakterystycznymi dla ich gatunku. Parę godzin później dostrzegli w oddali grupę smoków, unoszących się wysoko nad zachodnim horyzontem. To, że latają swobodnie nad ziemią pogrążoną w chaosie, było niemal urzekające. Stryka uderzyło podobieństwo między ich losem a odzyskaniem wolności przez Rosomaków.

Haskeer, naturalnie, nie doceniał daru wolności i narzekał przez cały czas.

– Nie wiemy nawet, czym jest ta gwiazda ani jakie ma działanie – jęczał, powtarzając to samo niezliczoną ilość razy.

Stryk z trudem zachowywał cierpliwość, ale próbował wyjaśniać jeszcze raz.

– Wiemy, że Jennesta pożąda tego przedmiotu, jest dla niej bardzo ważny, a to wystarczy. I tego się trzymaj.

Haskeer oczywiście jakby go nie słyszał. Jego pytaniom nie było końca.

– A co zrobimy, kiedy znajdziemy drugą gwiazdę? Co z trzema pozostałymi? A jeśli ich nie znajdziemy? Dokąd się udamy? Kto nam pomoże, kiedy wszyscy się od nas odwrócą? Jak...

– Na bogów! – Stryk nie wytrzymał. – Przestań wyliczać, czego nie możemy. Skup się na tym, co jest możliwe.

– Możliwe to jest to, że wszyscy stracimy głowy! – Szarpnął cugle i oddalił się na tyły kolumny.

– Nie rozumiem, dlaczego chciałeś, żeby z nami został – rzuciła Coilla.

– Sam nie wiem – westchnął. – Nie chciałem, żeby opuścił oddział. A cokolwiek powiesz o tym draniu, to dobry wojownik.

– A to może być nam właśnie potrzebne – dodał Jup. – Patrzcie!

Od strony Doliny Tkacza unosił się słup gęstego czarnego dymu.

ROZDZIAŁ 15



Mobbs był szczęśliwy.

Został uwolniony z rąk koboldów. Orkowie – pomimo swej przerażającej reputacji – darowali mu życie. Gdyby miał wybór, wolałby innych strażników pośrednika, ale przynajmniej nie zanosilo się na to, że oddadzą go Jenneście. Dla Mobbsa było to mniejsze zło. Miał nadzieję, że wystarczająco zasugerował orkom, iż ich przyszłe czyny będą miały wpływ na los starszych ras. W dodatku zyskał fascynujący dokument historyczny. Może jednak z tych okropnych przeżyć wyniknie coś dobrego.

Przez parę ostatnich dni miał aż dość rozrywek jak na skromnego uczonego, zwłaszcza w jego wieku. Cieszył się, że ma to już za sobą.

Odkąd orkowie odprowadzili go na skraj Lasu Czarnej Skały i wskazali drogę na północ, minęło ponad sześć godzin. Teraz musiał tylko jechać tak, by mieć las po prawej stronie, na jego skraju skręcić na wschód ku wybrzeżu, a potem trafić do Hecklowe. Nie przypuszczał tylko, że las jest tak wielki, a podróż będzie się tak dłużyć. A może tylko mu się tak wydawało, bo jako stary uczonego nie przywykł do podróży. Po raz pierwszy przemierzył tę drogę jako jeniec koboldów, ale wtedy wieźli go z zawiązanymi oczami w zakrytym wozie.

Trochę się martwił, że znowu spotka koboldy albo jakąś inną bandę,

zwłaszcza że nie był zbyt wprawnym jeźdźcem i nie potrafiłby im umknąć. Prawdę mówiąc, był tak niski, że nogami nie dosięgał do strzemion. Mógł tylko zawierzyć bogom i jechać jak najszybciej.

Ale świat lubił go zaskakiwać. Godzinę lub dwie temu zauważył za swymi plecami słup czarnego dymu. O ile potrafił się zorientować, unosił się on z okolic Doliny Tkacza. Teraz od czasu do czasu zerkał za siebie. Słup nie wydawał się ani odrobinę mniejszy, przeciwnie, wzbijał się coraz wyżej.

Mobbs zastanawiał się właśnie, jaka była jego przyczyna, kiedy zdał sobie sprawę, że po jego lewej stronie coś się porusza.

Okolica była pagórkowata i usiana kępami drzew. Mobbs nie mógł dostrzec zbliżającej się grupy. Domyślił się, że to nie koboldy, bo obcy jechali na koniach, a nie na kirgizilach. Stare oczy nie służyły mu już dobrze. Zaczął się niepokoić. Mógł tylko jechać przed siebie i mieć nadzieję, że jeźdźcy go nie zauważą.

Nadzieja była płonna.

Jeźdźcy zawrócili, przyspieszyli i dotarli do jego ścieżki. Mobbs przekonywał samego siebie, że go nie zauważyli, do chwili gdy wyłonili się zza wzgórza.

Potem zrozumiał, że to orkowie. Ciężar spadł mu z serca. To pewnie oddział Stryka wraca, by zadać mu następne pytania o pośrednika. Albo żeby eskortować go na tym niebezpiecznym terenie.

Zatrzymał konia. Orkowie zbliżyli się do niego.

– Witajcie – powiedział. – Dlaczego wróciliście?

– Wróciliśmy? – odrzekł jeden z nich. Miał na twarzy tatuaże sierżanta.

Mobbs wytrzeszczył oczy. Nie rozpoznał tego, który się odezwał. Pozostali także nie wyglądali znajomo.

– Gdzie Stryk? – spytał beztrosko. – Nie widzę go.

Wyraz ich twarzy zdradził, że nie powinien był tego mówić. Dziwne.

Ork z tatuażami kapitana wysunął się na przód grupy. Jego Mobbs także nie znał.

– Wziął nas za Rosomaki – oznajmił sierżant, wskazując gremlina. – Wspomniał o Stryku.

Delorran stanął przed Mobbsem i przyjrzał się mu surowo.

– Może wszyscy orkowie wyglądają dla niego tak samo – powiedział. W jego głosie nie było ani śladu wesołości.

– Mogę pana zapewnić, kapitanie, że...

– Jeśli znasz imię Stryka – przerwał dowódca – musiałeś spotkać Rosomaki.

Mobbs zrozumiał, że znalazł się w niebezpieczeństwie. Czuł, że wyznanie prawdy postawi go w trudnej sytuacji, ale nie mógł się już wykręcić.

Kapitan czekał na jego odpowiedź, coraz bardziej się niecierpliwiąc.

– Więc spotkałeś się z nimi, tak?

– To prawda, że spotkałem oddział orków – odpowiedział wreszcie Mobbs, bardzo rozważnie dobierając słowa.

– I...? – Delorran naciskał. – Spędziłeś z nimi trochę czasu? Rozmawiałeś o ich dokonaniach? Pomogłeś im w jakiś sposób?

– Nie wiem, jak stary gremlin, w dodatku nędzny uczonek, mógłby pomóc komuś takiemu jak wy.

– Oni nie są jak my – warknął kapitan. – To renegaci.

– Naprawdę? – Mobbs miał nadzieję, że przekonująco odegrał zaskoczenie. – Nie zdawałem sobie sprawy z ich... położenia.

– Może miałeś więcej szczęścia i na przykład dowiedziałeś się, dokąd się wybierają?

– Dokąd...? Pan tego nie wie, kapitanie?

Delorran wyciągnął miecz. Wymierzył go w pierś Mobbsa.

– Nie ma czasu do stracenia, a ty nie potrafisz kłamać. Gdzie oni są?

– Ja... nie...

Ostrze przekłuło zniszczoną szatę gremlina.

– Mów, bo będzie za późno.

– Wspom... wspomnieli, że mogą po... pojechać do... Trójcy – wymamrotał niechętnie Mobbs.

– Trójca? Ta wylęgarnia Jedów? Wiedziałem! Co wam mówiłem, sierżancie? Oni nie zdezerterowali, oni przeszli na stronę wroga! Zdrajcy.

Sierżant przyjrzał się Mobbsowi.

– A jeśli on kłamie?

– Mówi prawdę. Tylko spójrz na niego. Mało się nie posikał.

Mobbs wyprostował się na całą swoją skromną wysokość, gotów godnie odpowiedzieć na tę zniewagę.

Delorran bez ostrzeżenia zatopił miecz w jego piersi.

Gremlin zachłysnął się i spojrzał na ostrze. Delorran wyszarpnął je z jego ciała. Trysnęła krew. Z wyrazem zdumienia na twarzy Mobbs osunął się na ziemię.

Przestraszony koń spłoszył się. Sierżant chwycił go za wodze i uspokoił.

Delorran zauważył juki, które do tej pory kryły się pod szatą gremlina. Otworzył je i zaczął w nich grzebać. Nie znalazł nic poza zwojem pergaminu. Doszedł do wniosku, że jest bardzo stary, ale nie potrafił nic z niego odczytać.

– To może mieć coś wspólnego z przedmiotem, którego szukamy – przyznał niechętnie. – Może jednak trzeba było dokładniej wypytać gremlina.

Sierżant uznał, że jego zwierzchnik jest nieco zażenowany. Oczywiście nie zamierzał na to zwracać uwagi. Zerknął na ciało gremlina i zadowolił się stwierdzeniem:

– Trochę na to za późno, kapitanie.

Delorran nie zauważył ironii. Patrzył na słup dymu.

Wieczorem Rosomaki były już znacznie bliżej słupa dymu, który teraz, na tle ciemnego nieba, wydawał się biały. Były także bliżej Doliny Tkacza i w każdej chwili mogły do niej dotrzeć. Żołnierze rozmawiali już tylko szeptem.

– Tam się dzieje coś wielkiego – mówił Jup do Stryka. – Może w ogóle ominąć dolinę?

– Nie możemy dotrzeć do Trójcy, nie zbliżając się do niej.

– Moglibyśmy zawrócić i w ogóle tam nie jechać – podsunął Alfray. – Może to przemyślimy?

– Już podjęliśmy decyzję – odparł Stryk. – A teraz wszędzie możemy się spodziewać kłopotów.

Ich rozmowę przerwało przybycie zwiadowcy.

– Osada znajduje się po drugiej stronie tego wzniesienia, jakiś kilometr stąd – zaraportował. – Coś się tam dzieje. Najlepiej będzie zsiąść z koni na szczycie wzgórza i dalej iść pieszo.

Stryk skinął głową i odesłał go.

– Jedni bogowie wiedzą, w co się pakujemy – burknął Haskeer. Ale nie powiedział tego z właściwym sobie jadem i Stryk nie zareagował. Nakazał żołnierzom milczeć i oddział ruszył w dalszą drogę.

Dotarli na szczyt wzgórza bez kłopotów. Zsiedli z koni i ruszyli na spotkanie z czekającymi zwiadowcami.

Dolina Tkacza rozpościerała się u ich stóp. Była to spora ludzka osada złożona głównie z chat – drewnianych i kamiennych. Widać było także większe budynki: stodoły, spichlerze, świetlice i co najmniej jedno wyróżniające się wieżą miejsce modłów.

Ale najbardziej charakterystyczną cechą osady było to, że płonęła jak pochodnia.

Zobaczyli parę postaci biegających bezładnie tu i tam. Gdzieniedzie usiłowały gasić płomienie, lecz ich wysiłki szły na marne.

– Tu powinno być znacznie więcej ludzi – odezwała się Coilla. – Gdzie oni są?

Zwiadowcy wzruszyli ramionami.

– Nie ma sensu się tu kręcić – uznał Stryk. – Otoczymy ich i zaatakujemy.

Godzinę później, kiedy wspięli się na wyższe wzgórza, dowiedzieli się, co się stało z resztą ludzi.

W położonej niżej dolinie naprzeciwko siebie stały dwie armie. Walka była blisko; prawdopodobnie odwlekl ją tylko zapadający zmrok. Liczne pochodnie, migoczące po obu stronach jak konstelacje gwiazd, wskazywały, że żołnierzy jest bardzo wielu.

– Jedowie walczą z Mnogami – westchnął Jup. – Tylko tego nam było trzeba.

– Jak sądzisz, ilu ich tam jest? – spytała Coilla. – Pięć, sześć tysięcy po każdej stronie?

Stryk wyteżył wzrok.

– Przy tym oświetleniu trudno powiedzieć. Według mnie co najmniej tylu.

– Teraz już wiemy, dlaczego Dolina Tkacza się paliła – zakończył Alfray. – To pewnie był pierwszy cios.

– To co robimy? – chciała wiedzieć Coilla.

– Nie chciałbym się wycofywać i ryzykować kolejnego starcia z koboldami. Obejście pola bitwy w tych ciemnościach jest zbyt ryzykowne. Raczej nie chcemy wpaść na żołnierzy. Zostaniemy tutaj przez noc, a rano zobaczymy, co się stanie.

Nie mogli iść naprzód, nie chcieli zawracać, więc obserwowali sytuację na dole.

O świcie większość żołnierzy spała. Obudził ich ryk dobiegający z pola bitwy.

W zimnym porannym świetle wyraźnie było widać liczebność armii; Coilla miała rację.

– Zaraz rozpocznie się bitwa – osądził Stryk.

Jup potarł zaspane oczy.

– Ludzie przeciwko ludziom. Dla nas to nieźle.

– Niekoniecznie. Wolałbym, żeby nie robili tego tutaj i teraz. Mamy już wystarczająco dużo problemów.

Ktoś wskazał niebo. W oddali widać było zbliżające się smoki.

– A zatem Mnogowie mają pomoc – odezwał się Alfray. – Od Jennesty? Jak sądzisz, Stryk?

– Możliwe. Choć nie tylko ona ma nad nimi władzę.

– Proszę, proszę – odezwał się Haskeer. – Po obu stronach są krasnoludy.

– I co z tego? – warknął Jup.

– To wiele wyjaśnia, nie? Twoja rasa walczy dla każdego, kto ma dość pieniędzy.

– Już ci mówiłem: nie odpowiadam za każdego krasnoluda w tym kraju.

– Ciekawe, na ile wyceniają swoją lojalność. Z tego, co wiemy... – Przerwał mu atak kaszlu. Mijały chwile, a Haskeer krztusił się i chrypiał z poczerwieniałą twarzą.

– Wszystko w porządku? – spytał Alfray. – Trochę mnie to niepokoi.

Haskeer złapał oddech.

– Odczep się, konowale! Nic mi nie jest. – I znowu się rozkaszał, choć już nie tak mocno.

Stryk miał właśnie coś powiedzieć, kiedy okrzyk szeregowca przeszkodził mu w tym.

Odwrócili się i spojrzeli na wzgórza za ich plecami. U stóp wzgórza pojawiła się grupa orków. Trzykrotnie przewyższała liczebnością Rosomaki.

– Oddział pościgowy? – zastanawiała się Coilla.

– Wysłany za nami? Możliwe – odpowiedział Stryk.

– Może to posiłki dla Mnogów? – podsunął Jup.

Przybysze zbliżali się. Stryk osłonił dłonią oczy i wyteńczył wzrok.

– Do diabła!

Coilla spojrzała na niego.

– Co?

– Znam tego oficera. Nie jest mi przyjacielem.

– To ork, prawda? – odezwał się rozsądnie Alfray. – Więc jesteśmy po tej samej stronie.

– Delorran tak nie uważa.

– Delorran? – wyrwało się Alfrayowi.

– Ty też go znasz? – spytała Coilla.

– Tak. Między nim i Strykiem... wiele się wydarzyło.

– Tak też to można ująć – zgodził się Stryk. – Ale co on tu robi, u diabła?

Dla Alfraya nie było to żadną zagadką.

– Przecież to jasne. Kto lepiej będzie cię ścigał niż ten, kto nienawidzi cię tak bardzo, że nigdy nie da za wygraną?

Oddział pościgowy stanął. Delorran i jeszcze jakiś ork przejechali kilka metrów i także stanęli. Drugi ork uniósł sztandar wojenny i powoli poruszył nim z boku na bok.

Wszyscy zrozumieli.

– Chcą pertraktować – powiedziała Coilla.

Stryk skinął głową.

– Aha. Pojedziesz ze mną. Weź konie.

Pobiegła, by wykonać jego rozkaz.

Stryk pochylił się ku Alfrayowi. Podał mu gwiazdę.

– Pilnuj tego. – Alfray schował ją pod kaftanem. – A teraz daj znak, że zejdziemy porozmawiać.

Sztandar Rosomaków leżał na trawie. Alfray rozwinął go i wysłał wiadomość.

– Posadź Dariga na koniu – dodał Stryk.

– Co?

– Ma być gotowy. Wszyscy macie być gotowi na wypadek, gdybyśmy musieli szybko uciekać.

– Nie wiem, czy zdoła jechać konno.

– W takim razie będziemy musieli go zostawić.

– Zostawić?

– Rób, co mówię.

– Posadzę go za sobą.

Stryk zastanawiał się przez chwilę.

– Dobrze. Ale jeśli koń zacznie tracić siły, zrzuć go.

– Udam, że tego nie słyszałem.

– Zapamiętaj to sobie. Istnieje różnica między utratą jednego człowieka i dwóch.

Alfray nie był przekonany, ale skinął głową. Stryk nie sądził, że go posłucha.

– Jeśli ten Delorran jest twoim wrogiem – odezwał się Jup – jesteś pewien, że powinienes tam jechać?

– To muszę być ja i dobrze o tym wiesz. Chodzi o rozejm. Przygotujcie się wszyscy.

Podszedł do Coilli. Dosiedli koni i zaczęli zjeżdżać zboczem.

– Rozmowę zostaw mnie – zapowiedział. – Jeśli będziemy musieli uciekać, nie wahaj się, tylko ruszaj.

Skinęła głową niemal niedostrzegalnie.

Dotarli do Delorrana. Stryk odezwał się pierwszy. Głos miał opanowany i chłodny.

– Witaj, Delorran.

– Stryk – odpowiedział kapitan przez zaciśnięte zęby. Już samo to słowo przychodziło mu z trudem.

– Spotykamy się daleko od domu.

– Dajmy spokój uprzejmościom, dobrze? Obaj wiemy, dlaczego tu jestem.

– Naprawdę?

– Jeśli chcesz to ciągnąć do końca, powiem ci. Razem ze swoim oddziałem oddaliłeś się bez zezwolenia.

– Mam nadzieję, że pozwolisz mi wyjaśnić.

– Przyczyna jest oczywista. Dezercja.

– Czyżby?

– I macie coś, co należy do królowej. Zostałem po to wysłany. Mam to odzyskać bez względu na koszt.

– Naprawdę? Czy to znaczy, że podniesiesz rękę na orka? Poróżniliśmy się, ale myślałem, że nawet ty...

– Nie mam skrupułów, gdy idzie o zdrajców.

Stryk drgnął.

– Więc z dezerterów staliśmy się zdrajcami? To spory przeskok.

– Jego głos był chłodny jak stal.

– Nie udawaj niewiniątka. Niby dlaczego nie wróciłeś z misji, ukradłeś własność Jennesty i sprzymierzyłeś się z Jedami?

– To poważne oskarżenie. A nie można nam zarzucić przymierza z Jedami czy kimkolwiek innym. Rusz głową! Nie mogliśmy się do nich zbliżyć, nawet gdybyśmy chcieli! Roznieśliby nas na mieczach.

– Myślę, że powitaliby z otwartymi ramionami oddział orków. Być może przyciągnęlibyście innych orków, równie zdradzieckich jak wy. Ale nie jestem tu po to, by się kłócić. Osądzam cię po twoich czynach, a wymordowanie samic i piskląt to dla mnie wystarczający dowód.

– Co? Jeśli mówisz o obozie, o którym myślę, to wszyscy umarli tam na

zarazę. Musieliśmy go...

– Nie obrażaj mnie tymi kłamstwami! Dostałem jasne rozkazy. Masz oddać skradziony przedmiot, a twój oddział ma złożyć broń.

– Nigdy – warknęła Coilla.

Delorran rzucił jej wściekłe spojrzenie.

– Twoi podwładni nie znają dyscypliny, Stryk. Co mnie nie dziwi.

– Gdyby ona tego nie powiedziała, ja bym to zrobił. Jeśli mamy coś, czego pragniesz, to po to przyjdź.

Delorran sięgnął po miecz.

– A jeśli zamierzasz pogwałcić rozejm, to proszę – dodał Stryk, sięgając po własną broń.

Zmierzyli się twardym spojrzeniem.

Delorran nie dobył miecza.

– Macie dwie minuty do namysłu. Potem się poddacie albo zaczniemy walczyć.

Stryk bez słowa zawrócił konia. Coilla rzuciła Delorranowi ostatnie złowrogie spojrzenie i podążyła za nim. Wrócili galopem.

Stryk zeskoczył z siodła.

– Uważają nas za zdrajców i sądzą, że zamordowaliśmy orków z obozu, który spaliliśmy – streścił rozmowę.

– Alfray przeraził się. Jak mogli tak pomyśleć?

– Delorran uwierzy we wszystko na mój temat, byle było to złe. Zaraz tu będą, żeby nas pojmać, martwych lub żywych. – Spojrzał na Rosomaków. – To czas próby. Jeśli się poddacie, czeka nas pewna śmierć albo z rąk Delorrana, albo w Cairnbarrow. Jeśli mam umrzeć, to tutaj i teraz, z mieczem w ręku. – Powiódł spojrzeniem po ich twarzach. – Co powiecie? Jesteście ze mną?

Potwierdzili zgodnie. Nawet Haskeer i trzej jego poplecznicy byli gotowi do walki, choć dali temu wyraz w nieco mniej entuzjastyczny

sposób niż inni.

– Dobrze. Więc przygotujmy się do walki – odezwał się Jup. – Ale spójrz, w jakiej sytuacji się znaleźliśmy; za naszymi plecami zaraz rozpocznie się walka, a przed nami jest oddział zaprawionych w boju wojowników. Co robić?

Paru innych też chciało to wiedzieć.

– Umocnimy pozycje, żeby wytrzymać pierwszy atak – odpowiedział Stryk. – Który nastąpi lada chwila.

Oddział Delorrana przegrupowywał się.

– Na koń! – krzyknął Stryk. Machnął mieczem na paru szeregowców. – Pomóżcie Darigowi wsiąść na konia Alfraya. A wy pilnować tyłów! Ruszać się! Wszyscy!

Ruszyli do koni. Stryk odebrał gwiazdę od Alfraya i dosiadł swojego wierzchowca.

Oddział Delorrana galopował już w ich stronę. Jedna trzecia grupy została z tyłu jako rezerwa.

Stryk wypowiedział ostatnią myśl:

– Nie godzi się walczyć z własnym ludem, lecz pamiętajcie, że oni mają nas za renegatów i zabijają, jeśli tylko będą mieli szansę.

Czas na rozmowy skończył się. Stryk podniósł rękę, machnął nią i wrzasnął:

– I... atakować!

Rosomaki spięły konie i ruszyły na spotkanie pierwszej fali.

Może i byli mniej liczni, mimo iż przeciwnik zostawił część sił w rezerwie, lecz sprzyjało im wysokie położenie terenu.

Zgrzytnęły ostrza, konie zarżały i starły się, wymieniono ciosy. W powietrzu rozległ się brzęk mieczy uderzających o tarcze.

Dla Stryka i Rosomaków starcie ze współplemieńcami było dziwnym, niepokojącym doświadczeniem. Miał nadzieję, że nie ograniczy ich woli

walki w przyszłości. Żołnierze Delorrana chyba nie mieli tego problemu.

– Ale znaczące było to, że po pięciu minutach intensywnej walki atakujący zaczęli się wycofywać bez żadnych poważnych strat po obu stronach.

– Nie mieli do tego serca! – krzyknął Stryk. – O ile znam Delorrana, zaraz im za to podziękuje. Nie będzie już tak łatwo, kiedy wrócą.

I rzeczywiście, kiedy Delorran zwrócił się do swojego oddziału, jego gesty świadczyły o tym, że najwyraźniej go zwymyślał.

– Nie możemy wytrzymywać ich ataku wiecznie – powiedziała Coilla ponuro.

Jup spojrział na pole bitwy za ich plecami. Przeciwnicy z wolna zbliżali się ku sobie.

– I nie mamy dokąd uciekać.

Grupa Delorrana znowu przygotowała się na atak, tym razem w pełnym składzie. Stryk podjął decyzję. Graniczyła z szaleństwem, ale nie widział innego wyjścia.

– Słuchajcie! – ryknął. – Zaufajcie mi i idźcie za mną!

– Znowu ich zaatakujemy? – spytała Coilla.

Oddział Delorrana prawie już dotarł na szczyt.

– Zaufajcie mi! – powtórzył Stryk. – Róbcie to, co ja.

Wróg był coraz bliżej i nabierał szybkości. Był już o rzut włócznią.

Stryk rzucił spojrzenie na pole bitwy.

– Teraz! – ryknął.

W parę sekund dopadł krawędzi zbocza i zaczął schodzić w dół.

– O, nie... – jęknął Jup.

Haskeer gapił się na niego z otwartymi ustami, nie pojmując, co się dzieje. Nie tylko zresztą on. Pozostali nawet nie drgnęli. Delorran był tuż-tuż.

To Coilla przejęła inicjatywę.

– Jazda! – ryknęła. – To nasza jedyna szansa!

Spięła konia i podążyła za Strykiem.

– Do diabła! – zaklął Haskeer, ale zrobił to samo, a za nim inne Rosomaki.

Alfray z wczepionym w niego Darigiem zdołał nawet unieść sztandar.

Kiedy Delorran dotarł do szczytu, Stryk był już daleko.

W dolinie dwie armie zmierzały ku sobie z coraz większą szybkością. Ludzie pędzili z wymierzonymi w siebie pikami i dzidami. Atakowała kawaleria.

Rosomaki leciały ku bitewnemu chaosowi jak nietoperze rodem z piekła.

Delorran i jego żołnierze stanęli na szczycie wzgórza.

Widok bitwy podzielał na nich jak cios. Konie zatrzymały się gwałtownie – co pewnie i tak by się stało, nawet gdyby Delorran nie podniósł ręki.

Patrzyli w dół, zdumieni widokiem orków sunących prosto ku ścierającym się armiom.

– Co mamy robić? – spytał sierżant.

– Jeśli nie macie lepszego pomysłu – odparł Delorran – popatrzmy, jak popełniają samobójstwo.

ROZDZIAŁ 16



Hosomaki pędziły w dół zboczem tak stromym, że niemal się na nim ślizgały. Coilla odwróciła się i spojrzała na wzgórze. Reszta oddziału podążała za nią. Ich prześladowcy zatrzymali się i patrzyli za nimi. Popędziła konia i zrównała się ze Strykiem.

– Co my, do diabła, robimy? – ryknęła.

– Przebijemy się! – wykrzyczał przez wicher. – Nie spodziewają się tego.

– Nie jesteśmy jedyni!

Wrogie armie zbliżały się coraz bardziej.

Stryk wskazał w dół.

– Musimy ciągle być w ruchu! I nie zatrzymywać się, nawet kiedy dotrzemy na drugą stronę!

– Jeśli dotrzemy! – odkrzyknęła.

Dotarli na równinę. Stryk obejrzał się przez ramię. Nadal byli razem. Alfray, z wczepionym w niego ponurym Darigiem, jechał z tyłu, ale utrzymywał tempo.

Na równym terenie wreszcie mogli przyspieszyć. Teraz byli już bardzo blisko zbliżających się do siebie armii i coraz trudniej było ocenić odległość między nimi.

Stryk spał swojego i tak już zmęczonego konia i krzyknął na innych, by

nie zwalniali.

Pędzili ku dolinie śmierci, ku polu bitwy, ku rykowi tysięcy oszalałych wojowników.

I raptem znaleźli się pomiędzy armiami. Wrogowie po lewej, wrogowie po prawej stronie.

Mijali zamazane twarze. Stryk zdawał sobie sprawę, że ktoś na niego patrzy, wskazuje go, krzyczy bezgłośnie. Modlił się, by zaskoczenie i zamieszanie dało Rosomakom jakąś przewagę. Miał nadzieję, że ich szanse zwiększy niepewność obu stron co do tego, komu sprzyjają. Choć kiedy rozpoznają orków, Jedowie z pewnością uznają ich za sprzymierzeńców Mnogów.

Przemierzyli już jedną czwartą drogi, kiedy zaczęły ich ścigać strzały i włócznie. Na szczęście obie hordy były nadal zbyt od siebie oddalone, by pociski dotarły do celu. Jednak żołnierze już przyspieszyli kroku. Gdyby Rosomaki choć na chwilę zwolniły, zgmiotłaby ich śmiercionośna fala z jednej lub drugiej strony. Tu i tam grupy szybszych wojowników lub jeźdźców mających utorowaną drogę zaczynały się wysuwać naprzód, by zablokować oddziałowi przejazd.

Grupa piechurów z pikami i mieczami rzuciła się biegiem ku Strykowi. Stratował ich. Coilla i reszta poszli jego śladem. Okowie mieli szczęście. Gdyby piechurzy byli mniej zaskoczeni, a bardziej zdyscyplinowani, udałoby się im ich powstrzymać.

Strzały padały coraz bliżej. Pomiedzy koniem Stryka i innego Rosomaka wbiła się włócznia. Żołnierze rzucali się na orków, którzy odpierali ich atak, bez wyjątku siekąc i Jedów, i Mnogów.

Jakiś człowiek w czarnym stroju skoczył na konia Coilli, chwytając jego wodze. Zawisł na nim całym ciężarem, tak że koń zachwiał się i zatoczył. Inni ludzie ruszyli ku ofierze. Coilla wyszarpnęła sztylet i cięła twarz człowieka. Krzyknął i upadł, stratowany przez orków. Coilla spięła konia.

Oddział nabrał prędkości i wkrótce prześcignął biegnących żołnierzy.

Z tyłu kolumny, bardziej wystawiony na atak, Haskeer siekł toporem na prawo i lewo, roztrzaskując czaszki włóczników, którzy usiłowali go wysadzić z siodła. Rycząc, wyrąbywał sobie drogę.

Rosomaki parły naprzód wciśnięte niczym między dwa morza.

Stryk czuł, że tracą rozpęd. Bał się, że lada chwila żywioł ich pochłonie.

Z góry oddział wyglądał jak garstka czarnych pereł, toczących się jakby z własnej woli. Delorran i jego żołnierze przyglądali się zaciskającym się na nim kleszczom.

– Szaleńcy! – krzyknął Delorran. – Woleli umrzeć niż poddać się sprawiedliwości.

– Już z nimi koniec – zgodził się sierżant.

– Nie możemy tu zostać, bo nas zobaczą. Przygotować się do odwrotu.

– A co z przedmiotem?

– Chcesz tam zejść i go odzyskać?

Próba przedarcia się Rosomaków przez pole bitwy miała za chwilę dobiec końca. Setki ludzi, Jedów i Mnogów, sunęły przeciwko nim z obu stron.

– Za mną! – warknął Delorran.

Zawrócił konia i poprowadził żołnierzy.

Tymczasem Stryk dostrzegł ludzi biegnących ku jego oddziałowi. Wpadł na nich, siekąc mieczem. Po chwili reszta Rosomaków uderzyła o ludzki mur i zaczęła się przez niego przedzierać. Rozpętał się chaos, bo teraz obie armie także zaczęły ze sobą walczyć.

Grupa Jedów z włócznikami omal nie straciła Jupa z konia. Odpędził ich, dziko wywijając mieczem, ale pewnie by go ściągnęli na ziemię, gdyby nie Rosomaki atakujące ich z drugiej strony.

Alfray starał się dotrzymać kroku pozostałym, ale jego koń słabł coraz bardziej pod podwójnym ciężarem. Oni także stali się celem ataku –

tym razem ze strony Mnogów, którzy pozbyli się już złudzeń, że orkowie przybyli im na pomoc. Alfray starał się jak mógł, ale ranny towarzysz ograniczał jego możliwości, podobnie jak sztandar Rosomaków, który okazał się mniej efektywny niż miecz. A wokół nie było towarzyszy, którzy mogliby mu pomóc.

Ich koń niemal zupełnie odłączył się od oddziału, gdy nagle Darig otrzymał potężny cios dzidą.

Krzyknął.

Alfray jednym ciosem odrąbał ramię włócznikowi, ale zło już się stało.

Darig kołysał się bezwładnie w siodle.

Alfray był zbyt zajęty walką, by się nim zająć. Potem drogę zastąpił mu kolejny jeździec i koń Alfraya stanął dęba. Darig spadł na ziemię. Ledwie jej dotknął, zasłonił go tłum ludzi. Ich miecze, topory, dzidy i noże unosiły się i opadały.

Alfray krzyknął z wściekłości i rozpacz. Jednym ciosem zmiotł z drogi jeźdźca. Szybkie spojrzenie na tłum wokół Dariga potwierdziło, że nie da się już nic zrobić. Spiął konia i ledwie umknął przed kolejną napaścią. Dogonił Rosomaki, przedzierające się na skraj pola bitwy. Był przekonany, że to się nie uda.

Za ich plecami armie spotkały się i splotły w zacieklej walce.

Rozpoczęcie bitwy okazało się uśmiechem losu dla Rosomaków. Obie strony zajęły się zabijaniem siebie nawzajem i chronieniem własnego życia; orkowie zeszli na dalszy plan.

Po dwóch kolejnych, ciągnących się w nieskończoność minutach zaciekłych walk przebili się na drugą stronę pola bitwy. Galopem dotarli po zboczu do krawędzi doliny.

Podczas wspinaczki Coilla obejrzała się. Ściągał ich oddział dwudziestu, trzydziestu ludzi. Wyglądali na Jedów.

– Mamy towarzystwo! – krzyknęła.

Stryk też już to zauważył.

– Jechać dalej! – ryknął.

Na szczycie zbocza doliny okazało się, że teren prowadzi w dół, ku trawiastym równinom usianym lasami. Ruszyli ku nim. Ścigający deptali im po piętach.

Po tej stronie doliny grunt był bardziej miękkiej. Spod kopyt koni przyskały bryły ziemi.

Rozległ się wrzask jakiegoś szeregowca. Wszyscy spojrzeli w górę.

Od strony pola bitwy sunęły trzy smoki.

Stryk doszedł do wniosku, że ścigają jego oddział. Poprowadził Rosomaki w stronę drzew, licząc, że zapewnią im osłonę.

– Schować głowy! – krzyknął Jup.

Jeden ze smoków zaczął pikować. Poczuli na plecach uderzenie żaru. Ogromne cielsko przesunęło się tuż nad ich głowami i znowu wzbiło się w górę.

Oddział pościgowy został zdziesiątkowany. Ziemię zaścilały zwęglone zwłoki ludzi i koni. Niektóre jeszcze płonęły. Kilku Jedów, stojących w ogniu od stóp do głów, zachwiało się i padło. Paru ocaliło życie, ale straciło chęć kontynuowania pościgu. Zatrzymali się i patrzyli na pokonanych lub beczynnie obserwowali oddalających się orków.

Stryk zastanawiał się, czy atak był zamierzony. Ze smokami nigdy nie wiadomo. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach stanowiły nieprzewidywalną broń.

Jakby w odpowiedzi, smoki wróciły, by po raz kolejny zaatakować. Oddział popędził w stronę lasu.

Padł na nich wielki nieregularny cień. Od parzącego smoczego oddechu zajęły się trawy kilka metrów od nich. Orkowie przyśpieszyli.

Kolejny smok spłynął z nieba z łopotem potężnych skrzydeł. Rosomaki pędziły do lasu, czując na plecach uderzenia powietrza.

Dotarły na miejsce w ostatniej chwili. Smok zionął płomieniem i czubki drzew zajęły się huczącym ogniem. Spadały płonące gałęzie, sypały się rozżarzone liście i iskry.

Rosomaki, nie zwalniając, zanurzały się głębiej w las. Pomiędzy koronami drzew dostrzegały prześladowców, którzy nie rezygnowali z pościgu.

Smoki pojawiały się jednak coraz rzadziej. W końcu chyba odfrunęły. Orkowie zwolnili, ale nadal podążali przed siebie. Zatrzymali się dopiero po drugiej stronie lasu.

Ukryci pomiędzy drzewami znowu ujrzeli smoki, krążące z wolna nad nimi. Nie ośmielili się opuścić schronienia; zsiadli z koni i wystawili strażników, którzy mieli obserwować, czy nie zbliżają się ludzie. Na razie ich nie widzieli. Usiedli z bronią w ręku i czekali na sprzyjającą chwilę, by opuścić las.

Haskeer pociągnął łyk wody z manierki, zakorkował ją i znów zaczął narzekać.

– To było cholernie ryzykowne.

– A co mogliśmy zrobić? – odparła Coilla. – Poza tym udało się, nie?

Z tym Haskeer nie mógł się nie zgodzić. Ograniczył się tylko do ponurego grymasu.

Żołnierze nie podzielali jego kiepskiego humoru. Cieszyli się, że zdołali ocalić życie – do tego stopnia, że Stryk musiał ich uciszać.

Tylko Alfray się nie cieszył. Myślał o Darigu.

– Gdybym mocniej go trzymał, pewnie byłby tu z nami.

– Nie mogłeś nic zrobić – powiedział Stryk. – Nie dręcz się tym, na co nie masz wpływu.

– Stryk ma rację – zgodziła się Coilla. – Aż dziw, że nie ponieśliśmy większych strat.

– A jeśli kogoś można obwiniać o śmierć żołnierzy – mruknął Stryk – to

chyba mnie.

– Przystań się roztkliwiać – rzuciła surowo. – Potrzebujemy twojego rozsądku, nie żalości.

Stryk przyznał jej rację. Sięgnął do kieszeni i wyjął gwiazdę.

– Ten dziwny przedmiot narobił tylko kłopotów – powiedział Alfray. – Wywrócił nasze życie do góry nogami. Mam nadzieję, że jest wart swojej ceny.

– Może to nasza przepustka do wolności.

– Może. A może nie. Chyba już od jakiegoś czasu szukałeś powodu, żeby się wyzwolić.

– A wy nie robiliście tego?

– Możliwe. Ale w moim wieku trudniej jest się odważyć na zmianę.

– To pora zmian. Wszystko się zmienia. Dlaczego nie my?

– Hm, zmiana – zaszydził Haskeer. – Za dużo się... mówi... o...

– zabrakło mu tchu. Zachwiał się – i runął jak długi.

– Co się dzieje? – krzyknęła Coilla.

Stanęli wokół niego.

– Co to było? – spytał Stryk. – Jest ranny?

Alfray zbadał go szybko.

– Nie. – Przyłożył rękę do czoła Haskeera, zbadał mu puls.

– Więc co mu jest?

– Ma gorączkę. Wiesz, co myślę? Chyba zaraził się od Mekluna.

Kilku szeregowców cofnęło się.

– Ten głupiec to ukrywał – dodał Alfray.

– Od paru dni nie był sobą, prawda? – powiedziała Coilla.

– Tak. Miał wszystkie objawy. Jest coś jeszcze, i to niezbyt przyjemne.

– Mów – rozkazał Stryk.

– Zastanawiałem się, co za choroba zabiła Mekluna. Choć jego rany były poważne, wyzdrowiałby. Wydaje mi się, że zaraził się w obozie, który

spaliliśmy.

– Przecież to niemożliwe – zaprotestował Jup. – Nie zbliżył się do niego.

– On nie. Ale Haskeer tak.

– Bogowie – szepnął Stryk. – Powiedział, że nie dotykał zwłok. Pewnie kłamał.

– Jeśli Haskeer się zaraził i przekazał chorobę Meklunowi, czy i my mogliśmy ją od niego złapać? – spytała Coilla.

Żołnierze wydali pomruk zaniepokojenia.

– Niekoniecznie – odparł Alfray. – Meklun był osłabiony z powodu ran, podatny na infekcje. A gdybyście się zarazili, symptomy byłyby już widoczne. Czy ktoś źle się czuje?

Wszyscy zaprzeczyli.

– Niewiele wiemy o ludzkich chorobach – ciągnął Alfray – lecz chyba najbardziej niebezpieczne jest pierwsze czterdzieści osiem godzin.

– Miejmy nadzieję, że się nie mylisz – powiedział Stryk. Spojrzał na Haskeera. – Myślisz, że wydobrzeje?

– Jest młody i silny. To pomaga.

– Co możemy dla niego zrobić?

– Niewiele. Trzeba zbijać gorączkę i czekać, aż nadejdzie przesilenie.

– Kolejny problem – westchnęła Coilla.

– Owszem – zgodził się Stryk. – Nie potrzebowaliśmy go.

– Dobrze, że nie postępujemy z chorymi tak, jak on by tego chciał.

Pamiętacie, co mówił o Meklunie?

– Tak. Ironia losu, co?

– Co teraz, kapitanie? – spytał Jup.

– Trzymamy się planu. – Stryk wskazał krążące w górze smoki. – Jak tylko znikną zakładając, że tak się stanie, ruszamy do Trójcy.

Musieli czekać parę godzin.

Smoki okrążyły las niezliczoną ilość razy, wreszcie skierowały się na

północ i znikły. Stryk rozkazał przywiązać Haskeera w siodle. Jego konia miał prowadzić szeregowiec. Ruszyli w stronę Trójcy, zachowując największą ostrożność. Stryk uznał, że podróż zajmie im około półtora dnia – jeśli nie napotkają żadnych przeszkód.

Ominąwszy Dolinę Tkacza, mogliby wreszcie wybrać mniej więcej prostą drogę. Ale tu, na południu, gdzie częściej spotykało się ludzi, musieli być wyjątkowo czujni. Tam, gdzie to możliwe, szukali schronienia w lesie, w osłoniętych dolinach i innych naturalnych kryjówkach. Im dalej na południe się zapuszczali, tym więcej napotykali śladów ludzkiej obecności i zniszczenia.

Rankiem drugiego dnia dotarli do niewielkiego lasu, niemal zupełnie wyciętego. Większość drzew usunięto, lecz wiele pozostawiono, by gnily. Pniaki porosły mchem lub grzybami. Poręba miała więc co najmniej parę miesięcy.

Orkowie byli zdumieni tym spustoszeniem i nakładem sił, który był do tego potrzebny. Stali się jeszcze ostrożniejsi – trzeba było wielu rąk, by dokonać takiego dzieła zniszczenia.

Kilka godzin później odkryli, do czego posłużyło drewno z lasu.

Dotarli do rzeki, płynącej na południowy zachód ku górskiemu łańcuchowi Carascrag. Jako że rzeki stanowiły najbardziej godny zaufania punkt orientacyjny, jechali wzdłuż jej brzegów. Wkrótce zauważyli, że woda robi się głęboka, a nurt zwalnia.

Za zakrętem przekonali się dlaczego.

Rzeka zmieniała się w ogromne lśniące jezioro, zajmujące sporą przestrzeń niedawnych łąk. Stworzono je za pomocą potężnej tamy z drewnianych bali. Tama przeraziła orków i zarazem wzbudziła ich podziw. Sięgała wyżej niż najwyższa sosna, miała grubość sześciu bali i biegła na odległość, której nie pokonałaby strzała wystrzelona nawet przez dobrego łucznika. Bale były dopasowane z wielką precyzją i opasane sznurem, który

musiał się ciągnąć przez wiele kilometrów. Uszczelniono ją zaprawą. Podpory na obu brzegach i te wbite w dno rzeki dodawały tamie stabilności.

Zwiadowcy nie znaleźli żadnych oznak obecności ludzi. Ponieważ od poprzedniego dnia nie mieli chwili odpoczynku, Stryk zarządził postój i rozstawił strażę.

Alfray zbadał Haskeera, którego stan się pogorszył, i przyłączył się do narady oficerów.

– To ujęcie wody wskazuje, że znajdujemy się w pobliżu Trójcy – uznał Stryk. – Muszą mieć tyle wody, by starczyło dla wielu mieszkańców.

– Oznacza także władzę – zasugerował Alfray. – Władzę kogoś, kto wydziela wodę.

– Nie mówiąc już o tym, że zmusił tyle rąk do zbudowania czegoś tak wielkiego – dodał Stryk. – Ludzie z Trójcy muszą być równie liczni jak zdyscyplinowani.

– A jednak lekceważą magiczną moc, którą zniszczyli, zmieniając koryto rzeki – wtrącił Jup. – Nawet ja czuję tu negatywną energię.

– A ja wyczuwam wielki problem – odezwała się Coilla, prowadząc rozmowę na bardziej aktualny temat. – Trójca to twierdza zamieszkała przez fanatyków. Podobno nie przepadają za starymi rasami. Jak, do diabła, mamy się tam dostać i znaleźć gwiazdę? A może planujesz misję samobójczą?

– Nie wiem, co zrobimy. Ale będziemy postępować zgodnie z podstawową strategią wojskową: jak najbardziej się zbliżyć, znaleźć kryjówkę i ocenić sytuację. Na pewno jest jakiś sposób, tylko jeszcze go nie znamy.

– A jeśli go nie ma? – spytał Alfray. – Jeśli nie zdołamy się tam zbliżyć?

– Wtedy będziemy musieli wszystko jeszcze raz przemyśleć. Może zdołamy wytargować za gwiazdę amnestię.

– Akurat – mruknęła Coilla cynicznie.

- Albo będziemy żyć jako renegaci. Którymi właściwie już jesteśmy. Jup był zaniepokojony.
- Nie brzmi to zachęcająco.
- Więc musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by tego uniknąć. A teraz odpocznijcie. Za godzinę ruszamy do Trójcy.

ROZDZIAŁ 17



Trójca ukazała się ich oczom późnym popołudniem. Ukryci pod osłoną roślinności, wyężając wzrok w poszukiwaniu patroli, przyglądali się odległej osadzie. Miasto stanowiło twierdzę otoczoną wysoką palisadą z wieżyczkami obserwacyjnymi.

Za nim wznosiły się góry Carascrag, stalowo błękitne, z najeżonymi szczytami. Otaczało je rozedrgane powietrze znad rozgrzanej pustyni Kirgizil.

Wydeptana droga prowadziła do ogromnych wrót, głównego wejścia do Trójcy. Były zamknięte. Miasto otaczały pola tak wielkie, że sięgały niemal do kryjówek Rosomaków. Ale zasiewy były nieurodzajne.

– Teraz wiemy, po co im woda – zauważyła Coilla.

– Niewiele im z niej przyszło – odparł Jup. – Popatrzcie na te nędzne plony. Ludzie są głupi. Nie rozumieją że ingerencja w magię ziemi szkodzi również im.

– Jak do diabła mamy się tam zbliżyć? – chciał wiedzieć Alfray.

– A tym bardziej wtargnąć do środka?

– I tak mamy trochę szczęścia. Jeszcze nie widzieliśmy ludzi. Pewnie większość walczy w Dolinie Tkacza.

– Ale chyba nie zostawili osady bez obrońców? – upomniała go Coilla. – A jeśli nawet opuścili twierdzę, to kiedyś tu wrócą.

– Chciałem powiedzieć, że to sprzyjająca okoliczność, a nie rozwiązanie naszego problemu.

– To co mamy robić? – spytał Jup.

– Znajdziemy miejsce na obóz. Coilla, weź trzech szeregowców i obejdźcie piechotą miasto z lewej strony. Jup, ty też weź trzech i ruszcie w przeciwną stronę. Szukajcie kryjóWKi i pamiętajcie, że muszą się w niej zmieścić także konie. Jasne?

Skinęli głowami i odeszli.

– Stryk spojrział na Alfraya. Jak Haskeer?

– Mniej więcej tak samo.

– Drań jest uciążliwy, nawet kiedy stracił przytomność. Zrób dla niego, co możesz. – Odwrócił się do pozostałych żołnierzy. – A wy czekajcie w gotowości do walki.

Usiedli i zaczęli obserwować twierdzę.

– No, nie wiem – szepnął Jup.

Ukryci za krzakami, patrzyli w ziejącą gardziel tunelu w zboczu.

– Martwi mnie, że tam jest tylko jedno wejście – powiedział Alfray – a konie mogą się spłoszyć.

– To jedyna możliwość – powtórzyła Coilla z nutą desperacji w głosie.

– Coilla ma rację – zdecydował Stryk. – Musimy sobie radzić. Na pewno nikogo tam nie ma?

Skinęła głową.

– Paru szeregowców weszło dość daleko. Pusto.

– Jeśli ludzie dowiedzą się o nas, będziemy jak szczury w pułapce – stwierdził Jup.

– Musimy zaryzykować – odparł Stryk. Sprawdził, czy nikt ich nie widzi. – Dobrze, przenosimy się tam, szybko. Najpierw konie.

Oddział zakradł się do kopalnianego szybu. Nie wszystkie konie weszły do ciemnego korytarza z własnej woli. Przez kilka metrów trzeba było je

ciągnąć.

Wewnątrz było wilgotno i o wiele chłodniej niż na otwartej przestrzeni.

Dzienne światło sięgało najwyżej trzydzieści kroków w głąb tunelu, który w tym miejscu zaczynał się zwężać i schodzić w dół. Dalej panowały już nieprzeniknione ciemności.

– Musimy się trzymać z daleka od wejścia – oznajmił Stryk. – Nie palić światła, jeśli to nie jest absolutnie konieczne.

Coilla wzdrygnęła się.

– Nie będę się zapuszczać aż tak daleko, żeby potrzebować światła. Nie znoszę zamkniętych przestrzeni.

Jup dotknął ściany.

– Jak myślicie, po co to wykopali?

– Może żeby znaleźć złoto – zgadywał Alfray, zmieniając zimny kompres na czole Haskeera. – Albo jakieś inne bogactwa, które dla nich mają wartość.

– Już coś takiego widziałem – powiedział Jup, trącając czubkiem buta jakieś kamienie. – Oni palą te czarne skały jak drewno. Ciekawe, kiedy wyczerpią pokłady?

– Niedługo, znając ludzi – mruknęła Coilla. – Chyba masz rację. Słyszałam, że założyli Trójcę tutaj, ponieważ w tych okolicach jest wiele czarnych gładów.

– Znowu pogwałcili ziemię – wymamrotał Jup. – Powinniśmy rozbić tę tamę, żeby dać im do myślenia.

– To by nam zajęło sporo czasu – powiedział Stryk. – Cała armia musiałaby harować w pocie czoła. Ale na razie to nie nasz problem. Musimy znaleźć słabe punkty Trójcy.

– Jeśli istnieją.

– Nie znajdziemy ich, siedząc na tyłkach.

– Więc jaki masz plan? – spytała Coilla.

– Trzeba unikać jednego: wychodzenia dużymi grupami, zwłaszcza za dnia. Dlatego rozejrzemy się wokół tylko ty, ja i Jup.

Skinęła głową.

– Bardzo chętnie. Nie spieszy mi się do jaskiniowego życia.

– Reszta zostaje tutaj i nie rzuca się w oczy – rozkazał Stryk. – Wystawić dwóch strażników, i jeszcze ze dwóch w krzakach, żeby ostrzegali o nadejściu obcych. I starajcie się uspokoić konie. A wy chodźcie.

Coilla i Jup wyszli w ślad za nim.

Powoli zaczęli się skradać w stronę miasta, korzystając po drodze z możliwych kryjówek. Przeszli jakiś kilometr, nisko przy ziemi. Byli właśnie na jednym z pól uprawnych, kiedy Coilla chwyciła Stryka za ramię.

– Padnij! – syknęła i pociągnęła go w dół.

Wszyscy troje schowali się w kukurydzy. Dwadzieścia metrów od nich byli pierwsi ludzie, których spotkali w Trójcy. Mała grupka kobiet w prostych, przeważnie czarnych sukniach, pracowała na sąsiednim polu. Zbierały jakieś plony i wkładały je do koszyków na grzbietach mułów. Dwaj uzbrojeni mężczyźni, z brodami i również ubrani na czarno, trzymali straż.

Stryk dał znak Coilli i Jupowi, by szli za nim. Cicho ominęli ludzi. Kilka metrów dalej musieli omijać robotników, których głowy wyglądały nad zasiewów.

Czołgając się na czworakach, niespodziewanie dotarli do otwartej przestrzeni. Wyjrżeli spomiędzy kukurydzianych łodyg i zobaczyli, że mają przed sobą drogę prowadzącą do wrót Trójcy. Na polach naprzeciwko nie było ludzi, więc byli gotowi przebiec na drugą stronę. Coilla już miała zrobić pierwszy krok, kiedy usłyszeli turkot nadjeżdżających wozów. Przyczaili się i obserwowali.

W polu ich widzenia pojawił się sznur pojazdów. Pierwszy jechał odkryty powóz zaprzężony w parę pięknych białych koni. Na koźle siedział

woźnica i drugi człowiek, obaj uzbrojeni po zęby i odziani w czerń. Z tyłu znajdowały się dwie osoby. One także miały czarne szaty. Jedna była najwyraźniej strażnikiem, uzbrojonym w łuk. Jednak to człowiek siedzący obok wydawał się bardziej interesujący.

On jeden miał na głowie kapelusz – wysoką, czarną rurę, którą nazywano cylindrem. Mimo że siedział, widać było, że jest wysoki, szczupły i żylasty. Miał ogorzałą twarz ze spiczastą brodą i siwiejącymi wąsami. Jego usta wyglądały jak bezkrwista kreska, oczy były czarne i płonące. Była to twarz władcza, nieprzywykła do uśmiechu.

Powóz przejechał.

Za nim ciągnęły trzy wozy zaprzężone w woły. Każdym powoził ubrany na czarno człowiek ze strażnikiem. Jechali w nich pasażerowie, tak słóczeni, że mogli jedynie stać. Wszyscy bez wyjątku byli krasnoludami.

Stryk zauważył reakcję Jupa.

Kiedy wozy zbliżyły się do bram miasta, krasnolud wypuścił wstrzymywany oddech.

– Wyobraźcie sobie, jakby to skomentował Haskeer.

– To chyba nie byli więźniowie? – spytała Coilla.

Stryk pokręcił głową.

– Powiedziałbym, że raczej robotnicy. Bardziej interesuje mnie ten człowiek w powozie.

– Hobrow?

– Z pewnością wyglądał na przywódcę.

– I miał oczy jak martwa ryba.

Przyglądali się, jak konwój staje przed bramami. Na murach pojawili się strażnicy. Wrota otworzyły się z wolna i kolumna wtoczyła się do środka. Wówczas bramy znowu zamknięto. Rozległ się zgrzyt potężnej zasuw.

– Więc to to, prawda? – odezwał się Jup. – Nasz sposób na wejście do miasta.

Stryk nie zrozumiał.

– Jak to?

– Mam to powiedzieć wyraźniej? Tam pracują krasnoludy. Ja jestem krasnoludem.

– To dość ryzykowne – zaprotestowała Coilla.

– Macie lepszy pomysł?

– Nawet, jeśli dostaniesz się do miasta, co chcesz osiągnąć? – zapytał Stryk.

– Zdobędę informacje. Poznam plan miasta i środki obronne. Może nawet zorientuję się, gdzie trzymają gwiazdę.

– Zakładając, że Mobbs miał rację – przypomniała mu Coilla.

– Nigdy się tego nie dowiemy, jeśli ktoś z nas tam nie wejdzie.

– Nie wiemy, jakie rodzaje zabezpieczeń stosują – zauważył Stryk. – Może znają wszystkie pracujące dla nich krasnoludy?

– Albo krasnoludy znają się nawzajem – dodała Coilla. – Jak zareagują na obcego?

– Nie twierdzę, że to nie będzie niebezpieczne – odparł Jup. – Ale możemy założyć, że ludzie nie znają krasnoludów z imienia. Z tego, co wiem o tym mieście i o ludziach, dla starszych ras mają jedynie pogardę. Nie będą się wysilać zapamiętywaniem imion.

Coilla zmarszczyła brwi.

– To ryzykowne założenie.

– Ale to ryzyko, które należy podjąć. A może krasnoludy nie zauważą obcego? To może nie być problem. Widzieliście, te krasnoludy pochodziły z co najmniej czterech różnych plemion.

– Jak to poznałeś? – zdziwił się Stryk.

– Głównie po ubiorze. Chustki różnych kolorów, charakterystyczny krój kamizelek i tak dalej. Wszystko to wskazuje na pochodzenie.

– A co u ciebie wskazuje na twoje plemię? – spytała Coilla.

– Nic. Wszystkiego musiałem się pozbyć, kiedy przechodziłem pod rozkazy Jennesty. Żeby nikt nie miał wątpliwości, komu jesteśmy wierni. Ale to bez trudu da się załatwić.

Stryk nadal nie był przekonany.

– Strasznie dużo tych wątpliwości, Jup.

– Jasne, a jeszcze nie wspomniałem o najpoważniejszej. Oni tam muszą mieć jakiś system sprawdzania wchodzących i wychodzących robotników. Na przykład mogą ich liczyć.

– Czyli nie możesz tak po prostu wmieszać się w ich szeregi. Nawet jeśli znajdziemy na to sposób.

– Właśnie. Muszę zająć miejsce jednego z nich.

– Niby jak, do cholery? – spytała Coilla. Szczerze mówiąc, nie wiem. Ale gdyby udało się to zrobić, byłibyśmy do przodu. Po pierwsze, nie sądzę, żeby krasnoludy zwróciły aż taką uwagę na nową twarz, bo i tak pochodzą z różnych plemion. Po drugie, ludzie nas nie rozróżniają. Jak zresztą wszystkich starszych ras, jak wiecie.

– !;..'? – ponagliła go Coilla.

– Ludzie nie będą się spodziewać, że do ich miasta wtargnie krasnolud, który jest ich wrogiem.

Stryk powoli pokręcił głową.

– Nie zrozum mnie źle, Jup, ale twoja rasa jest znana z... powiedzmy: z giętkiego kręgosłupa. Ludzie wiedzą że krasnoludy walczą dla obu stron.

– Nie obrażłem się. Wiesz, że od dawna przestałem przeproszać za czyny mojego ludu. Ale powiedzmy, że nie będą się spodziewać, iż samotny krasnolud okaże się na tyle szalony, by wdrzeć się do twierdzy. A pamiętaj, że pod pewnymi względami ludzie przypominają starsze rasy – widzą to, czego się spodziewają. Wykorzystują krasnoludy. Jestem krasnoludem. Miejmy nadzieję, że nic więcej nie przyjdzie im do głowy.

– Oby – mruknęła Coilla nieco drwiącym tonem. – Ludzie to dranie, ale

nie półgłówki.

– Jestem tego świadomy.

– A co zrobisz z tatuażami? – Wskazała blizny na jego twarzy.

– Korzeń garva. Trzeba go utrzyć z wodą i dodać odrobinę gliny dla koloru. To je pokryje, a kolor będzie pasować do odcienia mojej skóry.

– Chyba, że ktoś przyjrzy ci się bliżej – dodał Stryk. – Cholernie ryzykujesz.

– Wiem. Ale tak w ogóle to się zgadzasz?

Stryk zastanawiał się przez chwilę.

– Nie widzę innego wyjścia. Więc... tak.

Jup uśmiechnął się.

Instynkt kazał im wyjrzeć, czy w pobliżu nie ma ludzi. Nie było.

– Tylko się jeszcze nie ciesz – ostrzegła Coilla. – Musimy opracować ten plan od strony praktycznej. Na przykład, jak zamienimy cię na jednego z robotników.

– Masz jakiś pomysł? – spytał Stryk.

Cóż, zakładając, że krasnoludy przyjeżdżają tu codziennie, moglibyśmy napaść na jeden z wozów. Wtedy zabralibyśmy jednego pasażera, a Jup skorzystałby z okazji i wmieszał się między robotników.

– Nie. Zbyt wiele mogłoby się nie udać, a ludzie zorientowałiby się, że coś się święci.

– Masz rację. To się nie uda. A ty co sądzisz, Jup?

– Przychodzi mi do głowy tylko to, że moglibyśmy pójść tam, skąd biorą robotników. Przecież muszą gdzieś mieszkać. To na pewno niedaleko. Nie woziliby ich, gdyby droga była długa. Gdzieś tu musi być wioska albo obozowisko.

– To ma sens – zgodził się Stryk. – Odnajdziemy je, jeśli pójdziemy za wozami, kiedy będą wracać.

– Właśnie. Oczywiście pieszo, ale te wozy jadą dość wolno.

– Więc miejmy nadzieję, że wioska jest naprawdę blisko. – Zastanawiał się przez chwilę – Zróbmy to. Coilla, wracaj do pozostałych i powiedz im o naszych planach. Potem przyprowadź tu paru szeregowców. Zaczekamy na przyjazd wozów.

– Zdajesz sobie sprawę, że to szaleństwo, prawda?

– Szaleństwo to coś, w czym zaczynamy mieć już wprawę. Zbieraj się.

Uśmiechnęła się blado i oddaliła.

Wozy z krasnoludami opuściły bramy Trójcy o zmroku. Tym razem nie było z nimi powozu.

Stryk, Coilla, Jup i dwaj żołnierze przepuścili je i zaczęli, aż się oddalą. Potem pochyleni, zaczęli się skradać za konwojem. Kiedy skończyły się pola, musieli szukać innych osłon, ale mieli wystarczające doświadczenie, by im się to udawało. Na szczęście wozy sunęły tak wolno, że podążanie za nimi nie sprawiło im żadnego kłopotu.

W końcu trzy wozy zjechały z drogi i ruszyły po łące w stronę zatoki Calyparr. Orkowie śledzili je przez prawie cztery kilometry. W chwili, gdy Stryk zaczął się niepokoić, że jadą do samej zatoki, skręciły na polanę i zatrzymały się.

Orkowie przyglądali się, jak krasnoludy wysiadają. Zaczęły się rozchodzić w różnych kierunkach, grupami i pojedynczo.

– Więc to jednak punkt zborny, a nie wioska – odezwał się Stryk.

– Pewnie zbierają robotników z całej okolicy – podsunął Jup. – To lepiej dla nas. Nikt nie zauważy zniknięcia jednego.

Wozy zawróciły i ruszyły do Trójcy. Orkowie opuścili głowy, kiedy przejeżdżały obok nich, dużo szybciej, bo bez balastu. Paru krasnoludów minęło ich również, nie zauważając.

– Na razie w porządku – ocenił Stryk. – Teraz zaczekamy do rana, aż po nich przyjadą. – Wyznaczył godziny warty.

Noc minęła spokojnie.

Tuż po świcie na polanie zaczęły się pojawiać krasnoludy. Jup zawiązał na szyi rdzawą chustkę – symbol mało znanego i dalekiego plemienia. Potem pokrył policzki pastą z korzenia garva, która zakryła tatuaże. Wbrew obawom Stryka, że nie będzie wyglądać przekonująco, Jup zaprezentował się nad podziw dobrze.

– Teraz potrzeba nam jednego robotnika – powiedział – i to z daleka od tej polany.

Zaczęli wypatrywać odpowiedniego kandydata. Jeden z szeregowców trącił Stryka i wskazał samotnego krasnoluda, brnącego przez wysoką trawę po prawej stronie.

Jup poruszył się.

– Ja to zrobię.

Stryk położył mu rękę na ramieniu.

– Ale...

– To muszę być ja. Rozumiesz, prawda?

– Dobrze. Ale weź Coillę, niech cię ubezpiecza.

Ruszyli, skradając się cicho.

Pozostali patrzyli, jak krasnolud, którego namierzyli, idzie w kierunku polany, a jednocześnie obserwowali innych robotników w punkcie zbornym.

Nagle samotny krasnolud zniknął, a w trawie coś zaszeleściło. Po chwili pojawił się Jup i ruszył ku czekającym wozom.

Orkowie przyglądali się w napięciu, gotowi w każdej chwili pospieszyć mu na pomoc. Jup szedł spokojnym, niespiesznym krokiem.

– Dobrze udaje, muszę mu to przyznać – szepnął Stryk.

W trawie zaszeleściło i pojawiła się Coilla.

– Doszedł?

– Prawie – odpowiedział Stryk.

Jup dotarł na polanę, po której kręciło się już kilka tuzinów krasnoludów.

Nastąpiła chwila napięcia: pierwsza próba z wielu. Jednak żaden krasnolud ani woźnica nie zwrócił na niego szczególnej uwagi. Parę minut później zaczęli wsiadać. Jup, do tej pory nieco na uboczu, musiał się znaleźć blisko nich. Kolejny sprawdzian: przebrania.

Orkowie patrzyli z zapartym tchem.

Jup wmieszał się w tłum i wsiadł na wóz. Żadnego zamieszania ani krzyków. Zatrzaśnięto klapy wozów. Trzasnęły baty i woły ruszyły.

Orkowie, wciąż w bezruchu, przyglądali się przejeżdżającemu konwojowi. Po chwili ruszyli za nim. Konwój bez zwłoki dotarł do Trójcy.

Ale kiedy wozy sunęły drogą ku bramom miasta, orkowie zobaczyli w polu większą grupę ludzi niż poprzedniego dnia. Znowu były to głównie kobiety, a strzegło ich więcej strażników.

Musieli uważać, by nie zostali zauważeni, ani też, by zbyt blisko zbliżyli się do murów miasta. Jednak udało im się znaleźć punkt obserwacyjny w polu pszenicy, skąd mogli obserwować przejazd wozów. Tak jak przedtem na murach pojawili się wartownicy, którzy przyjrżeli się przybyszom. Po chwili skrzypnęła ogromna brama. I znowu dostrzegli kuszące mgnienie wnętrza. Wozy wtoczyły się do środka. Ubrani na czarno ludzie podbiegli, by zamknąć wrota.

Zatrzasnęły się z głośnym trzaskiem.

Stryk miał nadzieję, że nie staną się grobem Jupa.

ROZDZIAŁ 18



Wielkie wrota zatrzasnęły się za Jupem ze straszną ostatecznością. Krasnolud rozejrzył się dyskretnie. Przede wszystkim w oczy rzuciło mu się parę tuzinów strażników w czarnych mundurach i z bronią.

W Trójcy panował niemal wojskowy porządek. Wszystkie budynki stały równo w rzędach. Były tam chaty o dachach krytych strzechą, wystarczająco duże, by pomieścić rodzinę. Inne, większe, przypominały baraki i były zbudowane z drewnianych bali. Wszystkie bez wyjątku nieskazitelnie schludne. Wieże widoczne zza dachów wyglądały równie poprawnie. Krajobraz przecinały drogi i alejki proste jak strzały. Nawet nieliczne drzewa stały w szeregach, jak na apelu.

Ludzie – mężczyźni, kobiety i dzieci – krzątali się wokół swoich spraw ze sztywną obowiązkowością. Podobnie jak strażnicy, mężczyźni byli ubrani w surową czerń. Te kobiety i dzieci, które nie nosiły czerni, miały na sobie szaty brzydkie i nijakie.

Ledwie Jup zdołał się rozejrzeć, wraz z innymi krasnoludami – z których żaden nie odezwał się do niego – został spędzony z wozu.

Nadszedł czas następnej próby. Teraz dowie się, czy ludzie mają listy z nazwiskami najemnych pracowników. Jeśli tak, czekają go nieprzyjemne, a może i ostatnie chwile.

Jak to było do przewidzenia w mieście ogarniętym obsesją symetrii i porządku, krasnoludy zostały ustawione w równe szeregi przy wozach. Następnie ku uldze Jupa wzdłuż każdego szeregu przeszedł człowiek, trącający palcem każdego krasnoluda na znak liczenia. Człowiek w szeregu Jupa poruszał ustami, ale, nie podniósł nawet wzroku, kiedy go mijał.

Jup zastanawiał się właśnie, co będzie dalej, kiedy przy drzwiach jednego z baraków wszczęło się zamieszanie. Na progu stanął człowiek, którego on, Stryk i Coilla widzieli poprzedniego dnia w powozie i uznali za Kimballa Hobrowa.

Jego oczy były równie lodowate, twarz nadal pozbawiona uśmiechu. Jup próbował znów odgadnąć, ile lat może mieć ten człowiek. Bliższa obserwacja nie zdradziła wiele więcej niż pierwsze przelotne spojrzenie, ale Jup uznał, że według ludzkich kryteriów jest on w średnim wieku, choć w przypadku tej rasy ocena zawsze przychodziła mu z trudem. Podobno istniał jakiś sposób na obliczenie ich wieku, tak jak w przypadku psów i kotów, ale za nic nie mógł go sobie przypomnieć.

Jedno było pewne: Kimball miał charyzmę. Otaczała go aura władzy, autorytetu i jakby groźby.

Osadnicy zamilkli i rozstąpili się przed nim. Podeszedł do wozu i usiadł na koźle. W ten sposób dodał sobie jeszcze wzrostu, którego i tak los mu nie poskąpił. Powiódł uważnym spojrzeniem po krasnoludach. Jup wbrew samemu sobie cofnął się trochę pod tym przeszywającym wzrokiem.

Hobrow podniósł ręce w geście nakazującym milczenie, choć i tak powitała go cisza.

– Jestem Kimball Hobrow! – zagrzemiał. Zabrzmiało to niemal jak doniosłe stwierdzenie, a nie zwykła informacja. Głos miał niski i jedwabisty, niepasujący do jego szczupłej postaci.

– Niektórzy z was są tu nowi – ciągnął Hobrow.

Jup przyjął tę wiadomość z ulgą. Jego położenie stawało się nieco

bardziej znośne.

– Ci, którzy już tu byli, będą musieli jeszcze raz wysłuchać, co mam co powiedzenia – ciągnął Hobrow – lecz nie zawadzi wbić to sobie do głowy. Róbcie, co wam każemy, i nie zapominajcie, że jesteście tu gośćmi, których zaprosiliśmy, by moi ludzie mogli się zająć ważniejszymi zadaniami.

Więc będziemy wygarniać nawóz, pomyślał Jup. Co za niespodzianka.

Hobrow zmierzył zebranych spojrzeniem martwych oczu i zrobił pauzę, bez wątpienia dla efektu.

– Istnieją tu rzeczy, które wolno robić, i takie, których nie wolno. Wolno wam pracować ciężko, za co zostaniecie wynagrodzeni. Wolno wam okazywać szacunek lepszym od was. Wolno wam wyrażać szacunek dla naszej wiary w jedyne go prawdziwego Najwyższego Stwórcy.

Tyle na temat kija, pomyślał Jup. Gdzie marchewka?

– Nie wolno wam pozwalać sobie na lenistwo, bezczelność, nieposłuszeństwo, rozwiązłość i plugawy język.

O bogowie, pomyślał Jup, to pierwsze było marchewką.

– Nie tolerujemy alkoholu, krystalinu i innych używek. Nie będziecie się odzywać bez pytania do żadnego obywatela tego miasta i będziecie bez sprzeciwu wykonywać wszelkie rozkazy waszego nadzorca lub obywatela. Będziecie posłuszni prawom tego miasta, które są prawami naszego Pana. Jeśli je złamiecie, zostaniecie ukarani. Podobnie jak Najwyższa Istota mogą odebrać to, co dałem.

Powiódł po nich zimnym spojrzeniem. Jup zauważył, że niewielu krasnoludów spoglądało prosto w te niepokojące oczy. Sam także usiłował ich unikać, choćby po to, by nie zwracać na siebie uwagi.

Hobrow zdjął kapelusz, ukazując czarną czuprynę przetkaną srebrnymi nitkami.

– Teraz pomodlimy się o powodzenie naszych uczynków – oznajmił.

Jup zerknął na innych. Ci, którzy mieli kapelusze, zdjęli je. Idąc za ich

przykładem, skłonił głowę, choć czuł się głupio. Dlaczego to było konieczne? Nie wiedział. On nigdy nie robił takich sztuczek, kiedy musiał porozmawiać ze swoimi bogami. To, czy go słuchają, nie miało żadnego związku z kapeluszami.

– O Panie, który stworzyłeś wszelkie życie – zaczął Hobrow – pokornie błagamy, byś zechciał wysłuchać naszej modlitwy.

Pobłogosław trud tych nędznych stworzeń i pomóż nam wyrwać je z ignorancji i pogaństwa. Pobłogosław także dzieło Twoich wybrańców, byśmy mogli Ci służyć i oddawać cześć. Umocnij ramię nasze, gdy wypełniamy misję, będąc narzędziem Twego gniewu, o Panie. Pozwól nam być twoim mieczem i tarczą przeciwko nieprawym i bluźniercom. Zachowaj naszą rasę w czystości i zdław bez litości naszych i Twoich wrogów. Uczyń nas prawdziwie wdzięcznymi za nieskończone dary, którymi nas obsypujesz.

Hobrow chwycił bez słowa kapelusz, włożył go, zszedł z wozu i ruszył do budynku, z którego się wyłonił. Garstka jego sprzymierzeńców szła za nim z szacunkiem.

– Dość radykalny, co? – mruknął Jup do krasnoluda stojącego obok niego.

Ten zignorował uwagę Jupa. Zmierzył go z poważną miną od stóp do głów, lecz bez zbytej ciekawości.

Ale będzie miło, pomyślał Jup.

Strażnik, a raczej nadzorca, jak miał go nazywać Jup, zajął miejsce Hobrowa na koźle wozu. Kilku innych stało z tyłu.

– Wy, nowi, zostaniecie tutaj i zaczekacie na przydział obowiązków – oznajmił. – Ci, którzy znają swoje powinności, niech idą do pracy.

Prawie wszystkie krasnoludy rozeszły się w różnych kierunkach.

– Zbierzcie się tutaj o zmierzchu, gdy przyjadą wozy! – zawołał za nimi. Został tylko Jup i czterech innych. Teraz, gdy nie krył się już w tłumie,

czuł się bardziej bezbronny. Czterej pozostali zbliżyli się do nadzorcy. Nie chcąc się wyróżniać, zrobił to samo.

– Słyszeliście słowa naszego pana – oznajmił nadzorca. – Lepiej, byście ich usłuchali. Mamy sposoby na to, by ukarać za nieposłuszeństwo – dodał złowrogo. Spojrzał na arkusz pergaminu. – Potrzebujemy jeszcze trzech do budowy na placu Centralnym. Ty, ty i ty – wskazał. – Idźcie za nim.

Jeden z nadzorców skinął na nich i ruszyli za nim.

Człowiek zajął się następną pozycją na liście.

– Potrzebujemy jednego do kopania nowego szamba po stronie południowej.

Jup uznał, że – biorąc pod uwagę jego pech – to zadanie pewnie dostanie się jemu.

– Ty.

Nadzorca wskazywał drugiego krasnoluda, który odszedł z nieszczęśliwie promienną miną.

Jup, który został sam na placu, poczuł się niezręcznie. Przyszło mu do głowy, że jednak ktoś go rozpoznał i to pułapka. Nadzorca patrzył na niego surowo.

– Jesteś silny – oznajmił.

– E... tak, chyba tak.

– Masz się do mnie zwracać „panie” – poinformował go zimno nadzorca. – Wszyscy ludzie są twoimi panami.

– Tak... panie – wykrztusił Jup, walcząc z nienawiścią do przybłądy.

Nadzorca znowu spojrzał na pergamin.

– W arboretum potrzebny jest nowy pracownik.

– Gdzie? – spytał Jup i dodał szybko – .. .panie?

– W cieplarni. Hodujemy tam rośliny, które potrzebują ciepła. Twoim zadaniem jest karmić ogień, który ogrzewa... – Machnął ręką. – Tam ci wszystko wytłumaczą.

Jup poszedł za nadzorcą. Człowiek milczał, a on także nie próbował zaczynać rozmowy.

Miał nadzieję, że dostanie pracę, która pozwoli mu swobodnie myszkować po mieście. Nie wiedział, czy mu się poszczęściło. Raczej nie, biorąc pod uwagę, jak poważnie traktowano tu dyscyplinę. Pod koniec dnia nie zyska nic prócz pęcherzy na rękach. I może stryczka.

Szedł – o parę kroków za człowiekiem – mijając precyzyjne aleje i budynki, w najmniejszy sposób nieróżniące się od siebie. Na końcu ulicy skręcili w prawo i znaleźli się na dokładnie takiej samej drodze co poprzednia. Ta identyczność zaczęła trochę niepokoić Jupa.

Znowu skręcili. Tym razem droga wyróżniała się jednym szczegółem: największym budynkiem, jaki Jup do tej pory zobaczył w Trójcy. Był co najmniej cztery lub pięć razy większy od pozostałych, a zbudowano go z granitowych płyt.

Oprócz rozmiarów wyróżniał go wielki owal nad podwójnymi dębowymi drzwiami. Ten owal – okno – był wielkości trzech mężczyzn. A co ważniejsze, był wyłożony szkłem. Jup tylko raz widział szkło – w pałacu Jennesty – i wiedział, że to rzadki i drogi materiał, którego proces wytwarzania jest bardzo skomplikowany. Tutaj szkło miało niebieski kolor, a na środku szyby widniał bezbarwny znak, X Jedów. Jup doszedł do wniosku, że to świątynia. Strażnik zauważył, że przygląda się budynkowi, więc szybko spuścił wzrok i udał obojętność.

Zaczął się zastanawiać nad tym, co musi dziś zrobić. Choć dobrze ukrył ciało tamtego krasnoluda, istniało duże ryzyko, że ktoś je odnajdzie i zaczną się pytania.

Minęli świątynię, znowu skręcili i znaleźli się przy kolejnej dużej niezwyklej budowli. Była mniejsza od świątyni, lecz bardziej niezwyklej. Jej mury – kamienne płyty wielkości cegły – nie przewyższały Jupa. Nad nimi wznosiła się ściana przejrzystego szkła w drewnianych ramach, która

kończyła się pod płaskim dachem. Budynek miał kształt skrzyni, co najmniej dwie trzecie stanowiło szkło, a na szybach osiadła mgła. Jup widział przez nią tylko plataninę ostrych kształtów i słaby przebłysk zieleni.

Na końcu budynku znajdowała się przybudówka z kamienia i drewna. Tu nie było szyb. I tu wszedł nadzorca.

Wewnątrz uderzył ich podmuch gorąca.

Jup zauważył, że pomiędzy przybudówką a szklanym domem – najwyraźniej było to właśnie arboretum – nie było ściany. W całym pomieszczeniu panowała parna atmosfera. Ciepłarnia była pełna małych i wielkich roślin. Stały w pojemnikach na podłodze i półkach. Niektóre kwitły, inne nie. Były wśród nich wysokie, smukłe odmiany, krótkie i krzaczaste oraz inne, wyglądające na pnącza. Żadnej z nich nie znał.

W budynku o pobielonych ścianach, do którego wszedł Jup, znajdowały się trzy wielkie piece. We wszystkich huczał ogień. Obok czekały gotowe do wrzucenia w nie sterty drewna i czarnych łatwo palnych gładów. Teraz stało się jasne, jak zużywa się surowiec pozyskany z kopalni i lasu.

Nad paleniskami biegło szerokie gliniane koryto, z którego unosiła się para. Koryto wchodziło do budynku przez otwór w ścianie. Znajdowała się w nim woda, którą piece podgrzewały i przenosiły do sieci zamkniętych rur, oplatających całą ciepłarnię.

Całkiem zmyślny wynalazek. Jup przyznał to z podziwem, choć nie miał pojęcia, do czego mógłby służyć.

W pomieszczeniu znajdowały się dwa krasnoludy. Jeden wrzucał do palenisk czarne gładzi, drugi – drewno. Byli spoceni i usmoleni. Na krześle nieopodal drzwi, jak najdalej od pieców, siedział człowiek. Na widok Jupa i nadzorcy wstał.

– Witaj, Sterling – odezwał się do nadzorcy.

– Witaj, Istuan – odpowiedział ten. – Nowy dla ciebie – dodał, wskazując Jupa kciukiem, lecz nie racząc na niego spojrzeć.

Istuan także nie zaszczyił Jupa spojrzeniem.

– No, wreszcie – burknął. – Trudno nam utrzymywać temperaturę z tymi dwoma.

Jup uśmiechnął się w duchu na to „nam”.

Sterling pożegnał się i wyszedł.

– Tam dalej są kotły z wodą – wyjaśnił Istuan bez uśmiechu. – Woda płynie tym kanałem nad paleniskiem. – Wskazał ręką. – Musi być ciągle gorąca, żeby rośliny były szczęśliwe.

Mówił wolno i prosto, jak do głupiego zwierzęcia.

– Co to za rośliny, panie? – spytał Jup.

Istuan drgnął, jakby nie spodziewał się, że zwierzę przemówi. Na jego twarzy szybko pojawiła się podejrzliwość.

– Nie twoja sprawa. Musisz tylko wiedzieć, że woda nie może się ochłodzić. Jak się ochłodzi, dostaniesz baty.

– Tak, panie – odpowiedział Jup, udając stosowne przerażenie.

– Twoim zadaniem jest donoszenie opału, sprawdzanie poziomu wody w zbiornikach i wynoszenie popiołu, kiedy to będzie potrzebne. Zrozumiano?

Jup skinął głową.

– Więc łap za łopatę i przynieś stamtąd opał – rozkazał nadzorca i wskazał drzwi w bocznej ścianie.

Prowadziły na zamknięte podwórze, na którym piętrzyły się góry drewna i łatwo palnych skał, a także stało parę drewnianych kadzi, podobnych do bardzo dużych beczek na nóżkach. Była w nich woda. Jup zaczął uzupełniać zapasy opału.

Była to robota, od której pękał kręgosłup, a że ani krasnoludy, ani nadzorca nie byli w nastroju do rozmów, Jup wykonywał ją w milczeniu.

Jakąś godzinę później nadzorca wstał i przeciągnął się leniwie.

– Muszę złożyć raport – powiadomił ich. – Nie próżnować. I żeby mi ten ogień nie wygasł.

Po jego odejściu Jup usiłował wciągnąć krasnoludy do rozmowy.

– Dziwne rośliny – powiedział.

Jeden wzruszył obojętnie ramionami. Drugiemu nawet tego się nie chciało. Żaden się nie odezwał.

– Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś takiego. – Jup był uparty.

– To chyba nie warzywa.

– A, jakieś tam zioła – odezwał się w końcu jeden. – Na lekarstwa...

– Naprawdę? – Jup podszedł do roślin, żeby przyjrzeć się im z bliska.

– Nie wolno tam chodzić! – krzyknął ostro krasnolud. – To zakazane.

Jup posłusznie rozłożył ręce.

– Dobrze. Byłem tylko ciekaw.

– To nie bądź. Pracuj i zarabiaj.

Jup wrócił do pracy i już milczał. Po powrocie nadzorcy dostał zadanie zmierzenia miarką poziomu wody w kadziach.

Okazało się, że trzeba je napełnić, co było prawdziwym uśmiechem losu. Nadzorca i oba krasnoludy musieli pojechać po świeżą wodę. Człowiek ostrzegł Jupa, by dobrze pilnował ognia i wraz z krasnoludami odjechał wozem.

Gdy tylko został sam, Jup przyjrzał się roślinom. Nadal nie rozpoznawał żadnej, co nie było dziwne, bo nigdy go nie interesowały. Jednak uznał, że nie zawadzi zanieść Rosomakom próbki. Wybrał trzy rośliny na chybił trafił i ostrożnie uszczknął z nich nieco liści. Przyszło mu do głowy, że wszyscy opuszczający Trójcę mogą być rewidowani, więc zdjął jeden but i wyłożył go liśćmi.

Zdawał sobie sprawę, że to może być jego jedyna szansa, dlatego odważył się na większe ryzyko. Napełnił piec tak, by ogień płonął aż do jego powrotu, po czym otworzył ostrożnie drzwi i wyjrzał na ulicę. Była pusta. Wymknął się na zewnątrz.

Kiedy szedł z nadzorcą, widział na ulicach krasnoludów najwyraźniej

niosących wiadomości lub wypełniających polecenia. Szedł więc zdecydowanym krokiem, licząc, że każdy spotkany człowiek uzna go za posłańca.

Już postanowił, dokąd pójdzie, choć szanse powodzenia były nikłe. Skoro pośrednik służył Jedom do praktyk religijnych, logika podpowiadało mu, że trzymają go w świątyni. Dlatego ruszył ku niej.

Nikt nie musiał mu tłumaczyć, że krasnolud nie jest mile widziany w ludzkiej świątyni. Ani że kara za przyłapanie w niej będzie okrutna. Ale nie po to zaryzykował wdarcie się do Trójcy, by opuścić ją z niczym.

Tak jak przedtem drzwi świątyni były zamknięte. W środku mogli się znajdować ludzie. Całe tłumy.

Nabrał powietrza w płuca, podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. Ustąpiła. Zajrzał do wnętrza. Świątynia była pusta. Szybko wśliznął się do środka.

Wnętrze było skromne do granic surowości, ale odznaczało się pewną elegancją wynikającą jednak nie z upiększeń, a z wykorzystania różnych rodzajów drewna. Przed prostym ołtarzem stały rzędy ławek. Sufit był wysoki, łukowato sklepiony.

Najbardziej uderzającym elementem wystroju było niebieskie owalne okno nad drzwiami; teraz, gdy Jup znalazł się wewnątrz świątyni, przekonał się, że stanowiło bliźniacze powtórzenie okna znad ołtarza. To drugie okno różniło się jedynie rubinową barwą, ale na środku także miało symbol Jedów. Promienie słoneczne prześwietlały je i rzucały wydłużony cień na podłogę z wypolerowanej sośniny.

Jup zakradł się pod ołtarz. On także był bardzo skromny: zwykły biały obrus, metalowy symbol Jedów, para drewnianych świeczników, prosty srebrny kielich. I szkatułka z cennego przezrzystego szkła.

Zawierała gwiazdę.

Jup sądził, że inne pośredniki będą wyglądały tak samo jak ten, który już

posiadali. Mylił się. Przedmiot, na który patrzył, miał takie same rozmiary i kolce. Jednak podczas gdy ich gwiazda miała kolor płowy, ta była zielona, a promieni wychodzących z jej środka było nie siedem, a pięć, i były inaczej rozmieszczone.

Zawahał się. Instynkt podpowiadał mu, by rozbić szkło i zabrać gwiazdę w nadziei, że zdoła ją wynieść z miasta. Ale rozsądek był zdania, że to zły pomysł – być może samobójczy.

Podjęcie decyzji musiał odłożyć na później, bo przed świątynią rozległy się głosy. Do drzwi zbliżało się kilka osób. Budynek nie miał drugiego wyjścia. Bliski paniki Jup rozejrzał się za kryjówką. Nie znalazł żadnej – z wyjątkiem ołtarza. Rzucił się ku niemu jednym skokiem dokładnie w chwili, gdy otworzyły się drzwi.

Leżąc płasko na podłodze, ośmielił się wyrzeć zza ołtarza.

Kimball Hobrow wszedł do środka, zdejmując kapelusz. Towarzyszyło mu dwóch równie ponurych ludzi. Szli rzędem między ławkami. Jupowi przemknęło przez głowę, że wszystko się wydało i idą po niego. Zacisnął pięści, zdecydowany nie oddać życia bez walki.

Ale oni zatrzymali się przed ołtarzem i usiedli w pierwszych ławkach. Jup uznał, że chcą oddać cześć swemu bóstwu. Tu także się pomylił.

– Jak postępują sprawy wody, Tadeuszu? – spytał Hobrow.

– Wszystko załatwione. Nawet dziś, jeśli to konieczne, możemy zacząć czerpać z naszych strzeżonych źródeł.

– A esencje? Rozpuszczą się w wodzie, nie budząc podejrzeń?

– W wodzie są nierozpoznawalne. Dopiero, kiedy zaczną działać... Za dwa dni przeprowadzimy ostatnie testy.

– Dopilnuj tego. Nie zniosę żadnych opóźnień.

– Tak, panie.

– Rób to z sercem, Tadeuszu. Boski plan rozwija się dobrze, a kiedy zatryumfujemy, plaga rozprzestrzeni się na cały kraj. Dzień wyzwolenia

naszej rasy jest blisko, bracia. Podobnie jak usunięcie zarazy Mnogów.

Jup nie rozumiał, o czym mówią, ale nie brzmiało to dobrze. Hobrow nagle wstał i podszedł do ołtarza. Krasnolud znieruchomiał. Nie widział dobrze, ale miał wrażenie, że Hobrow patrzy na gwiazdę albo dotyka szkatułki. Na szczęście po chwili odwrócił się do swoich popieczników.

– Nie możemy zapominać, że krucjata do Rysu jest równie ważna jak to. Czy jesteśmy dość silni, Cahlercie?

Na wzmiankę o ojczyźnie trolli Jup nastawił uszu.

– Bitwa w Dolinie Tkacza odbyła się nie w porę – odpowiedział drugi mężczyzna, trochę nerwowo, jak się wydało Jupowi. – Zbyt wielu straciło z oczu plan. Minie parę tygodni, zanim odzyskamy wystarczającą liczbę wojowników.

Hobrow nie był zadowolony.

– To nie wystarczy. Nieboscy mają to, co musi należeć do nas. Nie można zawieść Pana.

– Nie możemy rozpocząć działań wojennych, dopóki nie będziemy mieli pełnej armii. To grozi katastrofą.

– Więc sprowadź więcej nieludzi, by nasi mogli porzucić pracę. Nic nie może zaszkodzić naszemu planowi, bracia. Jutro porozmawiamy znowu. A teraz wracajcie do swoich obowiązków i ufajcie Panu. Wykonujemy Jego dzieło i nie możemy ponieść klęski!

Słudzy Hobrowa odeszli, lecz on sam został. Wrócił na ławkę, splótł ręce i pochylił głowę.

– Daj mi siłę, której mi potrzeba, Panie – zaintonował. – Pragniemy wypełnić Twoje plany, lecz musisz nam dać to, czego potrzebujemy. Pobłogosław naszą pracę nad oczyszczeniem tych ziem, by Twój wybrany lud mógł bez przeszkód zbierać z nich plony.

Jup zaczął się niepokoić. Jeśli Hobrow zabawi tu dłużej, będą kłopoty.

– Opromień swoim boskim błogosławieństwem także naszą wyprawę do

gniazda pogańskich nie ludzi w Rysie. Pozwól nam odebrać im to, co posiadają, a czego potrzebujemy, by wypełnić Twoje rozkazy. Umocnij mego ducha, o Panie, i nie pozwól się zachwiać, gdy będę Ci służyć.

Wstał i wyszedł ze świątyni.

Jup zmusił się, by odczekać chwilę. Drżąc, uchylił nieznacznie drzwi. W pobliżu nie widział nikogo; wyszedł i ruszył przed siebie tak szybko, jak to było możliwe, by nie rzucać się w oczy. Przez cały czas zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

W cieplarni przeżył chwilę niepokoju; nie wiedział, czy tamci już wrócili, i czy pod jego nieobecność nie zajrzał tu inny nadzorca.

Ale budynek był pusty. Ogień przygasł niebezpiecznie. Jup jak szalony zaczął ładować opał do pieców. Prawie skończył, kiedy na zewnątrz rozległ się turkot wozu.

Istuan wszedł i obrzucił pomieszczenie krytycznym wzrokiem. Jup przygotował się na oskarżenia.

– Spoczęłeś się – powiedział nadzorca. Zabrzmiało to niemal jak komplement.

Jup uśmiechnął się blado i skłonił głowę, zbyt zdyszany, by odpowiedzieć.

Przydzielono go do przelewania wody z wozu do kadzi. Potem czekały go kolejne wyczerpujące zadania. Nie protestował. Miał czas się zastanowić. Doszedł do wniosku, że jednak osiągnął cel. A przynajmniej dowiedział się, gdzie jest gwiazda. Zdobył też inne informacje, choć niewiele z nich zrozumiał.

W drodze powrotnej jego towarzysze nadal milczeli. Na ulicy wiodącej do bram minął ich powóz Hobrowa. Obok niego siedziała młoda samica, ubrana efektowniej niż jakakolwiek istota, którą Jup zobaczył w Trójcy. Nie była już dzieckiem, lecz jeszcze i nie kobietą. Była tęga, niemal tłusta. Włosy miała koloru miodu, a oczy niebieskie jak porcelana. Ale Jupowi

wydawało się, że na jej pochmurnej twarzy maluje się chciwość i złośliwość. Miała nieprzyjemne usta.

Kiedy dumny Hobrow i wyniosłe dziewczę minęli ich, Jup spytał towarzyszy, kto to.

– Córka Hobrowa – odpowiedział ten bardziej rozmowny i po raz pierwszy tego dnia uśmiechnął się blado. Ale w tym uśmiechu nie było wesołości.

– Co cię śmieszy?

Jej imię. Nazywa się Litość. Przybyli do głównej bramy. Inne krasnoludy już czekały przy wozach. Przeliczono ich i, tak jak się spodziewał, zrewidowano. Ograniczono się jednak do obmacania ubrania i szybkiego przejrzania kieszeni. Nikt, dzięki bogom, nie chciał zajrzeć do butów Jupa. Przynajmniej to potwierdziło jego podejrzenia, że przemycenie gwiazdy nie byłoby najlepszym pomysłem.

Wciśnięto mu w rękę parę monet i już wsiadał na wóz.

Otwierające się wrota wydały mu się najpiękniejszym widokiem tego dnia.

ROZDZIAŁ 19



Nup, już bezpieczny w szybie, relacjonował Rosomakom wypadki tego dnia. Alfray z zainteresowaniem badał próbki roślin.

– Dobrze się spisałeś – pochwalił Stryk – ale nie jestem za tym, żebyś tam wracał. Pomijając wszystko inne, za wielkie ryzyko, że ktoś zgłosi zaginięcie krasnoluda, którego zabiłeś.

– Wiem. Wierz mi, sam nie myślę o tym z entuzjazmem. Ale jeśli chcemy dostać tę gwiazdę, nie widzę innego wyjścia.

– Znalezienie to jedno, a wydostanie jej to coś zupełnie innego – odezwała się Coilla. – Jaki mamy plan?

– Zastanawiałem się, czy nie mógłbym jej jakoś wam przerzucić przez mur – podsunął Jup.

Stryk nie był zachwycony.

– Niepraktyczne.

– A może zrobić kopię gwiazdy i wymienić ją na prawdziwą? – wtrąciła Coilla.

– Niezły pomysł. Ale to też na nic. Nie umiemy zrobić kopii, która choćby z daleka wyglądała podobnie. I nie mamy potrzebnego materiału.

– Zresztą ta z Trójcy jest inna od naszej – przypomniał im Jup. – Musielibyśmy się wzorować na tym, co zapamiętałem. Nawet gdybyśmy potrafili to zrobić, to jeszcze nie rozwiązuje problemu, w jaki sposób

wynieść oryginał.

– Rzeczywiście – zgodził się Stryk. – Chyba jedynym rozwiązaniem jest to, co umiemy najlepiej, czyli podejście bezpośrednie.

– Chyba nie chcesz szturmować tej twierdzy? – rzuciła Coilla. – Nasza garstka przeciwko całemu miastu?

– Niezupełnie. Ale to, o czym myślę, oznacza dla ciebie wielkie zadanie, Jup. To będzie jeszcze bardziej niebezpieczne niż wszystko, co do tej pory zrobiłeś.

– Do czego zmierzasz?

– Chcę, żebyś odbił gwiazdę, a wtedy my odbijemy ciebie.

– Co? ‘

– To właściwie proste. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, jutro ty i gwiazda będziecie za murami Trójcy, a my tuż pod nimi. Czy mógłbyś nas jakoś wpuścić?

– O, do diabła. Nie wiem...

– Może zauważyłeś jakąś drogę na zewnątrz oprócz głównych wrót? Cokolwiek, czego nie widzieliśmy podczas rozpoznania?

– Nie.

– W takim razie trzeba będzie wejść główną bramą.

– Jak?

– Uzgodnimy czas. Będziesz musiał uciec z cieplarni, ukraść gwiazdę...

– ...dobiec do bramy i otworzyć ją przed wami. To cholernie dużo. Te wrota są masywne i strzegą ich wartownicy.

– Nie powiedziałem, że to łatwe. Ze strażnikami będziesz się musiał rozprawić, a wrota – otworzyć. Będziemy czekać pod nimi i pomożemy ci je uchylić. Potem szybki odwrót. Jeśli uważasz, że to zbyt ryzykowne, musimy wymyślić coś innego.

– Hm... dziś wieczorem przy bramie było tylko dwóch strażników, więc pewnie nietrudno będzie ich pokonać. Dobrze, zrobmy to.

Zbliżył się do nich pochmurny Alfray z roślinami na dłoni.

– To, co przyniosłeś, nadaje sprawie nowy wymiar.

– Dlaczego? Co to jest?

– Te dwa znam, choć występują dość rzadko. – Uniósł listek. – To wentyx, który można znaleźć w paru miejscach na południu. – Wskazał następny. – A to nizinna lilia, występuje na zachodzie, choć można jej szukać latami. – Pokazał im trzecią próbkę. – To coś nowego i przypuszczam, że ludzie sami przywieźli to do Maras-Dantii. Ale podejrzewam, że ma takie samo działanie jak dwie poprzednie.

– A mianowicie? – spytał Stryk.

– Zabija. Te dwie to najbardziej śmiertelne rośliny, jakie znam. Nizinna lilia rodzi jagody, które nawet w minimalnych dawkach powodują śmierć. W przypadku wentyксу należy zrobić napar z jego łodyżek, by otrzymać jeszcze silniejszą truciznę. Tylko bogowie wiedzą, jak straszna jest ta roślina, której nie znam. A dwie pierwsze mają jeszcze jedną cechę wspólną. Są tak silne, że nie rozcieńcza ich nawet wielka ilość wody. Czy teraz słowa Hobrowa wydają się wam bardziej zrozumiałe?

Jup szeroko otworzył oczy.

– O, do diabła. Hodują te rośliny, żeby wytruć starsze rasy.

Alfray skinął głową.

– To będzie masakra. Teraz rozumiem, skąd ta tama. Hobrow chroni zapasy wody Trójcy, żeby móc z nich korzystać, kiedy zatruje inne źródła.

– Widziałem w Trójcy studnie.

– A zatem ten zbiornik jest dla nich dodatkowym zabezpieczeniem.

– Albo to jego właśnie chcą zatruć – odezwał się Stryk. – Jeśli jesteś posiadaczem największego zbiornika wodnego w całej okolicy, i ogłaszasz, że przedstawiciele wszystkich ras mogą z niego korzystać...

– Albo po prostu zostawiasz go bez straży – wtrąciła Coilla – wiedząc, że wszyscy będą z niego czerpać wodę. Zwłaszcza jeśli będzie susza, co nie

jest niemożliwe, bo ostatnio pogoda jest nieprzewidywalna.

– W każdym razie skończy się na zagładzie wszystkich ras oprócz ludzi
– dokończył Alfray.

Jup coś sobie przypomniał.

– Hobrow powiedział, że jeśli się uda tutaj, spróbują to zrobić na większą skalę. Strasznie ważna jest dla nich czystość rasy, co widać po sposobie, w jaki traktują krasnoludy. Czy może być czyściej, jeśli nie będzie innych ras?

– To plan szaleńca – osądził Alfray. – Tylko się zastanówcie. Ci, którzy wypiją wodę, umrą, a to ostrzeże innych. Jak Jedowie mogą się spodziewać, że to zadziała?

– Może są zbyt zaślepieni nienawiścią, żeby myśleć rozsądnie – powiedział Stryk. – A może sądzą, że ilu by nie zabili, i tak się im opłaci.

– To dranie – syknęła Coilla. – To im nie może ująć na sucho.

– A co zrobimy? I tak będzie nam ciężko z Jupem. Nie trzeba nam kolejnego wyzwania.

– I tak to zostawimy?

– Z tego, co mówi Jup, ta cieplarnia znajduje się w głębi Trójcy. Nie mamy szans się do niej dostać, zwłaszcza jeśli rozejdzie się wieść o skradzionej gwiazdzie. Jedyne, co możemy, to powiadomić lokalne starsze rasy i mieć nadzieję, że wezmą sobie ostrzeżenie do serca.

Coilla nie była zadowolona.

– To niewiele.

– A jeśli będę mógł coś zrobić, kiedy już tam będę? – spytał Jup.

– Oczywiście nie narażając gwiazdy na niebezpieczeństwo?

– To powodzenia. Ale gwiazda jest najważniejsza. Jej moc może działać dla Maras-Dantii więcej niż my, oddając życie, by położyć kres spiskowi.

– Czy ktoś z was się zastanawiał, skąd Hobrow wziął tę gwiazdę? –

spytał Alfray.

– Tak – powiedział Stryk. – Ale pamiętam, co powiedział Mobbs. Możliwe, że ludzie weszli w jej posiadanie przypadkiem, bogowie wiedzą jak, i po prostu nie mają pojęcia, do czego służy.

– Całkiem jak my – wtrąciła Coilla.

– Hobrow jest tak opętany żądzą władzy, że gdyby wiedział o mocy gwiazdy, zaczęłby szukać innych – stwierdził Jup.

– Co ułatwia mu unicestwienie całych ras – dodała cynicznie Coilla.

– Dobrze, dziś już nic nie zdziałamy – oznajmił Stryk.

Jup odwrócił się do Alfraya.

– Jak się czuje Haskeer?

Jeśli Alfray zdziwił się, że krasnolud dopytuje się o zdrowie swojego dręczyciela, nie okazał tego.

– Nieźle. Mam nadzieję, że gorączka wkrótce spadnie.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę o jutrzejszych planach; szczególnie interesowała ich zapowiadana wyprawa Hobrowa do krainy trolli. W końcu uznali, że zamiast mnożyć pytania bez odpowiedzi, lepiej będzie porządnie się wyspać.

Ponowne wejście do Trójcy okazało się równie łatwe.

Jup stawiał się w punkcie zbornym, wsiadł na wóz i znalazł się za bramami miasta. Szczególnie uważnie policzył strażników przy bramie. Było ich pięciu. Serce mu się ścisnęło, ale pocieszył się, że być może dostaną inne zadania.

Tym razem w bucie ukrył nóż. Wpadł na ten pomysł, kiedy się przekonał, że nikt nie przeszukuje krasnoludów przy wjeździe do miasta. Ryzyko się opłacało.

Tego dnia Hobrow nie powitał ich kazaniem. A kiedy rozkazano im się zameldować w miejscach pracy, Jup nie czekał na nadzorcę.

– Po prostu wraz z dwoma pozostałymi ruszył do cieplarni. Istuan

powiedział mu, co ma robić – to samo co poprzedniego dnia i Jup zabrał się do roboty.

Rosomaki ustaliły, że przy bramie znajdą się w południe, czyli za około cztery godziny. Oznaczało to, że z arboretum musiał się wymknąć dużo wcześniej. Pracował i nieustannie zerkał w stronę małej dżungli w oszklonym pomieszczeniu. Nie chciał opuszczać Trójcy, przynajmniej nie próbując czegoś zrobić. Jak powiedział Stryk, mógł podjąć dodatkowe ryzyko, o ile to mu nie przeszkodzi w zdobyciu gwiazdy. Uznał, że jest ono warte świeczki.

Plan wydostania się z cieplarni i dotarcia do świątyni był prosty, konkretny i z konieczności brutalny. Zastanawiał się nad nim, dźwigając drewno i czarne łatwo palne kamienie na sterty przy piecach. Czas włókł się niemiłosiernie, jak zwykle w chwili oczekiwania, ale Jup wiedział, że gdy przyjdzie właściwa pora, minuty nagle zaczną pędzić jak oszalałe. Ociekając potem, ładował opał, zerkając ukradkiem ku pełnej trujących roślin cieplarni.

Kiedy uznał, że wybiła ta godzina, wyszedł tylnymi drzwiami, rzekomo by sprawdzić poziom wody w kadziach.

Nie chciał stawać z nożem przeciwko swoim braciom, jeśli nie będzie musiał, nawet gdyby okazali się zdrajcami. Dlatego wybrał mocną belkę, ukrył się za drzwiami i czekał.

Minęło parę długich minut. Wreszcie z pomieszczenia dobiegł podniesiony głos. Słowa były niewyraźne, ale zapewne go wołano. Nie zareagował.

Drzwi się otworzyły i wyszedł jeden z krasnoludów.

Jup odczekał, aż zamknie je, i mocno zdzielił go prowizoryczną maczugą. Jego ofiara osunęła się na ziemię. Jup ociągnął ją bok.

Wrócił na to samo miejsce. Tym razem nie było ostrzegawczego krzyku. Drzwi się otworzyły, lecz stanęła w nich niejedna, ale dwie postaci.

Znalazł się oko w oko Istuanem i drugim krasnoludem. Rzucił się na nich. Pierwszy padł krasnolud, oczywiście, bo nie miał się czym bronić.

Ale nadzorca stawiał opór.

– Ty mała gnido! – ryknął, wymachując własną maczugą która – w przeciwieństwie do broni Jupa – była dobrze dostosowana do swojego celu.

Wymienili pierwsze ciosy. Jup obawiał się, że człowiek krzyknie i zaalarmuje innych. Musiał to szybko skończyć.

Okazało się, że nadzorca nie jest łatwym przeciwnikiem. Jeden z ciosów trafił Jupa w ramię. Był bolesny, ale zamiast go obezwładnić, tylko sprowokował do większego wysiłku. Krasnolud skoczył na Istuanę, zasypał go gradem ciosów, czekając na sprzyjający moment. Następny cios przeciwnika dał mu tę szansę. Uskoczył i trafił nadzorcę maczugą w brodę.

Istuan zachłysnął się; broń wypadła mu z odrętwiałych palców. Jup szybko zakończył sprawę uderzeniem w głowę, po którym strażnik stracił przytomność. Odrzucił maczugę i ujął topór, używany do rąbania drewna. Jeden cios zniszczył rurę, którą woda biegła ze zbiorników do pomieszczenia z piecami.

Rzucił się do drzwi. Woda w korycie już zaczęła wysychać. Chwył łopatę i nabrał na nią rozżarzonych węgli. Odwrócił się, przebiegł do cieplarni i rzucił węgle w płataninę roślin. Powtórzył tę trasę jeszcze kilka razy, kursując z węglami i płonącymi drwami, aż wreszcie rośliny w cieplarni zaczęły płonąć, a półki zajęły się ogniem.

Miał nadzieję upiec przy tym ogniu dwie pieczenie. Pożar odwróci uwagę od świątyni, a zniszczenie roślin może udaremnić plany Hobrowa, a przynajmniej je odwlec.

Zadowolony, że ogień szaleje już w całej cieplarni, wyszedł na ulicę, mocno zatraskując za sobą drzwi. Kiedy przebiegał koło szyb budynku, dostrzegł kłębiący się wewnątrz dym i isierki żółtych płomieni. Ruszył do świątyni, ze wszystkich sił powstrzymując się, by nie biec.

Zastanawiał się, kiedy zacznie się alarm.

Zerknął w niebo; słońce zbliżało się do zenitu. Rosomaki powinny już stać na pozycjach. Miał nadzieję, że ich nie zawiedzie.

Idąc, starał się nie myśleć o ciężarze zadania, którego się podjął.

Skręcił w ulicę prowadzącą do świątyni. Niemal w tej samej chwili drzwi się otworzyły i na zewnątrz wypłynął tłum ludzi. Prawdopodobnie właśnie skończyło się nabożeństwo. Jup zastygł, wstrząśnięty spotkaniem z tak liczną grupą.

Uświadomił sobie, że stał na środku drogi i gapi się na ludzi, co mogło zwrócić ich uwagę, więc otrząsnął się z zaskoczenia i ruszył dalej. Bardzo powoli, ze spuszczoną głową, minął świątynię, trzymając się drugiej strony ulicy. Uważał, by nie wejść w drogę żadnemu wiernemu. Niewielu na niego spoglądało. Po raz pierwszy zrozumiał, że bycie przedstawicielem pogardzanej rasy ma swoje plusy.

Znów skręcił, udając, że zmierza w przeciwnym kierunku. Kiedy tłum się przerzedził, zawrócił i ruszył w stronę świątyni.

Ulica była już pusta. Zdecydował się działać otwarcie, bez względu na konsekwencje. Pomaszerował prosto do drzwi świątyni i szarpnął je.

Ku jego uldze budynek okazał się pusty.

Podbiegł, chwycił szklaną szkatułkę i rozbił ją o ołtarz. Schował gwiazdę do kieszeni i uciekł stamtąd.

Dym kłębił się już nad sąsiednią ulicą. Za jego plecami ktoś krzyknął. Obejrzał się.

Biegło ku niemu pięciu czy sześciu nadzorców.

Rzucił się do ucieczki. Teraz nie było już sensu unikać zwracania na siebie uwagi.

Ścigali go po ulicach, wrzeszcząc i wymachując pięściami. Po drodze dołączali do nich inni. Kiedy wreszcie wypadł zaa ostatniego zakrętu i ujrzał bramę, miał za sobą wyjący tłum.

Ale to nie wszystko. Przy bramie było więcej strażników, niż przewidywał. Doliczył się ośmiu. Nie miał szans stawić im samotnie czoła. Dwóm – na pewno. Trzem – prawdopodobnie. Czterem – może. Ale nie tylu.

Poza tym w pobliżu bramy ujrzał powóz Hobrowa. Siedziała w nim Litość. Hobrow stał w pewnej odległości i rozmawiał z nadzorcą.

Jup wpadł na pomysł. Dość desperacki, ale nie widział innego wyjścia.

Hobrow i strażnicy, zaalarmowani krzykiem tłumu, odwrócili się i zobaczyli go. Paru nadzorców już wyciągało broń i zmierzało ku Jupowi.

Krasnolud pognał najszybciej jak umiał ku powozowi. Hobrow i strażnicy pojęli jego zamiary i poderwali się do biegu.

Jup, z łomoczącym sercem dopadł do powozu pierwszy i skoczył na niego. Litość Hobrow pisnęła. Jup chwycił ją wyszarpnął nóż z buta i przytknął jej do gardła.

– Cofnąć się! – ryknął, mocniej wciskając ostrze w dygoczące różowobiałe ciało dziewczyny.

– Puść ją! – zażądał Hobrow.

– ^ Jeszcze jeden krok i ona umrze – oznajmił Jup.

Świątobliwy mąż i krasnolud zmierz yli się wzrokiem. Jup modlił się w duchu, by Hobrow nie przejrzał jego blefu. Dziewczyna może i była obrzydliwym przykładem człowieka i dzieckiem okrutnego dyktatora, ale jednak była dzieckiem. Jup wolałby jej nie krzywdzić.

– Tatusz cię za to zabije! – obiecała Litość. Ta groźba zabrzmiała tym straszniej, że wyszła z ust dziecka.

– Cicho – zadrwił Jup.

– Ty potworze! – zatkała. – Ty wstrętny ogrze! Ty... paskudo! Ty...

Mocniej przycisnęła ostrze do jej szyi. Przełknęła ślinę i zamilkła.

– Otwierać bramę! – rozkazał.

Tłum zatrzymał się i obserwował scenę w milczeniu. Nadzorcy

znieruchomieli z uniesioną bronią. Hobrow przeszył Jupa morderczym spojrzeniem.

- Otwierać – powtórzył Jup.
- Nie ma potrzeby – oznajmił Hobrow.
- Otwórz bramę, a ją wypuszczę.
- Skąd mam wiedzieć?
- Będziesz mi musiał uwierzyć na słowo.

Spojrzenie Hobrowa zlodowaciało, a głos nabrał stalowych tonów.

- Jak ci się wydaje, czy zdołasz ujechać daleko?
- To już mój problem. A teraz otworzysz bramę, czy mam przelać jej krew?

Furia kaznodziei narastała.

- Jeśli temu dziecku spadnie z głowy choć jeden włos...
- Więc otwórz bramę.

Hobrow przez chwilę pienieł się z wściekłości. Jup zaczął się zastanawiać, ile jest warte dla niego życie córki. W końcu świątobliwy mąż rzucił nadzorcom krótki rozkaz. Podbiegli do zasuwy i rozchylili bramę.

Dla Jupa był to kolejny moment prawdy. Gdyby Rosomaki nie czekały na niego w umówionym miejscu, jego szanse spadłyby do zera.

Z cuglami koni w jednej ręce i nożem przy szyi Litości w drugiej, wytoczył wóz na zewnątrz.

Nie było śladu Rosomaków. Na razie go to nie zmartwiło. Nie spodziewał się, że ich zobaczy.

Ale kiedy stanął na drodze, żołnierze wyłonili się zza wysokich traw.

- Wsiadaj – rzucił dziewczynce.
- Patrzyła na niego wielkimi oczami.
- Wsiadaj! – powtórzył.

Skrzywiła się i zeskoczyła, po czym biegiem zawróciła ku wyciągniętym ramionom ojca.

Skoro nic jej już nie groziło, ludzie przestali się wahać. Wrzeszcząc i wyjąc, rzucili się do ataku. Jup chwycił cugle i popędził konie.

Ludzie wypadli przed bramę miasta i dopiero teraz ujrzeli Rosomaki. Zamierzali zlinczować krasnoluda, a nie walczyć z oddziałem. Niespodziewane pojawienie się orków – a także opinia o nich – powstrzymały pościg. Dodatkowo zniechęcili ich Coilla, celnie strzelająca z łuku do strażników na wieżyczkach obserwacyjnych, oraz trzech szeregowców, ostrzeliwujących tłum.

Reszta oddziału pod wodzą Stryka rzuciła się na ludzi, jednak ci zawrócili, żeby schronić się w bezpiecznej twierdzy. Słysząc było wrzaski Hobrowa i obietnice zemsty.

Stryk znalazł się na kozle koło Jupa.

– Biegną po konie! Zbierajmy się!

Coilla i paru innych wskoczyli do rozpędzonego powozu. Reszta biegła obok.

– Masz? – spytał Stryk.

Jup roześmiał się.

– Mam!

Rosomaki oddalały się od twierdzy ze swoim łupem.

ROZDZIAŁ 20



Kimball Hobrow stał pośrodku chaosu i szalał z wściekłości. Nadzorcy szukali koni i wspinali się na mury. Mieszkańcy chwytali za broń. Opatrywano rannych, znoszono trupy. Oddział wojowników woził wodę ku płonącemu arboretum.

Litość Hobrow, zapłakana i rozgniewana, szarpała ojca za płaszcz i łkała:

– Zabij ich, tatusiu! Zabij, zabij, zabij!

Hobrow podniósł zaciśnięte pięści i ryknął:

– Znaleźć ich, bracia! Wszechmocny jest naszym przewodnikiem i mieczem naszym! Znaleźć ich i zgładzić!

Uzbrojeni po zęby jeźdźcy wypadli galopem z miasta. Wozy pełne ludzi i broni wytoczyły się poza bramy.

Do Hobrowa dopadł rozczochrany nadzorca o poszarzałej twarzy.

– Świątynia! – krzyknął. – Zbezczeszczona!

– Zbezczeszczona? Jak?

– Zabrali relikwię!

Twarz kaznodziei wykrzywiła jeszcze straszliwsza furia. Chwyił człowieka za ubranie i przyciągnął do siebie z szaleńczą siłą. Oczy mu płonęły.

– Co zabrali?

Rosomaki zostawiły konie w zagajniku pod opieką Alfraya i szeregowca. Haskeer, półprzytomny od gorączki, był przywiązany do swego wierzchowca.

Zeskoczyli z powozu i natychmiast przesiedli się na konie. Ledwie odjechali, na drodze od strony Trójcy pojawił się potężny oddział.

Stryk już postanowił, że powinni ruszyć na zachód ku zatoce Calyparr. W ten sposób zyskiwali szansę ucieczki na otwartym terenie. Potem jego rzeźba zmieniała się, oferując im liczne kryjówki.

Ich przeciwnicy byli niezorganizowani i jeszcze oszołomieni po szoku, ale nie dawali za wygraną. Przez parę godzin ścigali Rosomaków, tylko czasem gubiąc ich z oczu. Potem ci słabsi zaczęli zostawać z tyłu wraz z przeładowanymi wozami.

Pod koniec dnia za orkami podążała tylko garstka najbardziej zacieklej ludzi. W końcu oddział zgubił i ich.

Dotarli w pobliże zatoki; i jeźdźcy, i konie byli na skraju wyczerpania. Stryk pozwolił zwolnić kroku.

Coilla odezwała się po raz pierwszy od rozpoczęcia pościgu:

– Czyli... mamy następnego wroga.

– W dodatku potężnego – zgodził się Alfray. – Nie liczyłbym na to, że Hobrow tak łatwo zrezygnuje z gwiazdy.

– A to mi przypomina... pokaż ją, Jup – poprosił Stryk.

Krasnolud podał mu pośrednik. Stryk porównał go z pierwszym, po czym schował oba do sakiewki.

– Miałem wątpliwości, czy to się uda – przyznał Alfray.

– Dopisało nam szczęście – zauważył Jup. Wyjął kawałek szmaty zaczął ścierać pastę z twarzy.

– Nie doceniasz się – powiedział Stryk. – Dobrze się spisałeś.

– Teraz pozostaje najważniejsze pytanie – powiedział Alfray – co dalej?

– Myślałem, że jesteśmy zgodni.

Alfray westchnął.

- Bałem się, że to powiesz. Rys?
 - Tam może być następna gwiazda.
 - Może. Nie mamy na to dowodu. Na pewno wiemy tylko, że Hobrow się tam wybiera. A to znaczy, że nie jest to dla nas pożądany kierunek.
 - Po tym ciosie chyba nie wyruszy tak od razu.
 - A jeśli wyprawa do Rysu nie ma nic wspólnego z gwiazdami?
 - podsunął Jup. – Co, jeśli zamierza realizować tam swój szalony plan unicestwiania starszych ras?
 - Co, przemocą karmiąc trolle trucizną? Nie sądzę. Musi mieć inny powód.
 - Ludzie unicestwiają inne rasy, prawda?
 - Skoro mogą zatruć ich studnie... To zbyt wielkie ryzyko. Czy wszedłbyś z własnej woli do tego labiryntu, gdybyś nie musiał?
 - Ale ty właśnie tego od nas wymagasz!
 - Jak powiedziałem, Jup: „gdybyś nie musiał”. Znajdźmy miejsce na obóz i przynajmniej się zastanówmy.
- Nieco później, kiedy Stryk i Coilla znaleźli się sami na czele kolumny, spytał ją, co sądzi o udaniu się do Rysu.
- To nie większe szaleństwo niż wiele naszych ostatnich dokonań. Choć uważam, że trolle są o wiele bardziej przerażającym wrogiem niż fanatycy Hobrowa. Niechętnie myślę o wejściu w to podziemne piekło.
 - Więc jesteś przeciwko?
 - Tego nie powiedziałam. Każda misja jest na pewno lepsza od bezcelowego snucia się po okolicy. Ale dobrze byłoby mieć jakąś strategię, zanim się tam zbliżymy. I nie powinieneś zapominać, że przez parę ostatnich tygodni zdołaliśmy wkurzyć wszystkich bez wyjątku. Musimy się spodziewać wrogów z każdej strony.
 - I dobrze.

- Jak to?
- Dzięki temu nie stracimy czujności.
- To pewne. Powiedz mi prawdę, kiedy kierowałeś się na wyprawę do Rysu, kierowałeś się logiką czy przeczuciem?
- Pół na pół.
- Uśmiechnęła się.
- Przynajmniej nie kłamiesz.
- No, ciebie nie okłamię. Nie myśl, że z nimi będę tak szczery. – Skinął głową w stronę żołnierzy.
- Mają prawo wiedzieć, nie sądzisz? Zwłaszcza że jesteśmy teraz wyrzutkami i nie są już tak zdyscyplinowani.
- Owszem, mają prawo, i nie zmuszę ich do niczego wbrew ich woli. A co do dyscypliny, jak powiedziałem wcześniej, musimy ją utrzymać, jeśli mamy mieć jakąś szansę. Więc dopóki nikt nie ma nic przeciwko, ja tu dowodzę.
- Ja się zgadzam. Inni na pewno też. Ale wkrótce trzeba będzie podjąć pewne decyzje, które dotyczą nas wszystkich. Krystalin.
- To znaczy, czy go podzielić, czy zachować jako wspólne mienie? Zastanawiałem się nad tym. Może powinniśmy to przegłosować. Choć nie podoba mi się, że wszystko ma być poddawane głosowaniu.
- Nie, to by podważyło twój autorytet.
- Przez parę minut jechali w milczeniu.
- Oczywiście jest jeszcze inna możliwość.
- Tak?
- Powrót do Cairnbarrow i wytargowanie naszego życia w zamian za dwie gwiazdy.
- Wiemy od Delorrana, co się tam o nas myśli. Cokolwiek postanowicie, ja tam nie wracam.
- O bogowie, jak się cieszę, że to powiedziałeś! – rozpromieniła się. –

Każdy los jest mi miłszy od powitania, które by zgotowała nam Jennesta.

W wielkiej sali pałacu Jennesty odbywało się coś w rodzaju uczyty.

Ale jedynie coś w rodzaju. Długi, lśniący stół nakryto jak do posiłku, ale nie było jedzenia. Zjawilo się pięciu gości – oprócz samej królowej – nie licząc dwa razy liczniejszej grupy służących i strażników. Ale nikt się nie radował.

Wśród przybyłych znaleźli się dwaj orkowie: niedawno awansowany generał Mersadion i kapitan Delorran, który dopiero co powrócił z zakończonego niepowodzeniem pościgu za Rosomakami. Nie można było nie wyczuć napięcia przy stole, ale to nie oni byli powodem zdenerwowania. Byli nim trzej pozostali goście.

Ludzie.

Jennesta prowadziła z nimi układy, ponieważ wspierała sprawę Mnogów, dlatego sama obecność przedstawicieli tej rasy w pałacu nie była zaskakująca. Natomiast wygląd owych gości stanowił powód do niepokoju.

Królowa zauważyła zdenerwowanie Mersadiona i Delorrana i przemówiła:

– Generale, kapitanie, pozwólcie sobie przedstawić Mikę Lekmanna. – Wskazała najwyższego z całej trójki.

Bliznę, biegnącą przez środek prawego policzka po kącik ust, mogłaby ukryć broda, ale Mika wolał rozwichrzone czarne wąsy. Włosy miał brudne, a skórę – tam, gdzie nie była oszpecona dziobami po ospie – ogorzałą. Jego muskularna sylwetka i krój szat świadczyły o życiu spędzonym na polu bitwy. Wyglądał na człowieka, którego nie ograniczają nakazy dobrego wychowania.

– A to jego... współpracownicy – dodała Jennesta, zostawiając mu możliwość prezentacji swoich towarzyszy.

Lekmann uśmiechnął się leniwie i od niechcienia wskazał kciukiem człowieka po swojej prawicy:

– Greever Aulay – oznajmił.

Aulay był najniższy z całej trójki. Jego sylwetka, kontrastująca z atletyczną budową przywódcy, była chuda i wysoka. Miał twarz małego szczurka, włosy koloru płowego blondu, a jedyne oko – lewe – orzechowe. Drugie kryło się pod czarną skórzaną przepaską. Rzadka kozia bródka chwiała się żałośnie przy kiepsko wykształconym podbródku. Cienkie wargi napinały się na zepsutych zębach.

– A to Jabez Blaan – zgrzytnął Lekmann.

Człowiek po jego lewicy był najpotężniejszy z nich. Prawdopodobnie ważył więcej niż obaj pozostali razem wzięci, ale w jego ciele nie było ani grama tłuszczu. Dokładnie ogolona, okrągła głowa wydawała się łączyć z ciałem bez pośrednictwa szyi. Nos był złamany co najmniej raz i teraz bardziej przypominał gałkę u drzwi. Oczy natomiast przypominały dwie zrobione moczem dziurki w śniegu. Wielkie pięści, które oparł na stole, mogłyby bez trudu przewrócić solidny dąb.

Żaden nie odzywał się ani nie uśmiechał. Zadowolili się nieznacznym pochyleniem głowy. Delorran i Mersadion przyglądali się im z niepokojem.

– Mają oni wyjątkowe talenty, które wykorzystują pod moimi rozkazami – wyjaśniła Jennesta. – Ale o tym potem.

Położyła przed sobą pergamin, który przyniósł jej Delorran. Stuknęła w niego długim paznokciem.

– Dzięki kapitanowi Delorranowi, który właśnie powrócił z niezwykle ważnej misji, wiemy, że skradziono moją własność. Niestety, kapitan nie zdołał odzyskać tego przedmiotu ani też pochwycić złodziei.

Delorran odchrząknął nieśmiało.

– Błagam o wybaczenie, pani, lecz Rosomaki dostały to, na co zasłużyły. Jak już powiedziałem, wszyscy zginęli.

– Widziałeś ich śmierć?

– Nie. ■. niedokładnie. Ale kiedy ich ostatnio widziałem, nie mieli

szansy ucieczki. Czekala ich pewna smierc.

– Nie tak pewna, jak sãdzisz, kapitanie.

Delorran otworzył usta.

– Pani...?

– Powiedzmy, że doniesienia o ich śmierci były nieco przesadzone.

– Przeżyli?

– Tak.

– Ale...

– Skąd wiem? Bo ścigał ich smoczy patrol, kiedy już przedostali się na drugą stronę pola bitwy. Przeżyli także jego atak.

– Najjaśniejsza pani...

– Powinieneś zostać tam nieco dłużej i potwierdzić zagładę Rosomaków, zamiast z góry ją zakładać, prawda? – W jej głosie było więcej szyderstwa niż złości, jakby zwracała się do niegrzecznego dziecka.

– Tak, najjaśniejsza pani – odpowiedział potulnie.

– Słyszałeś o... odejściu generała Kysthana? – Delorran poruszył się niespokojnie. – Zapłacił za twoje niepowodzenie.

Kapitan nie miał czasu odpowiedzieć, bo Jennesta strzeliła palcami. Elfy zaczęły krążyć między nimi, roznosząc kielichy wina na srebrnych tacach. Jeden z ukłonem podały Jenneście.

– Toast – oznajmiła, unosząc kielich – za odzyskanie wszystkiego, co moje i pognębienie moich wrogów.

Wypiła trunek, a wszyscy poszli jej śladem.

– Co nie oznacza, że nie zapłacisz mi za to, kapitanie – dodała.

Delorran nie od razu zrozumiał znaczenia jej słów. A potem do niego dotarła. Spojrzał na swój kielich i krew odpłynęła mu z twarzy.

Szkoło wyśliznęło mu się z palców i roztrzaskało na ziemi. Usta otwarły się, ręka zacisnęła na gardle.

– Ty... suko! – wychrypiał. Wstał, przewracając krzesło.

Jennesta przyglądała się mu obojętnie.

Delorran zrobił chwiejny krok w jej stronę i sięgnął roztrzęsioną ręką po miecz.

Nie poruszyła się.

Nie mógł skoordynować ruchów na tyle, by wyciągnąć broń. Pocił się, a twarz wykrzywiało mu coraz większe cierpienie. Z gardła dobył się chrypiący, grzechoczący dźwięk. Delorran zaczął się dławić. Kolana ugięły się pod nim; upadł. Zaczął się miotać, tocząc pianę. Po chwili z kącika ust pociekła strużka krwi. Wyprężył się konwulsyjnie, wierzgnął nogami i znieruchomiał.

Śmierć odcisnęła na jego twarzy straszny ślad.

– Po co marnować cenną magię? – rzuciła Jennesta w ciszy. – Poza tym chciałam wypróbować ten napar.

Kotka Szafirka zakradła się do kałuży rozlanego wina. Zaczęłyby je chleptać, gdyby Jennesta nie odpędziła jej ze śmiechem.

Królowa podniosła głowę. Trzej ludzie przyglądali się z troską swoim w połowie opróżnionym kielichom. To znowu ją rozbawiło.

– Nie lękajcie się – zapewniła. – Nie mam powodu zapraszać gości tylko po to, by ich otruć. Możesz już na mnie tak nie patrzeć, Mersadionie, nie dostałbyś awansu, gdybym miała cię zaraz złożyć do grobu. Nie tak szybko.

Można to było uznać za żart.

Przeszła nad trupem i usiadła bliżej swoich gości.

– Wystarczy tych uprzejmości, pora na interesy. Powiedziałam, generale, że Lekmann i jego towarzysze mają specjalne talenty. Należy do nich znajdowanie zbiegów.

– To łowcy nagród?

– Niektórzy tak nas nazywają – odpowiedział Lekmann. – My wolimy określenie: „niezależni funkcjonariusze służb porządkowych”.

Jenrtesta znowu się roześmiała.

– Nazwa dobra jak każda inna. Ale nie bądź taki skromny. Powiedz generałowi, co jest twoją specjalnością.

Lekmann dał znak Greeverowi Aulayowi. Ten wyciągnął worek, który rzucił na stół.

– Specjalizujemy się w polowaniu na orków – oznajmił Lekmann.

Aulay wytrząsnął worek. Po stole potoczyło się pięć lub sześć okrągłych, żółtobrazowych przedmiotów. Mersadion spojrział na nie i z wolna pojął, na co patrzy. Skurczone głowy orków. Ogarnęła go zgroza.

Lekmann uśmiechnął się leniwie.

– Oczywiście ograniczamy się do renegatów.

– Mam nadzieję, że nie dopuścisz do żadnych uprzedzeń podczas współpracy z naszymi agentami – odezwała się Jennesta. – Spodziewam się, że udzielisz im pełnej pomocy podczas ich misji.

Na twarzy Mersadiona ambicja walczyła o lepsze z niesmakiem. Zaczął odzyskiwać panowanie nad sobą.

– A co to za misja, najjaśniejsza pani?

– Oczywiście polowanie na Rosomaki i odzyskanie mojej własności. To akcja dodatkowa, nie wyklucza twoich działań. Uznałam, że pora zaangażować specjalistów doświadczonych w tego rodzaju zadaniach.

Mersadion spojrział na Lekmanna.

– Jest was tylko trzech? Czy może macie... pomocników?

– W razie potrzeby wzywamy innych, ale na ogół pracujemy sami. Tak jest najlepiej.

– Kto jest waszym panem?

– My sami. – Zerknął na Jennestę. – I ten, kto nam płaci.

– Nie podążają ścieżką Mnogów ani Jedów – wtrąciła Jennesta.

– To ateści i oportuniści. Prawda, Lekmann?

Łowca nagród skinął głową z szyderczym uśmiechem, choć próżno byłoby dociekać, czy wie, co znaczy „oportunista”, a tym bardziej „ateista”.

– A więc idealnie nadają się do moich celów – ciągnęła królowa – gdyż nie skusi ich nic prócz nagrody. A ona dostatecznie wynagrodzi im lojalność.

Mersadion odsunął od siebie skrupuły.

– Jak mamy postępować?

– Wiemy, że Rosomaki ostatnio widziano na drodze do Trójcy. Zgodzicie się, że to dziwny cel. Chyba że – jak sądził Delorran – przeszli na stronę Jedów. Trudno mi w to uwierzyć, ale jeśli naprawdę z jakiegoś powodu znaleźli się w Trójcy, nasi przyjaciele mają najlepsze kwalifikacje, by ich tam odnaleźć.

– Jakie są twoje rozkazy? – spytał Lekmann.

– Najważniejszy jest cylinder. Jeśli możecie, zabijcie tych, którzy go ukradli, zwłaszcza ich przywódcę. Ale nie za cenę utraty tego przedmiotu. Zastosujcie wszelkie metody, jakie uznacie za stosowne.

– Możesz na nas polegać, e... najjaśniejsza pani – dodał, przypomniawszy sobie o protokole.

– Mam nadzieję. Dla waszego dobra. – W jej głosie pojawił się lekki chłód. – Bo jeśli przyjdzie wam do głowy grać na dwa fronty, moja zemsta będzie straszna. – Wszyscy zerknęli na ciało na podłodze. – Jeśli dostanę to, czego pragnę, dowiecie się także, że nikt nie zapłaci wam hojniej ode mnie. – Znowu się uśmiechała. Można było wziąć ten uśmiech za wyraz ciepła. – Szukając tej bandy renegatów, nie zaniedbam niczego, dlatego zamierzam być posłuszna tradycji.

Skinęła na strażników orków. Wynieśli ciało Delorrana przez małe drzwiczki.

Jennesta odwróciła się do służącego.

– Wpuść ich.

Ten otworzył duże podwójne drzwi sali. Na progu stanęły dwa dostojne elfy ze starszyny. Skłoniły się głęboko.

– Mam dla was proklamację – oznajmiła Jennesta. – Ogłóście te słowa w całym królestwie i wyślijcie posłańców do wszelkich zakątków kraju, gdzie ta informacja będzie miała znaczenie. – Skinęła dłonią na służącego przy drzwiach. – Zaczynaj.

Rozwinął pergamin i zaczął czytać charakterystycznym dla elfów głosem, cienkim i śpiewnym:

– Z rozkazu Jej Cesarskiej Wysokości Jennesty, królowej Cairnbarrow, ogłasza się, że oddział hordy najjaśniejszej pani, znany jako Rosomaki, od tej pory będzie uznany za wyjęty spod prawa i pozbawiony wszelkiej ochrony. Wyznacza się także nagrodę: drogocenne monety, krystalin oraz ziemię za głowy następujących oficerów: kapitana Stryka, sierżantów Haskeera i krasnoluda Jupa, kaprali Alfraya i Coilli. Co za tym następuje, wyznacza się także stosowną do ich stopnia nagrodę za dostarczenie żywych lub martwych szeregowców: Bhoś'a, Breggina, Calthmona, Dariga, Eldo, Finje'a, Ganta, Gleadega, Hystykkka, Jada, Kestiksa, Liffina, Mekluna, Nepa, Noskaa, Orbona, Prooąa, Reafdawa, Seafe'a, Slettala, Talaga, Toche'a, Vobe'a, Wrelbyda i Zody. Ogłasza się, że ukrywanie wymienionych renegatów podlega karze. Z rozkazu najjaśniejszej pani, królowej Jennesty. Chwała najłaskawszej monarchini.

Służący zwinął pergamin i przekazał go jednemu ze starszych.

– A teraz go rozgłóście wszem wobec – rozkazała Jennesta.

Starsi wycofali się z ukłonami.

Królowa wstała; wszyscy zerwali się na równe nogi. Spojrzała przenikliwie na łowców nagród.

– Lepiej już ruszajcie – oznajmiła. I dodała z uśmiechem. – Zobaczymy, czy i teraz Rosomaki znajdą schronienie.

Odwróciła się i opuściła komnatę.

ROZDZIAŁ 21



Jup delikatnie otarł czoło Haskeera wilgotną szmatką. I Stojący przed namiotem Stryk, Alfray i paru szeregowców obserwowali tę scenę z niejakim zaskoczeniem.

Alfray pokręcił głową.

– Teraz już nic mnie nie zdziwi.

Przepędzili szeregowców i ruszyli do własnych zajęć.

Haskeer zaczął przytomnieć. Mrugał oczami, jakby raziło go światło, i mamrotał coś niezrozumiale. Nie wiadomo, czy zdawał sobie sprawę, że to Jup się nim zajmuje. Krasnolud zwilżył kompres i ponownie położył go na czole Haskeera.

– Co... do... eh... – wymamrotał Haskeer.

– O, proszę – odezwał się wesoło Jup. – Znowu zaczynasz być sobą.

– Hy?

Otępiały wyraz twarzy Haskeera można było przypisać gorączce albo świadomości, że to krasnolud się nim opiekuje. Jup nie zareagował.

– Od czasu, jak straciłeś przytomność, wiele się wydarzyło – oznajmił – więc może powinienem cię poinformować.

– Ccc...

– Nie obchodzi mnie, czy rozumiesz, draniu. I tak ci opowiem. Zaczął relacjonować ostatnie wypadki, nie zważając na to, że jego słowa

najwyraźniej nie trafiają do słuchacza. Mniej więcej po dwóch trzecich opowieści Haskeer zamknął oczy i zaczął głośno chrapać. Jup zerwał się z miejsca.

– Nie myśl, że tak łatwo ci się upiecze – zapowiedział. – Ja tu wrócę.

Wyszedł z namiotu.

Na zewnątrz lśniło blade słońce. Z oddali dobiegał blaszany brzęk rojów wrózek. Jup rozejrzał się. Drogi wokół zatoki Calyparr były grząskie i nieprzyjazne. Orkowie rozbili obóz na najbardziej suchym kawałku ziemi, jaki mogli znaleźć, ale i tak chlupotało im w butach.

Żołnierze zajęli się szukaniem suchego drewna na opał, jedzenia oraz innymi przyziemnymi, lecz koniecznymi sprawami.

Alfray i Coilla podeszli do Jupa.

– Jak się czuje? – spytał Alfray.

– Na chwilę odzyskał przytomność – uśmiechnął się. – Ale jak usłyszał, co się wydarzyło, znowu zemdłał. Trochę był oszołomiony.

– To normalne w przypadku tych ludzkich chorób. Za jakiś czas powinien dość do siebie. Dziwi mnie, dlaczego jesteś dla niego taki miły?

– Nigdy nic do niego nie miałem, choć jemu się wydaje, że ma coś do mnie. Poza tym jesteśmy towarzyszami broni.

– Każdy w chorobie wygląda żałośnie – zauważyła Coilla. – Nie pობłażaj draniowi.

– Nie ma obawy.

Alfray wziął głęboki wdech.

– Wiecie, zimno tu i niezbyt sucho, ale nie aż tak źle. Na tym małym skrawku ziemi w tej krótkiej chwili jest tak, jak pewnie było w Maras-Dantii przed nastaniem kłopotów. Jeśli tylko zamknie się oczy i uruchomi wyobraźnię.

Coilla miała właśnie coś powiedzieć, kiedy z pobliskiej polany dobiegły ich krzyki. Były bardziej gniewne niż alarmujące, ale oficerowie i tak poszli

sprawdzić, co się dzieje. Po drodze dołączył do nich Stryk.

Na spotkanie wybiegł im szeregowiec.

– Co się dzieje, Prooq? – spytał Stryk.

– Problemy!

– Jakie?

– No... proszę za mną.

Zatrzymali się przed polaną. Przed nimi paradowało parę postaci.

– O, nie – westchnął Alfray. – Cholerne szkodniki!

– Co się stało? – chciał wiedzieć Jup.

– Driady.

– I parę sukkubów, o ile się orientuję – dodał Stryk.

Zmysłowe istoty płci żeńskiej, w szatkach wydekoltowanych do absolutnego maksimum i rozciętych, gdzie tylko się dało, ukazywały piersi i zgrabne nogi. Przeciągały się, potrzasały rdzawymi włosami i przybierały przesadnie uwodzicielskie pozy. Powietrze wypełniło zawodzące, fałszywe łkanie.

– Co to za jazgot? – dopytywał się Jup.

– Syrenia pieśń – wyjaśnił Alfray. – Ma uwodzić. Podobno nie można się jej oprzeć.

– Trochę przereklamowane, co?

– Podobno to mistrzyni ułudy.

– Same się łudzą – burknęła Coilla. – Według mnie wyglądają jak stare miotły.

Nimfy nadal przybierały zachęcające pozy, a nawet wzbogaciły swoje zawodzenie jeszcze bardziej zachęcającymi obietnicami. Niektórzy szeregowcy byli pod wrażeniem.

– Patrzcie! – syknęła Coilla. – Spodziewałam się czegoś więcej niż zachwyty na widok tych maskaronów!

– Są młodzi. Pewnie jeszcze nigdy nie widzieli niczego takiego –

łagodził Alfray. – Nie wiedzą że to iluzja i że jest śmiertelna.

– Dosłownie? – spytał Jup.

– Jeśli te dziwki będą miały choć cień szansy, wyssały siły życiowe z każdego idioty, który da się omamić.

Jup zerknął na kuszące przedstawienie.

– Znam gorsze sposoby...

– Jup! – syknęła Coilla.

Zarumienił się.

– A właściwie co one tu robią? – zaciekawiał się Stryk. – To dość nietypowe miejsce na uwodzenie nieświadomych.

– Albo wypędzono je z bardziej atrakcyjnych okolic, bo stały się utrapieniem – powiedział Alfray – albo są zbyt zmęczone, by jak zwykle wyprawić się na polowanie.

– Sądząc po wyglądzie, raczej chodzi o to drugie – drwiła Coilla.

– Właściwie nie są niebezpieczne – dodał Alfray. – Ofiary muszą do nich przyjść z własnej woli. Nie potrafią walczyć, przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

I szeregowcy zaczęli wymieniać sprośne uwagi na temat nimf. Paru zaczęło się ku nim zbliżać.

– Dobrze, że Haskeer tego nie widzi – zauważył Jup.

Alfray skrzywił się na tę myśl.

– Lepiej o tym nie wspominać.

– Nie mamy czasu na bzdury – odezwał się Stryk.

– Dokładnie tak pomyślałam – wycedziła Coilla i wyciągnęła miecz.

– Ale nie ma powodu z nimi walczyć! – zawołał za nią Alfray.

Coilla udawała, że nie słyszy. Ruszyła ku swoim ofiarom, lecz zamiast driad, okazali się nimi szeregowcy. Zaczęła ich okładać płazem; po chwili uciekali już do obozu.

Niedoszłe uwodzicielki wrzasnęły w bardzo niepowabny sposób i znikły.

Coilla wróciła do pozostałych.

– Na rozbuchane namiętności nie majak zbity tyłek – oznajmiła, chowając miecz. – Choć bardzo mnie dziwi, że w ogóle byli zainteresowani.

– Zmarnowaliśmy już zbyt dużo czasu – odezwał się Stryk. – Nie możemy się tu obijać do końca życia. Chcę, żebyście podjęli decyzję co do Rysu – i to zaraz.

Przedyskutowali wszystkie za i przeciw i w końcu zdecydowali wyruszyć do krainy trolli.

Droga, którą wybrali, wiodła starym handlowym szlakiem ku osadzie Mnogów zwanej Gajem Pani. Jednak tuż przed nią mieli skręcić na północny wschód, by dotrzeć do Rysu. Była to podróż niepozbawiona niebezpieczeństw, ale też każda wyprawa na rojące się od ludzi południe miała swoje złe strony. Mogli tylko zachować ostrożność i czujność na wypadek problemów.

Haskeer nie brał udziału w dyskusji. Było to wydarzenie dotąd niespotykane. Przypisali jego małomówność chorobie, ale przynajmniej odzyskał siły na tyle, by się utrzymać w siodle. Upierał się przy tym, co było oznaką powrotu dawnego Haskeera.

Stryk postanowił jechać obok niego. Po jakiejś godzinie, spędzonej w zupełnej ciszy, spytał:

– Jak cię czujesz?

Haskeer spojrział na niego, zbyt zaskoczony tym pytaniem, żeby od razu odpowiedzieć.

– Dobrze jak nigdy – powiedział w końcu.

Stryk zauważył dziwną łagodność jego głosu, ale przemilczał to.

– To dobrze – powiedział tylko.

Minęło parę chwil milczenia. W końcu Haskeer spytał:

– Mogę zobaczyć gwiazdy?

Pytanie nieco zdziwiło Stryka; zawahał się, ale potem doszedł do wniosku, że Haskeer ma prawo je zobaczyć. Zresztą potrafiłby sobie poradzić, gdyby sierżant zaczął sprawiać kłopoty.

Sięgnął do sakiewki i wyjął gwiazdy.

Sądząc po wyrazie twarzy, Haskeer był nimi o wiele bardziej zainteresowany niż poprzednio. Wyciągnął rękę. Stryk zawahał się, ale położył gwiazdy na jego dłoni.

Haskeer zapatrzył się na nie z fascynacją.

Milczenie zaczęło się przeciągać. Stryk poczuł się nieswojo. W oczach Haskeera pojawiło się coś, czego dotąd w nich nie widział.

W końcu sierżant podniósł głowę.

– Są piękne.

Te słowa brzmiały w jego ustach tak nietypowo, że Stryk nie wiedział, jak zareagować. Los jednak wybawił go z tej niezręcznej sytuacji. Podjechał do nich zwiadowca.

– Wieści – powiedział Stryk, wyciągając rękę. – Oddaj.

Haskeer nadal wpatrywał się w przedmioty.

– Haskeer! Gwiazdy.

– Hm? A, tak. Proszę.

Oddał je Strykowi, który schował je do sakiewki.

Zwiadowca był już przy nich.

– O co chodzi, Talag?

– W naszą stronę zmierza grupa ludzi. Dwudziestu lub trzydziestu, są jakieś dwa kilometry stąd.

– Wrogo nastawieni?

– Nie sądzę, chyba że to podstęp. Są z nimi samice, młode i starcy obu płci. Wyglądają na uchodźców.

– Widzieli cię?

– Raczej nie. To nie jest oddział wojskowy. Ledwie idą.

– Zaczekaj, pojedę z tobą.

Stryk spojrział na Haskeera. Spodziewał się od niego jakiegoś komentarza, ale Haskeer spoglądał na niego pogodnie. Zbliżył się do Coilli i Jupa.

– Słyszeliście?

Potwierdzili.

– Jadę tam. Prowadźcie kolumnę. I... uważajcie, dobrze? – Skinął głową na Haskeera. Zrozumieli go.

– Alfray! – krzyknął Stryk. – Za mną!

Coilla i Jup zajęli miejsce na przodzie oddziału, a Stryk wraz z Talagiem i Alfrayem spięli konie i wyprzedzili kolumnę. Za dwoma zakrętami napotkali grupę ludzi.

Zgodnie z opisem Talaga, były to głównie kobiety, niektóre z niemowlętami w ramionach, i dzieci. Zauważyli również grupkę niedołączonych starców. Przybycie orków wzbudziło niepokój. Dzieci chowały się za matkami, starcy usiłowali przybrać obronną postawę.

Stryk rozejrzał się, ale nie dostrzegł zagrożenia. Zatrzymał konia i, by wyglądać mniej groźnie, zsiadł z niego. Alfray i Talag uczynili to samo.

Przed grupę wystąpiła kobieta. Pod warstwą brudu kryły się młode rysy. Długie i brudne włosy spływały jej aż do talii, ubrana była w łachmany. Wyraźnie się bała, ale stanęła przed Strykiem wyprostowana i dumna.

– Są z nami tylko kobiety i dzieci – odezwała się drżącym głosem – i paru starców. Nie mamy złych zamiarów, nie zamierzamy też wam zagrozić. Chcemy tylko przejść tędy.

Stryk docenił jej odwagę.

– Nie walczymy z samicami ani młodymi – odparł. – Ani z nikim, kto na nas nie napada.

– Czy dajesz słowo, że nie zrobicie nam krzywdy?

– Tak. – Powiódł wzrokiem po ich zmęczonych, strapionych twarzach. –

Skąd jesteście?

– Z Gaju Pani.

– Więc jesteście Mnogami?

– Tak. A wy, orkowie, jesteście po naszej stronie, prawda? – spytała, najwyraźniej po to, by dodać sobie odwagi.

– Tak. – Nie musiał jej tłumaczyć, że w tej sprawie nie mieli wielkiego wyboru.

– I tak się godzi. Wy, starsze rasy, podobnie jak my wierzycie w boski panteon.

Stryk skinął głową, ale nic nie powiedział. Pomiedzy orkami i ludźmi było więcej różnic niż podobieństw. Nie było sensu ich wymieniać. Zamiast tego spytał:

– Dlaczego musieliście opuścić Gaj Pani?

– Napadła nas armia Jedów. Wybili prawie wszystkich mężczyzn. Ledwie udało się nam uciec.

– Osada się poddała?

– Nie wtedy, gdy uciekaliśmy. Paru jeszcze się broniło, ale prawdę mówiąc, nie mieli szans. – Jej twarz nieco się rozpogodziła. – Czy idziecie im na pomoc?

Stryk miał nadzieję, że o to nie spyta.

– Nie. Jedziemy z... inną misją. Do Rysu. Przykro mi.

Znowu spochmurniała.

– Miałam nadzieję, że bogowie zesłali was w odpowiedzi na nasze modlitwy. – Zdobyła się na odważny, lecz mało przekonujący uśmiech. – No cóż, bogowie o nas zadbają.

– Dokąd zmierzacie? – spytał Alfray.

– Jak najdalej stąd. Mieliśmy nadzieję dotrzeć do najbliższej osady Mnogów.

– Trzymajcie się z dala od równin. W tej chwili szczególnie

niebezpieczne są okolice Doliny Tkacza.

– Tak słyszeliśmy.

– Trzymajcie się blisko zatoki – dodał. – Nie muszę wam chyba mówić, żebyście z daleka omijali Trójcę. – Zastanawiał się, czy wspomnieć o oddziale Hobrowa. W końcu tego nie zrobił.

– Zamierzaliśmy skierować się ku osadom z zachodniego wybrzeża – powiedziała. – Może Hexton albo Vermillion. Tam powinni nas przyjąć przyjaźnie.

Stryk przyjrzał się im. Wyglądali żałośnie.

– To daleka droga. – Prawdę mówiąc, morderczo daleka, dodał w myślach.

– Z boską pomocą nam się uda.

Nie miał powodu współczuć ludziom, ale nagle zapragnął, żeby miała rację.

W tej samej chwili na drodze ukazała się reszta Rosomaków, które galopem ruszyły w ich stronę. Uchodźcy znowu się zaniepokoiли.

– Nie trwóźcie się – uspokoił ich Stryk. – Nasz oddział was nie skrzywdzi.

Orkowie zsiadli z koni i przyjrżeli się żalosalnej zbieraninie uchodźców, po czym zbliżyli się – z Coillą i Jupem na czele. Na widok samicy i krasnoluda ludzie zaczęli szeptać z ożywieniem. Haskeer trzymał się z tyłu; Stryk nie miał czasu zastanawiać się nad jego dziwactwami.

– Uciekliśmy, jak staliśmy, nie mamy nic – powiedziała kobieta.

– Czy możecie dać nam wody?

– Tak – powiedział Stryk. – I może trochę jedzenia. Ale nie za dużo, sami jesteście w potrzebie. – Wyznaczył paru żołnierzy.

– Macie dobre serce. Dziękujemy.

Młode – samiczka – stanęło przed nim z paluszkami w buzi i szeroko otwartymi oczami. Trzymało się spódnicy kobiety, która spojrzała na nie z

uśmiechem.

– Musicie jej wybaczyć. I nam wszystkim. Do tej pory rzadko widywaliśmy orków, choć wasza rasa walczy po naszej stronie.

Dziewczynka, jasnowłosa jak kobieta i podobna do niej, puściła jej spódnicę i zbliżyła się do orków. Spojrzała kolejno na Coillę, Stryka, Alfraya i Jupa, a potem powiodła spojrzeniem w przeciwnym kierunku.

Wyjęła paluszek z buzi.

– Co to? – spytała, wskazując na twarz Coilli.

Coilla nie zrozumiała. Spojrzała na nią pytająco.

– Te znaki. Na twarzy – dodało dziecko.

– A, tatuaże. To symbole rangi.

Dziewczynka nie zrozumiała.

– Dzięki nim wszyscy wiedzą jakie mamy stopnie wojskowe. – Coilla wzięła patyk i przykucnęła nad kawałkiem nagiej ziemi. – Zobacz, wytłumaczę ci. Nasz... dowódca, to Stryk. – Wskazała go patykiem, po czym zaczęła rysować na piasku. – Widzisz, na każdym policzku ma dwa takie paski. – Narysowała ((- To znaczy, że jest kapitanem. Czyli naszym przywódcą. – Wskazała Jupa. – To sierżant, więc ma na twarzy takie znaki. – Narysowała (-) – Sierżanci są niżsi rangą od kapitanów. Ja stoję jeszcze niżej, jestem kapralem, i moje znaki wyglądają tak. – Narysowała (). – Rozumiesz?

Zafascynowana dziewczynka skinęła głową. Uśmiechnęła się do Coilli, chwyciła patyk i zaczęła rysować własne znaki. Szeregowcy wrócili z wodą i racjami żywnościowymi.

– Są skąpe – usprawiedliwił się Stryk – ale zechciejcie je przyjąć.

– To i tak więcej niż mamy – odparła. – Niech bogowie wam błogosławią.

Stryk poczuł się niezręcznie. Dotąd jego kontakty z ludźmi ograniczały się głównie do zabijania ich w niezliczonych ilościach. Dał znak

szeregowcom, którzy zaczęli rozdzielać pożywienie.

Stryk, Alfray i Jup przyglądali się ludziom dziękującym serdecznie. Coilla pochylała się nad dzieckiem.

– Dziwnymi drogami wiedzie nas życie, prawda? – szepnął Jup.

Kobieta to usłyszała.

– Ciebie to dziwi? Nas też. Ale prawdę mówiąc, nie jesteśmy tak różni od was ani innych starszych ras. W głębi serca wszyscy pragniemy pokoju i nienawidzimy wojny.

– Orkowie są urodzeni do walki – odparł Stryk z lekką urazą. Nieco złagodniał, widząc jej spojrzenie. – Ale pewnie masz rację. Niszczenie dla samego niszczenia nie ma dla nas uroku.

– Moja rasa wyrządziła wam wiele krzywd.

Zaskoczyło go takie stwierdzenie w ustach człowieka, ale znowu ugryzł się w język.

Jeden z żołnierzy minął dziecko bawiące się z Coillą. Trzymał bukłak z wodą. Dziecko wyciągnęło do niego rączki. Szeregowiec odkorkował pojemnik i podał go dziewczynce. Uniosła go właśnie do ust, gdy jej twarz skrzywiła się w osobliwy sposób. Potem wydała straszliwy dźwięk.

– A psik!

Coilla zerwała się na równe nogi. Oboje z żołnierzem cofnęli się raptownie.

Ku przerażeniu Stryka kobieta uśmiechnęła się tylko.

– Biedactwo. Ma katar.

– Katar?

– Za dzień lub dwa jej przejdzie. – Położyła rękę na czole dziecka. – Jakby miała mało przeżyć. Pewnie wszyscy niedługo zachorujemy.

– Ten... katar – odezwała się Coilla. – Czy to choroba?

– Choroba? No, chyba tak. Ale to...

– Na koń! Wszyscy! – warknął Stryk.

Oddział porzucił bukłaki oraz żywność i rzucił się ku wierzchowcom.

Kobieta patrzyła na nich zdumiona, podobnie jak reszta grupy.

– Nie rozumiem. Co się stało? Dziecko ma tylko katar.

Stryk bał się, że jego żołnierze zechcą wyciąć ludzi w pień. Nie widział sensu w przedłużaniu spotkania.

– Musimy odjechać. Żegnajcie. Życzę wam... szczęścia. Odwrócił się i pobiegł do konia.

– Czeka! – zawołała. – Czeka. Nie...

Nie słyszał jej. Wydał rozkaz natychmiastowego oddalenia się. Ruszyli galopem, zostawiając za sobą zdumionych ludzi.

– No, mało brakowało – odezwał się Jup.

– To dowodzi, że ludziom po prostu nie można ufać – dodał Alfray. – Ani Mnogom, ani Jedem.

Według Jennesty dobry Jed był martwym Jedem.

Zwłoki Jedów, na wpół zanurzone w krwawej wodzie, spełniały jej wymagania. Ale teraz miała co do nich mieszane uczucia.

Zamierzała wykorzystać zawartość zbiornika jako narzędzie jasnowidzenia. W środku tego konfliktu było to szczególnie przydatne. Znajomość zamiarów wroga dawała jej przewagę. Problem tylko w tym, że ledwie zaczęła badać sytuację, na tafli krwi pojawiła się złośliwie uśmiechnięta twarz Adpar.

Przynajmniej na razie nie było z nią Sanary.

Jennesta zniósła z zaciśniętymi zębami chwilę nieszczerych powitań, zanim je w końcu przerwała.

– To nie najlepsza chwila na pogawędki – warknęła.

– Ach, ach – odparła wizja. – A ja sądziłam, że zainteresują cię wiadomości o tych renegatach, którzy napsuli ci tyle krwi.

W głowie Jennesty włączył się alarm. Przybrała minę fałszywej obojętności.

– Renegaci? Jacy renegaci?

– Możesz okłamywać swoich służących, kochanie, ale nie mnie. Nie udawaj niewiniątka, bo mnie mdli. Obie wiemy, o czym mówię.

– Powiedzmy, że tak. Co mogłabyś mi powiedzieć?

– Tylko tyle, że twoi uciekinierzy zdobyli kolejną relikwią.

– Co?

– Nadal nie wiesz, o czym mówię?

– Skąd masz te wiadomości?

– Mam swoje źródła.

– Jeśli miałaś z tym coś wspólnego...

– Ja? A właściwie z czym?

– Znowu chcesz zniweczyć moje plany?

– Więc masz jakieś plany? Może jednak powinnam się nimi zainteresować.

– Nie mieszaj się do tego! Jeśli tylko...

– Najjaśniejsza pani... – odezwał się czyjś głos.

Jennesta podniosła głowę z morderczym spojrzeniem. Generał Mersadion stał o parę kroków od niej. Wyglądał jak dziecko, które musi się przyznać, że coś zepsuło.

– Czego? – warknęła.

– Miałem powiedzieć, kiedy...

– Tak, tak! Idę.

Wycofał się pokornie.

Jennesta spojrzała na skrzywioną twarz Adpar.

– Nie słyszałaś tego!

Potem wzburzyła ręką lodowatą, krwawą wodę, niszcząc wizję.

Wstała i ruszyła ku kłaniającemu się generałowi.

Znajdowali się na wzgórzu nad polem bitwy. Batalia, która miała się rozpocząć, nie zapowiadała się na zbyt wielką – po każdej stronie zebrało

się najwyżej tysiąc wojowników – ale jej znaczenie strategiczne było ogromne.

Po stronie królowej stali Mnogowie, krasnoludy i orkowie, przy czym ci ostatni stanowili główne siły. Naprzeciwko nich znaleźli się niemal wyłącznie Jedowie z garstką krasnoludów.

– Jestem gotowa – powiedziała. – Przygotuj osłonę.

Machnął dłonią i rząd orków z rogami myśliwskimi zadał w instrumenty. Mersadion osłonił oczy.

Armia Jennesty, słysząc ten sygnał, zrobiła to samo, ku zdziwieniu Jedów.

Jennesta podniosła ręce i uczyniła magiczny gest. Następnie sięgnęła pod płaszcz i wyjęła przedmiot przypominający niezwykle wielki klejnot. Wielofasetowy kamień wielkości pięści zaśnił, a w jego wnętrzu zawirowały miriady kolorów.

Rzuciła go w górę.

Zrobiła to jakby od niechcienia, a jednak dziwacznie wielki klejnot uniósł się w powietrze jak piórko porwane na skrzydłach wiatru. Wielu żołnierzy ujrzało jego lśnienie w słabym blasku słońca i z fascynacją przyglądało się jego lotowi. Jennesta zauważyła, że tylko nieliczni wojownicy z wrogiej armii wzorem jej żołnierzy zasłonili sobie oczy. Zawsze znajdzie się paru mądrzejszych, ale tylko paru.

Klejnot uniósł się od niechcienia, obrócił się leniwie i rzucił iskierki skoncentrowanego blasku.

A potem wybuchł z bezgłośnym rozbłyskiem, silniejszym od tysiąca piorunów.

Intensywny blask trwał sekundę. Ledwie zgasł, z pola bitwy dobiegł wrzask. Jedowie potykali się i dotykali oczu, upuszczali broń i wpadali na siebie.

Rogi znowu ryknęły. Żołnierze Jennesty odsłonili oczy i zabrali się do

rzezi.

Mersadion stał u boku królowej.

– Użyteczny dodatek do naszego arsenału – oznajmiła. – Amunicja optyczna.

Wrzaski oślepionych docierały aż do nich.

– Ale nie możemy jej używać zbyt często – dodała. – Przywykliby. Poza tym to bardzo męczące. – Otarła chusteczką czoło. – Przyprowadź mi konia.

Generał ruszył pędem.

Rzeź na polu bitwy osiągnęła apogeum. Widok był przyjemny, ale niezbyt interesujący.

W tej chwili królowa myślała tylko o Rosomakach.

ROZDZIAŁ 22



Kolejne dni miały Rosomakom raczej monotennie. Niepokoił ich tylko Haskeer. Miotał się pomiędzy zachwytem i depresją i często mówił rzeczy, których nie pojmowali. Alfray zapewniał ich, że jego choroba mija – choć dla większości starszych ras jest śmiertelna – i wkrótce powinien wyzdrowieć. Stryk nie był jedynym, który się zastanawiał, kiedy to nastąpi.

Ale wkrótce wszyscy o tym zapomnieli, bo wieczorem trzeciego dnia przybyli do Rysu.

Kraj trolli znajdował się na samym środku wielkich równin, lecz nie mógłby się od nich bardziej różnić. Bujne pastwiska przechodziły w ugory. Ugory zmieniały się w kamieniste wysypiska, a wysypiska – w skałę.

Sam Rys zaczął się wraz z pojawieniem się łańcucha wzgórz, które z bliska okazały się kamiennymi szczytami. Tak, jakby w ziemi tkwiły czubki gór.

Wszyscy wiedzieli, że działanie wody – i górników – stworzyło w nich podziemny labirynt tuneli i komnat. Ale to, co się w nich znajdowało, było tajemnicą. Śmiałkowie, którzy ośmielili się wejść do labiryntu, nigdy nie powrócili.

– Kiedy ostatnio ktoś ich zaatakował? – spytał Stryk.

– Nie wiem – przyznała Coilla. – Choć można by się domyślać, że ten

ktoś był lepiej uzbrojony niż my.

– Kimball Hobrow uważa, że mu się uda.

– Ale on zamierza tu przybyć z całą armią. A nasz oddział jest niewielki.

– Owszem, nie jest nas wielu, lecz jesteśmy doświadczeni, dobrze uzbrojeni, zdeterminowani...

– Nie musisz mnie agitować – uśmiechnęła się. – Ale nie przepadam za zamkniętą przestrzeń. – Rozejrzała się po kamienistym terenie. – Wszystkie te atuty nie będą mieć znaczenia, jeśli nie znajdziemy wejścia.

– Muszą tu być jakieś tajemne ścieżki. Nie liczyłbym, że odkryjemy je przypadkiem, ale pozostaje jeszcze główne wejście. To by był jakiś początek.

– Czyjego także nie ukryli?

– Może nie musieli. Pewnie jest dobrze strzeżone, a co ważniejsze, opinia o Rysie wystarczy, żeby odstraszyć intruzów.

– Patrz!

Wskazała potężne osypisko kamieni. Tuż przed nimi ziała czarna plama, o wiele mroczniej szara niż kamienie wokół niej. Stryk wyteżył wzrok i przekonał się, że to wejście.

Zbliżyli się nieufnie.

Był to rodzaj jaskini, lecz niezbyt dużej: mniej więcej wielkości skromnego domku. Wnętrze wydawało się puste, choć panował w nim tak gęsty mrok, że trudno było cokolwiek dojrzeć.

– Chwileczkę – odezwała się Coilla. – To powinno pomóc.

Wyjęła zza pasa krzemień i szmatę do polerowania noży. Roznieciła ogień i zapaliła skręcony materiał. Światła wystarczyło, by zobaczyć drogę na parę kroków naprzód. Weszli ostrożnie.

– Zaczynam myśleć, że to tylko wydrążona skała – odezwał się Stryk.

Coilla przypadkiem spojrzała w dół.

– Stać! – syknęła, chwytając go za ramię. Jej głos odbił się od ścian

groty. – Patrz.

Niecałe trzy kroki dalej był otwór w ziemi. Zbliżyli się i zajrzeli do środka, ale zobaczyli tylko mroczną czeluść. Coilla wrzuciła w nią płonąca szmatę. Patrzyli, jak płomień staje się małą iskierką i niknie.

– Może nie mieć dna – mruknęła Coilla.

– Wątpię. Jeśli innym grupom nie poszczęści się bardziej, to może być wejście, którego szukamy. Chodźmy.

Greever Aulay dotknął opaski na oku.

– Zawsze boli, kiedy te bydlaki są w pobliżu – mruknął.

Lekmann roześmiał się pogardliwie.

Aulay łypnął na niego spode łba.

– Możesz ze mnie kpić, ale w pałacu Jennesty bolało jak cholera, bo wszędzie aż się roilo od tych przeklętych orków.

– Jak myślisz, Jabez? – spytał Lekmann. – Czy nasz chłopaczek ma w tym pustym oczodole jakiś przyrządek do wyczuwania orków?

– Nie – odpowiedział Blaen. – Ale myślę, że je wyczuwa, bo to jeden z nich wyłupił mu oko.

– Nie wiecie, o czym mówicie – burknął Aulay. – I nie jestem chłopaczkiem.

Zostawili już Trójkę za sobą. Nie dotarli do twierdzy, nie byli aż tak bezczelni. Jednak z rozmowy z kobietami pracującymi w polu

– którym przedstawili się jako zacni Jedowie – dowiedzieli się, że Rosomaki tu były.

Najwyraźniej narobiły zamieszania, ale kiedy Lekmann próbował dowiedzieć się czegoś więcej, kobiety nagle zamilkły. Doszli do wniosku, że orkowie dopuścili się czegoś tak okropnego, iż całe miasto ścigało ich aż po zatokę Calyparr. A to znaczyło, że jednak nie sprzymierzyli się z Jedami. Łowcom nagród nie robiło to żadnej różnicy. Interesowało ich tylko zdobycie relikwii i ścięcie jak najwięcej głów wroga.

Udali się do Calyparr w nadziei, że złapią trop. Jednak przez cały dzień snuli się wzdłuż zatoki i nie znaleźli ani śladu po renegatach.

– Chyba ich tu nie znajdziemy – odezwał się Blaan.

– Myślenie zostaw mnie – poradził Lekmann. – Nigdy ci nie szło.

– Może on ma rację – wtrącił Aulay. – Jeśli tu nawet byli, to już dawno odeszli.

– A więc jednak twoje oko nie jest wiarygodnym instrumentem?

– zakpił Lekmann.

Ich rozmowa urwała się, gdy wyłonili się zza kępy drzew. Lekmann wytrzeszczył oczy.

– A to co?

Na poboczu drogi ujrzeli nędzny prowizoryczny obóz. Zamieszkiwały go kobiety, dzieci i starcy. Wyglądali na bardzo zmęczonych.

– Nie ma mężczyzn – zauważył Aulay. – Nie będzie kłopotów.

Na widok jeźdźców w obozie zapanowało poruszenie.

Z tłumu wyłoniła się kobieta. Była odziana w łachmany, a jej długie jasne włosy były splecione w warkocz. Lekmann uznał, że bije od niej wyniosłość.

Spojrzała na dziwną trójkę przybyszów. Wysoki i chudy miał bliznę. Niski, brutalny – opaskę na oku. A łysy sylwetką przypominał ceglany szalet.

Lekmann uśmiechnął się obleśnie.

– Witam.

– Kim jesteście? – spytała podejrzliwie. – Czego chcecie?

– Nie lękaj się, pani. Pilnujemy własnych spraw. – Spojrzał na tłum za jej plecami. – Szczerze mówiąc, mamy wiele wspólnego.

– Też jesteście Mnogami?

Tylko tego mu było trzeba.

– O, tak. Dokładnie tak, jak wy.

Uspokoila się, ale tylko trochę.

Lekmann wysunął stopę ze strzemienia.

– Czy możemy zsiść z koni?

– Nie mogę was powstrzymać.

Zeskoczył na ziemię; starał się poruszać powoli, by nikogo nie przestraszyć. Aulay i Blaana poszli w jego ślady.

Przeciagnął się.

– Jechaliśmy od dawna. Miło zrobić sobie przerwę.

– Nie pomyślcie, że jesteśmy niegościnni – powiedziała kobieta – ale nie możemy się podzielić jedzeniem ani wodą.

– Nie szkodzi. Widzę, że jesteście zdani na własne siły. Od dawna w podróży?

– Całą wieczność.

– Skąd jesteście?

– Z Gaju Pani. Źle się tam dzieje.

– Źle się dzieje wszędzie. To trudne czasy.

Spojrzała na Blaana i Aulaya.

– Twoi przyjaciele są milczący.

– Nie strzępią języka na próżno. Wolą działać. Ale i my nie marnujemy czasu. Zatrzymaliśmy się, bo mamy nadzieję, że nam pomożecie.

– Jak powiedziałam, nie mamy...

– Nie, nie w ten sposób. Szukamy... pewnych ludzi, a wy jesteście w drodze tak długo, że może ich widzieliście.

– Niewielu ludzi spotkaliśmy.

– Nie mówię o ludziach. Chodzi o starsze rasy.

Przez jej twarz przemknął cień podejrzliwości.

– O jaką rasę chodzi?

– O orków.

Wydawało mu się, że jego słowa wywołały jej reakcję. Nadal na niego

patrzyła, choć jej oczy jakby się zamknęły.

– Nie spotkaliśmy...

– Spotkaliśmy!

Łowcy nagród odwrócili się w stronę małej dziewczynki, która przyskoczyła do nich.

– Śmieszni panowie ze znaczkami na buziach! – zawołała. Mówiła, jakby miała zatkaany nos. – Pamiętasz?

Lekmann wiedział już, że jest na właściwym tropie.

– A, tak. – Kobieta usiłowała mówić od niechcienia. – Rzeczywiście, parę dni temu spotkaliśmy grupę orków. Bardzo się spieszyli.

Lekmann miał już zadać kolejne pytanie, kiedy dziewczynka podeszła do niego.

– Lubisz ich? – spytała, pociągając nosem.

– Nie teraz – warknął zirytowany.

Dziewczynka cofnęła się, przestraszona, i uciekła w objęcia matki. Kobieta zaniepokoiła się jeszcze bardziej. Zaciśnęła zęby. Od pozostałych Mnogów także biło napięcie, choć nie robiło to na Lekmannie żadnego wrażenia.

Przestał udawać serdeczność.

– Wiecie, gdzie pojechali orkowie?

– Skąd mielibyśmy wiedzieć?

Przestała mu ufać. Co za szkoda.

– A dlaczego ich szukacie? – spytała.

– Musimy dokończyć pewną sprawę.

– Na pewno nie jesteście Jedami?

Wyszczrzył zęby jak szczur z latryny.

– Tego jesteśmy zupełnie pewni.

Aulay i Blaan roześmieli się nieprzyjemnie.

Kobieta była coraz bardziej niespokojna.

- Więc kim jesteście?
- Podróżnymi, którzy chcą ruszyć w drogę, kiedy tylko dowiedzą się prawdy. – Rozejrzał się chytrze. – Może wasi mężczyźni wiedzą, dokąd pojechali orkowie?
- Mężczyźni... polują.
- Nie sądzę, pani. Nie sądzę, żeby tu byli jacyś mężczyźni. – Spojrzał na swoich kompanów. – A na pewno nie młodzi i silni. Gdyby byli, paru zostałoby z wami.
- Są w pobliżu i lada chwila wrócą. – W jej głosie słychać było desperację. – Jeśli nie chcecie sobie napytać biedy...
- Kiepsko kłamiesz, pani. – Spojrzał znacząco na dziecko. – Załatwmy to w przyjaznej atmosferze, dobrze? Dokąd pojechali orkowi e?
- Dostrzegła jego spojrzenie i poddała się.
- Dobrze. Wspomnieli, że jadą do Rysu.
- Do kraju trolli? Po co?
- Skąd mam wiedzieć?
- To nie ma sensu. Na pewno nie powiedzieli nic innego?
- Nie. – Dziewczynka pociągnęła ją za spódnicę i zaczęła płakać. – Wszystko dobrze, kochanie – szepnęła kobieta. – Wszystko dobrze.
- Nie wierzę, że mówisz całą prawdę – oznajmił złowrogo Lekmann. – Coś mi się zdaje, że jednak nie pojechali do Rysu.
- Powiedziałam wszystko, co wiem.
- Wybacz pani, ale muszę być tego pewien.
- Dał znak Blaanowi i Aulayowi. Ruszyli tyralierą.
- Kiedy odjechali, wiedział już na pewno, że mówiła prawdę.
- Stryk uznał, że okoliczności wymagają prostego planu.
- Mamy tylko jedną szansę i uważam, że musimy zaatakować bezpośrednio. Wchodzimy, robimy co trzeba i wychodzimy.
- Brzmi nieźle – powiedziała Coilla. – Ale pomyśl o trudnościach. Po

pierwsze: wejście. Jediną możliwą drogą jest ten szyb w grocie. Może nie prowadzi do labiryntu. A jeśli prowadzi, może sięgać niewiarygodnie głęboko.

– Mamy mnóstwo lin. A jeśli będziemy potrzebować więcej, znajdziemy pnącza i je spleciemy.

– Dobrze. Powiedzmy, że nam się uda. Ale łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Nie wiemy, ile kilometrów mają te podziemne tunele. Jeśli trolle mają gwiazdę, a jest to co najwyżej nasze przypuszczenie, będziemy musieli ją znaleźć. Nie zapominaj, że tam w dole może być ciemno. Trolle widzą w ciemnościach. My nie.

– Weźmiemy pochodnie.

– I będzie nas widać z daleka. Znajdziemy się na ich terenie i od razu na straconej pozycji.

– Nie, jeśli dojdzie do starcia.

– A wreszcie ucieczka – ciągnęła. – No, więcej chyba nie muszę mówić, prawda? Zakładasz, że to nam się uda.

– Już nieraz ryzykowaliśmy. Nie zamierzam się teraz poddać.

Westchnęła z rezygnacją.

– Faktycznie. Postanowiłeś to zrobić i już.

– Wiesz, że tak. Ale nie zabiorę ze sobą nikogo wbrew jego woli.

– Nie o to chodzi. Martwi mnie, jak mamy to zrobić. Atak nie zawsze jest najlepszym rozwiązaniem.

– Czasami jest. Chyba że masz lepszy pomysł.

– Do diabła, nie mam.

– Wiem, że się martwisz, bo tyle rzeczy może się nie udać. Ja też. Więc trochę zaczekamy, żeby się przygotować.

– Ale niezbyt długo – wtrącił Alfray. – Co z Hobrowem?

– Dostał po nosie. Jeszcze przez jakiś czas się tu nie zjawi, jeśli w ogóle się zjawi.

– Nie chodzi tylko o niego. Z tego, co wiem, wszyscy na nas polują. A w ruchomy cel trudniej trafić.

– Jasne. Ale cel, który potrafi oddać, bywa niepopularny.

– Co to znaczy „trochę zaczekamy”? – spytała Coilla. – Jak długo?

Stryk spojrział na ciemniejące niebo.

– Już prawie ciemno. Przez cały jutrzejszy dzień możemy szukać innego wejścia. Podzielimy teren na sektory i przeszukamy go bardzo dokładnie. Jeśli znajdziemy lepsze wejście, skorzystamy z niego. Jeśli nie, wejdziemy tym, które już znamy.

– Jeśli to w ogóle wejście – mruknęła Coilla.

– Nie chciałbym komplikować – odezwał się Jup – ale jeśli znajdziemy gwiazdę i nie będziemy mogli jej zdobyć, co wtedy?

– A już miałem nadzieję, że nikt nie zada tego pytania.

Alfray poparł Jupa.

– Trzeba je zadać. Po co tam wchodzimy?

– Bo... no, bo co innego mamy zrobić? Jesteśmy orkami. Musimy mieć jakiś cel, przecież wiesz.

– Jeśli będziemy dalej tak postępować, to znaczy zgodnie z logiką, i w ogóle uda nam się ująć z życiem z Rysu, będziemy musieli się dowiedzieć, gdzie są pozostałe gwiazdy – powiedziała Coilla.

– Na razie dopisywało nam szczęście – dodał Jup. – Ale to się kiedyś skończy.

– Sami tworzymy własne szczęście – oznajmił Stryk.

– Pomyślałam, że jeśli negocjacje z Jennestanie wchodzi w grę...

– zaczęła Coilla.

– Bo nie wchodzi – wtrącił Stryk – jeśli o mnie chodzi.

Jeśli to nie wchodzi w grę, może powinniśmy rozpocząć rozmowy z kimś innym.-Kim?

– Nie wiem! Usiłuję znaleźć jakieś rozwiązanie, tak jak wszyscy. Jeśli

nie odnajdziemy wszystkich gwiazd, to te, które będziemy mieć, na nic się nam nie przydadzą. Chyba że je spieniężymy, żeby wygodnie żyć.

– Te gwiazdy to władza. Władza, która może wiele dać orkom i innym starszym rasom. Nie zrezygnuję z niej tak łatwo. A co do pieniędzy, zapominasz o krystalinie. Już mała jego ilość da nam sporą sumkę.

– A właśnie, co z kryształem? – spytał Alfray. – Zastanowiłeś się, jak go rozdzielić?

– Uznałem, że na razie pozostanie wspólną własnością, służącą całemu oddziałowi. Macie coś przeciwko?

Nikt się nie odezwał.

Haskeer, który stał w pewnej odległości i nie brał udziału w rozmowie, zbliżył się do nich. Miał nieprzytomną minę, do której zdążyli się już niemal przyzwyczaić.

– Co się dzieje? – spytał.

– Rozmawiamy, jak się dostać do Rysu – powiedziała Coilla.

Twarz Haskeera rozjaśniła się.

– Może porozmawiamy z trollami?

Roześmieli się. Potem dotarło do nich, że nie żartował.

– Jak to „porozmawiamy”? – spytał Alfray.

– Byłoby dużo lepiej, gdyby trolle były naszymi przyjaciółmi.

Alfray otworzył usta.

– Co?

– Przecież to możliwe, prawda? Wszyscy nasi wrogowie mogliby być przyjaciółmi, gdybyśmy z nimi rozmawiali, zamiast ciągle walczyć.

– Nie wierzę własnym uszom. I ty to mówisz? – mruknęła Coilla.

– Czy to coś złego?

– Nie, tylko... to do ciebie niepodobne.

Zastanowił się.

– Aha. No dobrze. To ich zabijmy.

– Tak zrobimy, jeśli będziemy musieli.

Rozpromienił się.

– Dobrze. Dajcie znać, jak będziecie mnie potrzebować. Idę karmić konia.

Odszedł.

– Co to było, do diabła? – spytał Jup.

Coilla pokręciła głową.

– Solidnie mu odbiło.

– Nadal twierdzisz, że mu przejdzie? – zwrócił się Stryk do Alfraya.

– Trochę to trwa, nie przeczę, ale już widziałem coś podobnego, kiedy żołnierze dochodzili do siebie po ciężkim przypadku febii. Albo kiedy dostawali wody w płucach. Często przez wiele dni chodzili jak ośpiali i dziwnie się zachowywali.

– Dziwnie! – zawołała Coilla. – Dziwniej już nie można.

– Nie wiem, czy mam się martwić, czy dziękować bogom, że stał się taki – wyznał Jup.

– Przynajmniej się nad tobą nie znęca, a my nie musimy znosić jego ciągłego narzekania.

– Zakładasz, że to przez jego chorobę – odezwał się Stryk. – A może jest inna przyczyna? Może dostał cios w głowę, o którym nie wiemy?

– Nie ma żadnych śladów. Owszem, to możliwe, ale chyba miałyby chociaż siniaki. Nie jestem wielkim znawcą urazów głowy. Wiem tylko – tak jak ty – że w ich efekcie orkowie mówią i robią dziwne rzeczy.

– No, wydaje się dość nieszkodliwy, ale uważajcie na niego wszyscy.

– Raczej nie możemy go ze sobą zabrać? – spytała Coilla.

– Nie, byłby ciężarem. Zostawimy go z paroma szeregowcami w obozie, z końmi. No i z kryształem. Może chciałabyś z nim zostać, Coilla?

Parsknęła.

– Twierdzisz, że jestem ciężarem?

– Nie. Ale nie lubisz zamkniętych pomieszczeń, mówiłaś to nieraz, a muszę zostawić tu kogoś odpowiedzialnego. Nie mogę zabrać ze sobą gwiazd. To zbyt ryzykowne. Mogłabyś ich przypilnować do mojego powrotu. – Zauważył jej minę. – No dobrze, przyszło mi też do głowy, że mogłabyś kontynuować misję, gdybyśmy nie wrócili.

– Sama?

– Z Haskeerem – uśmiechnął się Jup.

– Bardzo śmieszne – warknęła.

Wszyscy spojrzeli na Haskeera.

Głaskał konia i karmił go z ręki.

ROZDZIAŁ 23



Bóg rozpoczął dzieło zniszczenia. Kimball Hobrow był tego pewien. Poszukiwania nie ludzi, którzy odebrali mu jego własność, zaprowadziły jego i dziesięć tuzinów jego zwolenników na brzeg zatoki Calyparr. Po zapadnięciu zmroku dotarli na miejsce rzezi. Przy drodze leżały ciała mniej więcej dwudziestu ludzi, głównie kobiet i dzieci.

Hobrow rozpoznał ich stroje. Choć teraz wyglądały jak łachmany, były nieskromne i zbyt krowne, a ich jaskrawe kolory świadczyły o pobłażaniu próżności. Dobrze znał tych bluźnierców, uciekinierów ze ścieżki prawości. Przeklęci wyznawcy sekty Mnogów.

Wraz z oddziałem nadzorców przechadzał się między pomordowanymi. Jeśli widok okrutnych ran i krwi robił na nim jakieś wrażenie, nie okazywał tego.

– Spójrzcie – odezwał się. – Ci nędznicy zeszli z jedynie słusznej drogi. Przyjęli plugawe pogaństwo nieczystych ras, a Pan ich za to ukarał. I oto ironia losu, bracia, na narzędzie swej zemsty obrał nie ludzi. Zadawali się z węzami i węże ich pożarły. Oto sprawiedliwość.

Spoglądał w twarze zmarłych i oglądał ich rany.

– Ręka Wszechmocnego jest potężna i nie zna przeszkód – zagrzemiał. – Uderza w nieprawych tak rychło, jak rychło nagradza wybranych.

Jeden z nadzorców wezwał go na pobocze drogi.

– O co chodzi, Calvert?

– Jedna jeszcze żyje, panie. – Wskazał jakąś kobietę.

Jej długie jasne włosy były splecione w warkocz. Pierś miała zakrwawioną, oddychała płytko. Jej koniec był bliski.

Hobrow ukląkł koło niej. Była świadoma jego obecności i usiłowała coś powiedzieć, ale z jej drżących ust nie wydostało się żadne słowo.

Pochylił się bliżej.

– Mów, dziecko. Wyznaj swoje grzechy, uwolnij się.

– Przy... przyszli...

– Kto?

– Przyszli... i...

– Kto? Orkowie?

– Orkowie... – Jej szkliste oczy na chwilę odzyskały przytomność. – Tak... orkowie...

– To oni ci to zrobili?

– Orkowie... przyszli...

Nadzorcy zebrali się wokół nich.

– Widzicie? – pouczył ich Hobrow. – Żadni ludzie nie są bezpieczni wśród tych nieboskich ras, nawet jeśli są tak głupi, by się z nimi sprzymierzyć. – Odwrócił się do umierającej. – Dokąd poszli?

– Orkowie...

– Tak, orkowie. – Mówił powoli i dobitnie. – Wiesz, dokąd poszli?

Nie odpowiedziała. Chwycił jej rękę i ścisnął.

– Dokąd poszli? – powtórzył.

– Ry...Rys...

– Mój Boże. – Porzucił ją i wstał.

Wyciągnęła do niego rękę, która po chwili opadła bezwładnie.

– Na koń! – zagrzemiał z oczami płonącymi proroczym ogniem. – To robactwo, którego szukamy, sprzymierzyło się z innymi ze swego rodzaju.

Rozpoczynamy krucjatę, bracia!

Popędzili do koni, zarażeni jego zapalem.

– Zemścimy się! – poprzysiągł. – Prowadź nas i osłaniaj, Panie!

Rosomaki przez cały dzień szukały innego wejścia do Rysu. Jeśli istniało, było zbyt dobrze ukryte. Ale nie spotkali także trolli, czego się obawiali, a to można było uznać za uśmiech szczęścia.

Stryk zdecydował, że następnego dnia wcześniej rano wejdą do labiryntu głównym wejściem, jak je zaczęli nazywać. Teraz była już noc, a im pozostało jedynie czekać na świt. Niektórzy twierdzili, żetrolle wychodzą o zmroku na powierzchnię, więc podwoili strażę i trzymali broń w pogotowiu.

Alfray zaproponował, żeby podzielić się krystalinem. Stryk nie miał nic przeciwko temu, pod warunkiem że każdemu przypadnie niewielka ilość, a strażnicy nie dostaną go w ogóle. Sam także sobie odmówił. Rozłożył koc na skraju obozu i zaczął się zastanawiać nad planem.

Ostatnie, co zapamiętał przed zapadnięciem w sen, to gryzący zapach krystalinu.

W gęstniejącym zmroku zaczęły przebfyskiwać gwiazdy. Jeszcze nigdy nie widział, by świeciły tak jasno.

Stał na skraju przepaści.

O rzut włócznią była druga skalna ściana. Po tamtej stronie widział drzewa, wysokie i proste. Dzielila go od nich głęboka przepaść. Daleko w dole pieniała się rzeka, nad którą kłębiły się obłoki drobniutkich kropelek, powstałych przy zderzeniu z głazami. Kamieniste koryto ciągnęło się jak okiem sięgnąć.

Obie strony przepaści łączył delikatnie kołyszący się most z mocnych lin i pnączy. Nie wiedząc dlaczego, Stryk postawił stopę na podłodze z desek i ruszył na drugą stronę.

Poza osłoną skały silny wiatr rozproszył przyjemne ciepło wieczoru.

Przyniósł chłodzącą mgiełkę kropielek ze strumienia. Stryk szedł powoli, rozkoszując się wspaniałą scenerią i głęboko wdychając krystaliczne powietrze.

Przeszedł już prawie jedną trzecią mostu, kiedy zdał sobie sprawę, że z przeciwnej strony ktoś się do niego zbliża. Nie widział rysów postaci, ale postać poruszała się zdecydowanie i swobodnie. Nie zwolnił kroku. Wkrótce zbliżyła się na tyle, że mógł ją rozpoznać.

Była to ta sama samica, którą już spotkał. Gdziekolwiek to było.

Miała na głowie stroik z płomiennie szkarłatnych piór. Zza jej lewego ramienia wyglądała rękojeść przypasanego na plecach miecza. Jedną rękę opierała lekko na poręczy z lin.

Rozpoznała go i uśmiechnęła się. Odwzajemnił jej uśmiech.

Spotkali się na środku mostu.

– Nasze ścieżki znowu się przecinają— powiedziała. – Witaj. Poczuję to samo dziwne poruszenie co podczas poprzednich spotkań.

– Witaj – odparł.

– Jesteś bardzo tajemniczym orkiem – dodała.

– Dlaczego?

– Pojawiasz się i znikasz w tajemniczy sposób.

– Mógłbym to samo powiedzieć o tobie.

– Nie, ja zawsze tu jestem. A ty pojawiaasz się i znikasz jak ta mgła nad rzeką. Dokąd się udajesz?

– Donikąd. To znaczy... chyba podróżuję. A ty?

– Ja żyję tak, jak dyktuje mi moje życie.

– A jednak nosisz miecz w miejscu, gdzie łatwo po niego sięgnąć.

Zerknęła na jego broń u pasa.

– A ty nie. Mój sposób jest lepszy.

– W moim kraju także noszono tak broń, przynajmniej wówczas, gdy podróżowano w bezpiecznej okolicy. Ale to było dawno.

– Nikomu nie zagrażam i podróżuję, gdzie chcę. Tam, skąd przybywasz, jest inaczej?

– Tak.

– Więc musisz pochodzić z ponurych stron. Bez urazy.

– Nie uraziłaś mnie. Powiedziałaś prawdę.

– Może powinieneś rozbić swój obóz tutaj.

Nie był pewien, czy to zaproszenie.

– Byłoby przyjemnie – powiedział. – Żałuję, że to niemożliwe.

– Coś cię powstrzymuje?

– Nie wiem, jak tu dotrzeć.

Roześmiała się.

– Zawsze mówisz zagadkami. Jak możesz tak twierdzić, skoro już tu jesteś?

– Nie rozumiem tego tak samo jak ty. – Odwrócił się od niej i spojrzał na grzmącą wodę. – Nie wiem, jak się tu znalazłem, tak jak ta rzeka nie rozumie, dokąd płynie. A nawet wiem mniej od niej, bo rzeka zawsze płynie do oceanu i jest wieczna.

Samica zbliżyła się do niego.

– My też jesteśmy wieczni. Płyniemy rzeką życia. – Sięgnęła do sakiewki i wyjęła dwa małe kamyczki, okrągłe i gładkie. – Znalazłam je na brzegu rzeki. – Upuściła je. – Teraz znowu stanowią jedność z nią, tak jakmy stanowimy jedność z rzeką czasu. Widzisz, jakie to stosowne, że spotkaliśmy się na moście?

– Nie wiem, czy cię rozumiem.

– Nie?

– Czuję prawdę twoich słów, ale wymyka się ona mojemu rozumowi.

– Więc sięgnij dalej, a zrozumiesz.

– Jak to zrobić?

– Nie starając się.

– Teraz ty mówisz zagadkami.

– Prawda jest prosta. To my uważamy ją za zagadkę. Zrozumienie przyjdzie do ciebie.

– Kiedy?

– Zacznie się od zadania tego pytania. Bądź cierpliwy, przybyszu. – Uśmiechnęła się. – Nadal nazywam cię przybyszem. Nie znam twojego imienia.

– Ani ja twojego.

– Jak się nazywasz?

– Stryk.

– Stryk. Mocne imię. Pasuje do ciebie. Tak... Stryk-powtórzyła, jakby rozkoszowała się nim. – Stryk.

– Stryk! Stryk! Stryk!

Ktoś nim potrząsał.

– Mm... Mmm? Jak masz na imię?

– To ja, Coilla. A myślałeś, że kto? Obudź się!

Zamrugął oczami i rozejrzał się. Oprzytomniał. Świtało. Znajdowali się w Rysie.

– Dziwnie wyglądasz. Wszystko dobrze?

– Tak... tak. Miałem sen.

– Ostatnio miewasz sporo snów. Koszmar?

– Nie. Zupełnie nie. Po prostu sen.

Jennesta śniła o krwi i pożarach, śmierci i zniszczeniu, cierpieniu i rozpacz. Śniła o pożądaniu i oświeceniu, które się poprzez nie zyskuje.

Tak jak to miała w zwyczaju.

Obudziła się w swoim sanktuarium. Zmasakrowane ciało mężczyzny, ledwie dojrzałego, leżało na szkarłatnym ołtarzu wśród symboli nocnego rytuału. Wstała, nie zwracając na nie uwagi, i otuliła nagie ciało futrem. Jej strój uzupełniały wysokie skórzane buty.

Świtało, a ona musiała się czymś zająć.

Na jej widok strażnicy orkowie stanęli na baczność.

– Chodźcie – rozkazała szorstko.

Ruszyli za nią. Wyprowadziła ich labiryntem korytarzy po kamiennych schodach na otwartą przestrzeń. Znaleźli się na placu defiladowym przed pałacem.

Czekało na nim kilkuset żołnierzy z armii orków, stojących w równych szeregach. Świadkowie sceny, która miała się tu rozegrać, zostali wybrani z każdego regimentu. W ten to skuteczny sposób wieści o tym, co się tu wydarzy, miały się rozejść po całej hordzie.

Żołnierze patrzyli na gruby drewniany pal wysokości niewielkiego drzewa. Przywiązano do niego orka. Drewno i chrust sięgały mu niemal do pasa.

Generał Mersadion powitał Jennestę ukłonem.

– Jesteśmy gotowi, najjaśniejsza pani.

– Odczytać wyrok.

Mersadion skinął na kapitana orków. Ten wystąpił i uniósł pergamin. Grzmącym głosem, który przesądził o jego wyborze do tego niepopularnego zadania, zaczął czytać:

– Z rozkazu Jej Cesarskiej Wysokości królowej Jennesty podaje się do ogólnej wiadomości werdykt sądu wojskowego w sprawie sierżanta cesarskiej hordy, Kreknera.

Wszyscy spojrzeli na orka przy palu.

– Kreknerowi zarzucono po pierwsze to, że świadomie sprzeciwił się rozkazowi zwierzchnika, po drugie zaś to, że odmawiając wykonania go, okazał tchórzostwo w obliczu wroga. Sąd uznał go za winnego obu przestępstw i skazał na przepisową karę.

Kapitan opuścił pergamin. Na placu zapanowała martwa cisza.

Mersadion zwrócił się do jeńca:

– Masz prawo zwrócić się do królowej z ostatnią prośbą. Czy skorzystasz z niego?

– Tak – odparł Krekner. Głos miał spokojny i donośny. Z godnością stawiał czoła sytuacji, w jakiej się znalazł.

– Mów – rozkazał Mersadion.

Sierżant odwrócił głowę ku Jenneście.

– Najjaśniejsza pani, nie chciałem okazać braku szacunku. Kazano nam ponowić atak, lecz obok znajdowali się ranni towarzysze, którym można było pomóc. Zatrzymałem się, by zatamować krew jednemu orkowi, i sądzę, że uratowałem mu życie. Potem wykonałem rozkaz. Była to zwłoka, nie nieposłuszeństwo, więc błagam o litość. Sądzę, że spotyka mnie niesprawiedliwa kara.

Było to chyba najdłuższe i z pewnością najważniejsze przemówienie w jego życiu. Spojrzał wyczekująco na Jennestę.

Kazała mu czekać – i wszystkim żołnierzom – przez pełne pół minuty. Bawiło ją, że właśnie w tej chwili budzi się w nim nadzieja.

– Rozkazy należy wykonywać – oznajmiła. – Nie ma wyjątków od tej reguły, a już na pewno nie w imię... współczucia – wypowiedziała to słowo, jakby miało wstrętny smak. – Apelacja odrzucona. Wyrok ma zostać wykonany. Niech twój los stanie się przykładem dla wszystkich.

Uniosła rękę, wypowiadając zaklęcie. Skazaniec zacisnął zęby.

Iskra skoncentrowanego światła wytrysnęła z jej palców, przemknęła łukiem w powietrzu i zapaliła chrust u stóp skazańca. Drewno zajęło się w ułamku chwili. Pomarańczowożółte płomienie objęły orka.

Sierżant dzielnie stawiał czoła swemu losowi, ale w końcu nie mógł dłużej powstrzymać krzyku. Jennesta beznamiętnie przyglądała się jego męce.

Oczami wyobraźni widziała na jego miejscu Stryka.

Rosomaki były gotowe do wymarszu.

Stryk sądził, że Haskeer będzie protestować, nie mogąc brać udziału w misji. Mylił się. Sierżant przyjął tę wiadomość bez skargi. Prawdę mówiąc, było to bardziej niepokojące niż jego narzekania, do których już się przyzwyczaili.

Stryk wziął Coillę, Alfraya i Jupa na bok i wyjaśnił im, na czym polega plan.

– Tak, jak uzgodniliśmy, Coilla zostanie w obozie z Haskeerem – powiedział. – I z Reafdawem.

– A co z krystalinem? – spytała.

– Zamiast zostawiać go w wielu różnych jukach, kazałem go przesytać. – Wskazał worki, stojące przy koniach. – Możesz go spakować na jednego konia. W ten sposób, jeśli będziecie musieli szybko uciekać, oszczędzisz czasu.

– Rozumiem. Co z gwiazdami?

Sięgnął do sakiewki.

– Proszę. To, co z nimi zrobisz, jeśli nie wrócimy, zależy od ciebie.

Przez chwilę przyglądała się dziwnym przedmiotom, po czym wsunęła je do sakiewki przy pasie.

– W takim razie mam nadzieję, że to będzie coś, co by ci się spodobało.

– Wymienili uśmiechy. – Ale jaki jest plan, gdybyście naprawdę nie wrócili?

– Na pewno nie możesz pójść za nami. Czy to jasne?

– Tak. – Odpowiedź była bardzo niechętna.

– To rozkaz. Jeśli do jutra nie wrócimy, to nie wrócimy już wcale. Wtedy macie się stąd zabierać. Zastanów się, dokąd pójdziecie.

– Bogowie wiedzą. Ale coś wymyślimy, jeśli to będzie konieczne. Tylko nie dawaj nam powodu, dobrze?

– Zrobimy, co w naszej mocy. I oczywiście nie muszę chyba mówić, że jeśli przed naszym przybyciem pojawią się jakieś trolle, macie się stąd

ewakuować.

Skinęła głową.

– A jak wygląda nasz plan? – chciał wiedzieć Alfray.

– Jest nieokreślony. Nie ma innej rady. Nie wiemy, co tam znajdziemy, ani nawet, czy to, co uważamy za wejście, jest nim naprawdę.

– Idziemy na ślepo. Kiepsko.

– Owszem, ale już tak bywało.

– Martwi mnie, że jeśli cokolwiek pójdzie źle, naprawdę będziemy tam jak ślepi – wyznał Jup.

– Trolle mająprzewagę, jeśli chodzi o widzenie w ciemnościach. To prawda. Ale weźmiemy mnóstwo pochodni. Dopóki będziemy je mieli, stawimy czoło wszystkim przeszkodom. Nie rezygnujemy z elementu zaskoczenia.

– I tak cholernie ryzykujemy.

– Tego nas nauczono i pewnie mamy w tym więcej doświadczenia niż mieszkańcy tych jaskiń.

– Miejmy nadzieję. Idziemy?

– Tak. Zebrać szeregowców. Zabrać liny i pochodnie.

Jup i Alfray odeszli.

– Mogę odprowadzić was do wejścia? – spytała Coilla.

– Chodź. Ale nie zostawaj tam długo. Masz strzec obozu i krystalinu. Zostawili Haskeera z Reafdawem i poszli do jaskini.

W dziennym świetle wewnątrz groty wydawało się jeszcze mroczniejsze. Weszli ostrożnie. Na skraju szybu zapalili pochodnie.

– Wrzucić je do środka – rozkazał cicho Stryk.

Dwóch szeregowców wrzuciło do szybu po dwie płonące gałęzie. Przyglądali się, jak spadały. W przeciwieństwie do wrzuconej przez Coillę szmaty, nie znikły. Wylądowały na czymś twardym, ale bardzo oddalonym.

– Przynajmniej wystarczy nam liny – osądził Alfray.

Pochodnie rzucały kręgi światła, jednak niewystarczające, by można było zobaczyć, co jest w dole. Na szczęście nie dostrzegli żadnych istot.

Stryk wydał rozkaz, by mocno zawiązano trzy liny na skałach i drzewach przed grotą.

– Na wypadek, gdyby na dole była jakaś pułapka – wyjaśnił – będziemy schodzić szybko i jednocześnie.

Oddział ustawił się w trzech szeregach. Zapalono i rozdano kolejne pochodnie. Niektórzy wzięli w zęby noże.

Coilla życzyła im szczęścia i wycofała się.

Stryk skinął głową.

– W drogę – powiedział, chwytając linę.

Pierwszy zeskoczył do szybu. Reszta żołnierzy natychmiast poszła w jego ślady.

ROZDZIAŁ 24



tryk zeskoczył ostatnie trzy metry w dół i puścił linę. Szybko wyciągnął miecz. Jup wylądował obok i także sięgnął po broń. Wkrótce potem reszta żołnierzy znalazła się obok nich. Rozejrzeli się. Znajdowali się w okrągłej komnacie, o mniej więcej trzy razy większej średnicy niż szyb, którym się tu dostali. Prowadziły z niej dwa tunele – jeden na wprost, drugi na lewo.

Było cicho jak w grobie i ani śladu mieszkańców. W powietrzu wisiał nieprzyjemny ziemisty zapach.

– Co teraz? – szepnął Jup.

– Najpierw zabezpieczmy drogę odwrotu. – Stryk skinął na szeregowców. – Liffin, Bhose! Zostaniecie tutaj. Będziecie pilnować wyjścia. Nie ruszajcie się z miejsca, aż wrócimy albo skończy się wyznaczony na powrót czas.

Skinęli głowami i zajęli miejsca.

– Teraz pozostaje pytanie, w którą stronę iść? – powiedział Alfray, przyglądając się obu tunelom.

– Może podzielimy się na dwie grupy? – zaproponował Jup.

– Nie, akurat tego zdecydowanie chciałbym uniknąć. Oddział i tak jest za mały.

– Więc co? Rzucimy monetą?

– Myślę, że duży tunel prowadzi do czegoś ważnego. Coś mnie tam ciągnie. Ale najpierw sprawdzimy ten mniejszy, na wypadek, gdyby krył jakieś nieprzyjemne niespodzianki.

Wysłał Kestiksa i Jada, by pilnowali ujścia większego tunelu. Potem wyznaczył Hystykka, Noskę, Calthmona i Breggina. Wziął zwój liny i rzucił temu ostatniemu.

– Idźcie tunelem tak daleko, na ile wystarczy wam liny. Jeśli okaże się, że prowadzi w jakieś interesujące miejsce, jeden z was wróci i powie nam. Ale nie ryzykujcie. I przy pierwszych kłopotach od razu wracajcie.

Jup chwycił jeden koniec liny, Breggin owinął się drugim wokół pasa, wziął pochodnię i poprowadził pozostałych do tunelu.

Oddział czekał w napięciu. Lina z wolna odwijala się ze zwoju. Po paru minutach naprężyła się.

– A jeśli napotkają coś, co przerośnie ich siły? – spytał Alfray. – Mamy wejść za nimi?

– Później będziemy się martwić – odparł Stryk. – Najpierw sprawdzimy, co się dzieje.

Nie musieli długo czekać. Żołnierze wkrótce wrócili.

– I?

– Nic ciekawego – oświadczył Breggin. – Tunel ciągnął się i ciągnął dużo dalej, niż sięgała lina. Żadnych bocznych odnóg ani niczego podobnego.

– Dobrze, więc skupimy się na drugim tunelu. Tu też posłużymy się liną, choć chyba nie starczy nam na długo.

– Nie zdradzi nas, kiedy pojawi się jakiś troll? – odezwał się Jup.

– Nie sądzisz, że oddział buszujący po tunelach z płonącymi pochodniami w ogóle dość rzuca się w oczy? – Zwrócił się do wszystkich. – Jeśli spotkamy trolle, macie najpierw atakować, potem zadawać pytania. Musimy wykorzystać element zaskoczenia. Trzymać się razem i jak

najmniej hałasować.

Po raz ostatni upomniał Liffina i Bhose'a, by zachowali czujność, i wszedł z żołnierzami do głównego tunelu. Alfray szedł obok niego z pochodnią.

Tunel biegł prosto jak strzała, choć jednocześnie łagodnie schodził w dół. Stryk odczuł wyraźny spadek temperatury, a jego nozdrza połaskotał nieprzyjemny, stęchły zapach. Szli równym krokiem przez jakieś pięć minut, choć Stryk podejrzewał, że w tym mrocznym, cichym świecie inaczej odczuwa się upływ czasu. W końcu dotarli do bocznego tunelu. ^

Był wąski, mniej więcej jak przeciętne drzwi, i niski. Ściany miał wilgotne i oślizłe. Kiedy zaświecili do środka, okazało się, że biegnie niemal pionowo w dół. Wysłali na zwiady szeregowca obwiązanego liną i z pochodnią.

Kiedy go znowu wciągnięto, oświadczył, że tunel kończy się wysokim podobnym do studni szybem.

– Pewnie to studzienka burzowa – domyślił się Alfray. – Odprowadza wodę, kiedy dochodzi do powodzi.

– Sprytne – powiedział Stryk z uznaniem.

– Trolle mają dużo czasu na takie wynalazki. Może i są dzikie, ale nie to nie znaczy, że są głupie. Musimy o tym pamiętać.

Znowu ruszyli głównym tunelem, który obecnie schodził w dół pod nieco większym kątem. Jakieś trzydzieści kroków dalej skończyła się lina. Zostawili ją i szli dalej. Minęło kolejne pięć minut – według obliczeń Stryka – i tunel zaczął się rozszerzać. W końcu dotarli do kolejnej komnaty. Zatrzymali się.

Wyglądała na pustą. Nie dochodziły z niej żadne dźwięki, więc weszli.

Ledwie znaleźli się w środku, nagle z cienia rzuciły się na nich mroczne postacie.

W świetle migoczących pochodni nie mogli ich zobaczyć wyraźnie.

Starli się z nimi. Dokoła rozgorzała walka, niemal bezgłówna, jeśli nie liczyć zgrzytu ostrzy, stękania i od czasu do czasu wrzasku.

Na Stryka rzuciła się ledwie widoczna, śmigła postać. Wymierzył jej cios, który odparowała. Znowu zamachnął się mieczem i nie trafił. Tylko przypadkiem dostrzegł błysk ostrza skierowanego ku swojej szyi. Usłyszał świst koło ucha tuż po tym, jak zdążył uskoczyć.

Rzucił się naprzód z mieczem i poczuł, że wbija go w miękkie ciało; nieprzyjaciel upadł. Stryk odwrócił się ku kolejnemu, próbując dostrzec go w półmroku.

Za jego plecami Alfay i Jup ścierali się ze swoimi przeciwnikami. Krasnolud rozłupał wrogowi głowę. Alfray cisnął płonąca pochodnią w trolla, który wydał straszliwy wrzask. Uciszył go jednym ciosem.

Zabrakło im wrogów. Potyczka była szybka i brutalna. Rosomaki zwyciężyły, choć ich przeciwnik widział w ciemnościach. Stryk rozejrzał się. Znalazł kolejny korytarz w ścianie komnaty.

– Strzec tamtego tunelu! – rzucił.

Paru szeregowców pobiegło tam, trzymając miecze w pogotowiu.

– Zabici? Ranni? – spytał.

Nikt nie odniósł poważniejszych obrażeń.

– Mieliśmy szczęście – wydyszał Alfray.

– Tak, ale chyba tylko dlatego, że było nas więcej. W przeciwnym razie mogłoby to się różnie skończyć. Zobaczmy, co tu mamy.

– Wziął pochodnię Alfraya i uniósł ją nad jednym z ciał na ziemi.

Troll był niski, bardzo muskularny i pokryty kudłatym szarym futrem. Miał bladą twarz, typową dla stworzenia żyjącego pod ziemią. Jego pękata pierś przywykła do oddychania rozrzedzonym powietrzem na dużych głębokościach. Miał też nieproporcjonalnie długie ręce i nogi oraz ogromne dłonie, o długich, zakończonych szponami palcach, doskonale nadających się do rycia w ziemi.

Choć martwy, leżał z otwartymi oczami. Przystosowany do braku światła, miał znacznie większe niż w przypadku większości ras, niemal ogromne i czarne tęczówki. W jego wyglądzie było coś, co kojarzyło się ze świnią. Nos miał pękaty i miękki. Kontrastującą z wypłowiałym futrem i brodą głowę porośniętą jaskrawymi włosami. W zwodniczym świetle latarni miały kolor zardzewiałej pomarańczy.

– Nie chciałoby się go spotkać po zmierzchu, co? – zauważył ironicznie Jup.

– Idźmy dalej – powiedział Stryk.

W następny tunel zagłębili się jeszcze ostrożniej.

Droga wkrótce skręciła ostro w prawo, po czym znowu biegła prosto. Minęli parę bocznych komnat, małych i pustych. Potem tunel zwęził się tak, że musieli iść gęsiego. Na głębokości jakichś trzydziestu metrów dotarli do korytarza, w którym ściany i sufit były wyłożone pniami drzew i umocnione drewnianymi klinami.

Stryk i Alfray szli przodem, nieco oddaleni od pozostałych. Dotarli do grubej, wystającej belki. Alfray pierwszy zaczął się koło niej przeciskać, wysoko wznosząc pochodnię.

Dopiero po drugiej stronie zdał sobie sprawę, że na końcu kryje się ślepy tunel.

Ale było już za późno. Z cienia wyskoczył na niego troll. Zderzenie z ohydnie włochatym cielskiem wyrzuciło Alfraya w powietrze i pozbawiło go pochodni.

Stryk rzucił się na napastnika, tnąc go mieczem. Ten odskoczył parę kroków, by uniknąć ostrza. Wrócił i zaczął zasypywać Stryka gradem trudnych do odparowania ciosów.

W korytarzu było tak ciasno, że reszta oddziału nie mogła ruszyć im z pomocą. Musieli bezradnie przyglądać się starciu.

Stryk wymierzył cios w pierś stwora. Odskoczył z zadziwiającą

zwinnością; miecz trafił w belkę sufitu i zadudnił głucho. Posypał się grad trocin.

Wyszarpnięcie ostrza zajęło Strykowi parę cennych chwil, co omal nie kosztowało go życie. Troll rzucił się na niego z drapieżnym warkotem, dziko wywijając bronią.

Ale zapomniał o Alfrayu. Ten, na czworakach dochodząc do siebie po pierwszym starciu, wyciągnął rękę i chwycił trolla za nogi. Nie zdołał go przewrócić, ale na tyle zaskoczył, że Stryk mógł wymierzyć cios. Jego miecz rozplątał bok trolla, który upadł z wrzaskiem, całym ciężarem ciała uderzając o i tak już przeciętą belkę.

Drewno zaskrzypiało niebezpiecznie.

Z góry dobiegł złowrogi trzask. Posypała się ziemia i kamyki. Troll wydał ohydny krzyk rozpacz.

Stryk chwycił Alfraya za kamizelę i poderwał go z ziemi. Kątem oka dostrzegł Jupa i resztę oddziału po drugiej stronie korytarza.

Rozległ się huk, niczym uderzenie pioruna, i sufit runął na trolla, miażdżąc go pod ciężarem kamieni i gruzu. Fala uderzeniowa rzuciła Alfraya i Stryka na ziemię. W powietrze uniosły się chmury duszącego pyłu.

Przez bardzo długie minuty, które wydawały się ciągnąć w nieskończoność, leżeli z rękami na głowach. Nie ośmielili się otworzyć oczu, dopóki nie minęły ostatnie wstrząsy.

Wreszcie hałasy ucichły, lawina ustała, a pył zaczął osiadać. Wstali, krztusząc się i kaszląc.

Tunel na końcu był zupełnie zasypany. Wśród gruzu widać było kilka wielkich głazów. Alfray chwycił jeszcze płonąca pochodnię, ich jedyne źródło światła, i podeszli, żeby ocenić sytuację.

Było jasne, że nie zdołają się przebić przez ziemię i gruz.

– Nie ma szans – oznajmił Alfay, bez skutku napierając na zaporę. – To

waży kilka ton.

– Masz rację, nie przebijemy się.

– Chyba nie przysypało naszych?

– Nie, jestem pewien, że stali dalej. Ale oni też się do nas nie przedostaną. Cholera!

Alfray westchnął przeciągle.

– No, jeśli się łudziliśmy, że trolle jeszcze o nas nie wiedzą, to już możemy przestać. Chyba że pogłuchli.

– Nie możemy wracać, nie możemy zostać tutaj, bo to się może dalej zawalić. Pozostaje nam jedno.

– Miejmy nadzieję, że reszta oddziału zdoła obejść to zawalisko.

– Albo że my znajdziemy drogę do nich. Ale na to bym nie liczył.

– Dwóch przeciwko królestwu trolli. Małe szanse, co?

– Miejmy nadzieję, że się o tym nie przekonamy.

Rzucili ostatnie spojrzenie na zablokowany tunel i ruszyli w nieznane.

Coilla uznała, że choć towarzystwo Haskeera nigdy nie było zabawne, przedtem przynajmniej był pełen życia.

Zerknęła na niego. Siedział naprzeciwko na leżącym na ziemi siodle, ręce opuścił bezwładnie i gapił się w pustkę.

Reafdaw wypełniał jej rozkaz, przywiązując worki z krystalinem do grzbietów dwóch silniejszych koni. Tak na wszelki wypadek. Oprócz tego nie mieli do roboty nic prócz czekania. Rozmowa z Haskeerem wydawała się dość okropnym rozwiązaniem. Coilla już z dziesięć razy spytała go, jak się czuje, i za każdym razem usłyszała te same mało przekonujące zapewnienia o dobrym zdrowiu. Oprócz tego mieli niewiele wspólnych tematów i zapadło milczenie.

Dlatego z ulgą i odrobiną niepokoju przyjęła fakt, że Haskeer podniósł głowę, po raz pierwszy spojrzał jej prosto w oczy i spytał:

– Masz gwiazdy?

– Tak.

– Mogę na nie spojrzeć? – poprosił.

„Niewinność” wydawało się przeraźliwie nieodpowiednim słowem w odniesieniu do Haskeera nawet za jego najlepszych czasów, ale właśnie ono przyszło do głowy Coilli.

– Dlaczego nie? – mruknęła.

Grzebiąc w sakiewce, czuła na sobie jego wzrok. Na widok pośredników wyciągnął ręce. Uznała, że to zbyt wiele.

– Patrz, ale nie dotykaj – powiedziała. – Bez urazy – dodała pośpiesznie – ale Stryk nie pozwolił mi ich nikomu dawać. Nikomu, nawet tobie.

Było to kłamstwo, ale wiedziała, że Stryk by ją poparł. Spodziewała się protestów Haskeera. Nie usłyszała ich. Ten nowy Haskeer wydawał się irytująco rozsądny. Zastanowiła się, jak długo wytrzyma.

Siedziała z gwiazdami na wyciągniętej dłoni, a on wpatrywał się w nie. Wyglądał jak zahipnotyzowany, jak pisklę oszołomione wyjątkowo błyszczącą zabawką.

Nie odrywał wzroku od pośredników przez parę minut. Coilla znowu poczuła się niezręcznie. Bez trudu mogła sobie wyobrazić, że Haskeer zdoła tak wytrwać przez parę godzin, a miała lepsze zajęcia. No dobrze, może nie miała, ale niech ją diabli, jeśli przesiedzi tu cały dzień jako podstawka pod gwiazdy.

– No, starczy tego – oznajmiła, zamykając dłoń. Schowała gwiazdy do sakiewki.

Po raz kolejny poczuła, że obserwuje każdy jej ruch z fascynacją i rozczarowaniem.

Znowu zapadło milczenie. Zaczęło ją męczyć.

– Idę na punkt obserwacyjny – powiedziała. – Może już wracają.

Nie wierzyła w to, minęło zbyt mało czasu, ale musiała się czymś zająć.

Haskeer nie odpowiedział. Spojrzał za nią bez słowa.

Coilla minęła Reafdawa przy koniach i wyjaśniła, dokąd idzie. Skinął głową, nie przerywając pracy.

Punkt obserwacyjny znajdował się niedaleko. Był to wysoko położony skalny złom, z którego widać było obóz i wejście do Rysu. Szła ku niemu niespiesznie, bardziej po to, żeby zabić czas, niż spodziewając się, że zobaczy powracających towarzyszy. Wspięła się na płaską kamienną platformę i spojrzała za siebie. Nie widziała Reafdawa. Uznała, że skończył i wrócił do Haskeera. Dobrze. Niech teraz kto inny się z nim nudzi.

Odwróciła się i skupiła wzrok na dalekim wejściu do podziemnego świata trolli. Dzień nie był zbyt słoneczny – co ostatnio stanowiło normę – ale musiała osłonić oczy, żeby dostrzec szczegóły.

Nigdzie nikogo nie zauważyła. Nic dziwnego. Na razie nikogo się nie spodziewała.

Wszystko było lepsze niż powrót do nudy oczekiwania, więc postanowiła zostać tu jeszcze parę minut. Zaczęła się zastanawiać, czy tym razem Stryk nie podjął się zadania ponad swoje siły. Pomyślała z lękiem o czeluści, w którą zszedł wraz z żołnierzami.

Wtedy coś uderzyło ją w potylicę i ona także wpadła we własną czarną czeluść.

Odzyskała przytomność wśród morza bólu.

Potylicę i kark rozsadzało jej bolesne pulsowanie. Ostrożnie dotknęła tego miejsca; na palcach została krew.

Zrozumiała. Usiadła szybko – za szybko. Jęknęła, ból prawie rozrywał jej głowę.

Ktoś ją napadł. Trolle! Wstała chwiejnie i rozejrzała się po okolicy. Nie było nikogo widać. Ich obóz wydawał się opuszczony.

Jęcząc z wysiłku, ześliznęła się z kamienia i ruszyła najszybciej jak potrafiła. Zastanawiała się, jak długo leżała nieprzytomna. Mogły minąć

godziny, choć blask słońca się nie zmienił. Znowu dotknęła karku. Krwawiła, ale niezbyt mocno. Miała szczęście.

Dopiero teraz przyszło jej do głowy, że gdyby zaatakował ją troll, już by nie żyła. A to narzuciło drugą, straszniejszą myśl. Sięgnęła do sakiewki.

Była otwarta. Gwiazdy zniknęły.

Zaklęła i rzuciła się przed siebie pędem, zapomniawszy o bólu.

W obozie nie znalazła Haskeera ani Reafdawa. Zawołała ich. Cisza.

Krzyknęła znowu. Tym razem usłyszała jęk od strony koni. Rzuciła się w tamtą stronę.

Reafdaw leżał na ziemi, niebezpiecznie blisko przywiązanych wierzchowców. Zrozumiała, dlaczego go nie widziała. Uklękła przy nim. On także miał zakrwawioną głowę. Był biały jak kreda.

– Reafdaw! – krzyknęła, potrząsając nim mocno.

Znowu jęknął.

– Reafdaw! – Szarpnęła nim natarczywie. – Co się stało?

– To... on...

– Gdzie Haskeer? Co się stało?

Szeregowiec zbierał przez chwilę siły.

– Haskeer. Drań...

– Jak to? – Bała się, że już zna odpowiedź.

– Zaraz jak... odeszłaś... podszedł... do mnie... Nie mówił... wiele... I wpadł... w szal... Prawie... rozłupał mi... głowę.

– Ze mną zrobił to samo, wieprz. – Obejrzała ranę żołnierza. – Mogło być dużo gorzej – uznała. – Reafdaw, wiem, że się podle czujesz, ale to ważne. Co się stało potem? Dokąd poszedł?

Szeregowiec przełknął z wysiłkiem ślinę.

– Od... jechał... Zemdlałem... ocknąłem się. Wrócił... Myślałem... że chce mnie... wykończyć... ale nie. Zabrał... konia.

– Cholera! Ukradł gwiazdy.

– Bogowie – jęknął słabo Reafdaw.

– W którą stronę? Widziałeś, dokąd poszedł?

– Na północ. Chyba... na... północ.

Musiała podjąć decyzję – i to szybko.

– Ruszam w pościg. Będziesz musiał tu zostać, aż tamci nie wrócą. Dasz radę?

– Tak... jedź.

– Nic ci nie będzie. – Wstała, ból znowu rozsadził jej głowę, i zdjęła bukłak z wodą z najbliższego konia. Włożyła go w ręce żołnierza. – Masz. Przepraszam, muszę to zrobić.

Powlokła się do najszybszego konia i odwiązała go. Dosiadła go i mocno spięła ostrogami.

Ruszyła na północ.

ROZDZIAŁ 25



Nup z resztą oddziału nie mógł się przekopać do Stryka i Alfraya. Nie wiedział nawet, czy nie zginęli pod lawiną ziemi. Pozostało im tylko zawrócić do punktu wyjścia.

Spotkali się z Liffnem i Bhoś'em, trzymającymi straż pod szybem. Tu czekało ich pierwsze rozczarowanie. Nikła nadzieja, że Stryk i Alfray zdołali wrócić, rozwiąła się.

Drugą myślą Jupa było przedostanie się do towarzyszy inną drogą. Jedyną szansę stanowił mniejszy tunel. Weszli do niego, ale po długim i monotonnym marszu, który doprowadził ich jedynie do pustych komnat i zaułków, korytarz się skończył.

Z ciężkimi sercami wrócili do punktu wyjścia.

Czekanie nie miało sensu. Pozostało im tylko liczyć, że Stryk i Alfray znaleźli inne wyjście na powierzchnię. Jup zarządził odwrót. Wspięli się szybem i wrócili do obozu.

Tu czekało ich kolejne miazdzące rozczarowanie, bo Stryk i Alfray nie wrócili. Zaraz potem, gdy spotkali Reafdawa, spadła na nich następna katastrofa.

Szeregowiec zdołał już usiąść i trzymał się za głowę, a oni stali wokoło i z przerażeniem słuchali jego opowieści.

– I tak to było – dokończył. – Haskeer rzucił się na mnie i Coillę jak

wariat i ukradł gwiazdy. Coilla pojechała za nim. To wszystko.

Jup rozkazał opatrzyć mu głowę.

Między żołnierzami wywiązał się spór, co powinni zrobić dalej.

– Cisza! – ryknął krasnolud. Uspokoił się. – Przede wszystkim musimy wyciągnąć Stryka i Alfraya z labiryntu. W każdej chwili może być z nimi źle. Ale nie możemy też pozwolić Haskeerowi uciec. Zdaje się, że Coilla nie jest w stanie go powstrzymać.

– Może się rozdzielimy? – krzyknął ktoś.

– Za bardzo byśmy rozproszyli siły. Do akcji ratunkowej potrzebujemy jak najwięcej rąk. A w pościgu za Haskeerem moglibyśmy bez trudu uczestniczyć wszyscy.

– To co zrobimy? – spytał ktoś inny, po czym, jakby po namyśle, dodał obelżywie: – ...sierżancie.

W pytaniu zabrzmiała wyraźna wrogość, widoczna także na otaczających go twarzach. Niechęć do jego rasy i stopnia była bliska zerwania tam.

Jup nie wiedział, co odpowiedzieć. Musiał podjąć decyzję, i to natychmiast, a bardzo łatwo było popełnić błąd.

Spojrzał na nich twardo. W ich oczach zobaczył oczekiwanie, a w paru przypadkach coś bardziej złowrogiego.

Zawsze pragnął dowodzić, ale nie w ten sposób.

Pół godziny po rozpoczęciu pościgu szczęście uśmiechnęło się do Coilli.

Zacząła już myśleć, że nigdy nie znajdzie Haskeera i będzie musiała wrócić z niczym, kiedy nagle dostrzegła odległą sylwetkę jeźdźca, galopującego na tle nieba wzdłuż łańcucha górskiego na północy.

Nie była pewna, ale wyglądał jak Haskeer.

Spięła wierzchowca do szybszego biegu.

Kiedy dotarła do wzgórz, z końskich boków płynęła piana. Nie pozwoliła mu na odpoczynek, od razu przystąpiła do wspinaczki. Dopiero

na szczycie zatrzymała się i uniosła w siodle, spoglądając w stronę dalekiego Taklakameeru. Nie widziała jeźdźca, ale teren miał urozmaiconą rzeźbę i zapewniał nieskończenie wiele kryjówek. Nie miała wyjścia – ruszyła przed siebie.

Droga zawiodła ją do płytkiej doliny z kępami drzew po obu stronach ścieżki. Nie zwalniała, choć zaczęła się obawiać, że koń nie wytrzyma dłużej takiego tempa.

Wtedy znowu dostrzegła jeźdźca, daleko u wylotu doliny. Ruszyła ku niemu jak furia.

Nagle okazało się, że nie jest sama.

Spomiędzy drzew po prawej stronie wyłonili się dwaj jeźdźcy. Jeden nadjechał z lewej. Wyglądali na ludzi.

Zaskoczyli ją tak, że kiedy ten z lewej zbliżył się szybko i smagnął jej konia rzemiennym batogiem, straciła nad nim kontrolę. Cugle wyleciały jej z dłoni. Koń potknął się i upadł. Świat przekrzywił się pod dziwnym kątem.

Runęła na ziemię, przekoziółkowała parę razy i znieruchomiała, nie mogąc złapać tchu.

Pomimo zawrotów głowy usiłowała wstać, ale udało się jej tylko klęknąć.

Ludzie zeskoczyli z koni. Patrzyła na nich bezsilnie, z wolna odzyskując ostrość widzenia.

Jeden był wysoki, a jego oczy spoglądały przenikliwie. Miał złą wykrzywioną twarz z blizną. Drugi był niski i zwinny. Miał opaskę na oku i szczerzył przegniłe zęby. Ostatni był potężny jak górski niedźwiedź i równie muskularny. Miał łysinę i złamany w wielu miejscach nos.

Ten wysoki uśmiechnął się i nie był to przyjazny uśmiech.

– Co my tu mamy? – powiedział głosem lepkiem i złowrogim.

Coilla potrząsnęła głową, żeby pozbyć się bólu. Usiłowała wstać, ale ciało nie chciało jej słuchać.

Trzej ludzie szli w jej stronę, sięgając po broń.

Minęła mniej więcej godzina, a Stryk i Alfray nadal wędrowali tunelem. Nie znaleźli żadnych bocznych korytarzy ani komnat. Czuli, że schodzą coraz niżej.

Wreszcie dotarli do innej groty, największej z dotychczas spotkanych. Wiedzieli, że nie ma w niej nikogo, bo w przeciwieństwie do innych była jasno oświetlona dziesiątkami łuczyw. Skalny sufit znajdował się wysoko w górze, najeżony stalaktytami. Z komnaty biegło co najmniej sześć tuneli.

W grocie znajdował się ogromny blok ociosanego kamienia, przypominający zamknięty sarkofag. Na jego bokach i wieku widniały tajemnicze symbole.

Zbliżyli się do niego. Ich kroki odbijały się echem.

– Jak myślisz, co to? – spytał Alfray.

– Kto to wie? – odparł Stryk. – Podobno mieszkańcy podziemnego świata czczą mroczne i straszliwe bóstwa. Wygląda mi to na jakiś rytualny przedmiot. – Położył dłoń na powierzchni wygładzonej przez upływ czasu. – Pewnie nigdy się nie dowiemy.

– Błąd.

Odwrócili się w stronę, z której dobiegał głos.

Za ich plecami stał troll w szacie ze złotogłowiu i srebrnej koronie. Był potężniejszy od wszystkich, z którymi dotąd walczyli, i trzymał ozdobny hak, niemal dorównujący mu wysokością.

Stryk i Alfray dobyli mieczy, gotowi do walki. Ale w tej samej chwili ze wszystkich tuneli wysypały się do komnaty dziesiątki trolli. Wszystkie były uzbrojone, wiele w dzidy o kolczastych grotach.

Orkowie zerknęli na siebie.

– Tyłu, ile się da – syknął Stryk.

– Dobrze powiedziane – zgodził się Alfray.

– To by było bardzo głupie – zagrzemiał troll i dał znak swoim

żołnierzom.

Wymierzyli w nich las włóczni. Drugi rząd napiął cięciwy łuków. Orkowie nie mogli dosięgnąć swoich przeciwników, nie mówiąc już o zabijaniu ich.

– Odłóżcie broń – rozkazał troll.

– Orkowie nie mają takiego zwyczaju – odparł pogardliwie Stryk.

– Nie macie wyboru – oznajmił stwór. – Poddajcie się, bo zginiecie. Gąszcz włóczni był coraz bliżej. Cięciwy napięły się mocniej. Alfray i Stryk wymienili spojrzenia. Zawarli nieme porozumienie.

Rzucili miecze. ^v

– Trolle przyskoczyły i pojechały ich. Ale jeśli orkowie spodziewali się śmierci, spotkało ich zaskoczenie. Jestem Tannar – powiadomił ich przywódca trolli – król podziemnego królestwa. Monarcha i najwyższy kapłan w jednej osobie, sługa bogów, którzy chronią nasz kraj przed podobnymi wam.

Żaden ork nie odpowiedział. Stali dumnie wyprostowani.

– Zapłacicie za to wtargnięcie – ciągnął Tannar – i to tak, by ucieszyć naszych bogów.

Żołnierze pchnęli Stryka i Alfraya ku kamiennemu blokowi. Teraz stało się jasne, co to jest.

Ofiarny ołtarz.

Związano ich. Żołnierze rozstąpili się przed swoim królem.

Zbliżył się z wolna i sięgnął pod połę płaszcza. Okrutnie zakrzywione ostrze zaśniło w blasku pochodni. Trolle zaczęły zawodzić pieśni w niezrozumiałym języku.

Tannar zbliżał się ku orkom krokiem konduktu pogrzebowego. Uniósł ofiarny nóż.

– Nóż – szepnął Alfray. – Stryk, nóż!

Stryk spojrział i zrozumiał.

Mroczni bogowie zakpili z nich okrutnie, dając im posmakować wolności i odbierając ją w taki sposób, jednak to wszystko przestało się liczyć wobec nowego ciosu.

Bogato zdobiony nóż, który król trolli uniósł wysoko nad głowę, miał pewien bardzo szczególny dodatek. W rękojeści tkwił charakterystyczny przedmiot.

Znaleźli gwiazdę, po którą tu przyszli.

PODZIĘKOWANIA



Gdyby nie nasz międzyludzki system wsparcia, życie pisarza byłoby nieznośnie samotne.

Dlatego pragnę podziękować Steve 'owi Jacksonowi i Heather Matuozzo – za przyjaźń i śmiech; Harry 'emu i Helen Knibbom za niezrównane fachowe rady internetowe oraz życzliwość; Sandy Auden za czekoladową mądrość i Życie Dalej; Simonowi Spantonowi za trzymanie redakcyjnego steru mocną ręką; oraz Nicoli Sinclair za wyjątkową biegłość wydawniczą.